

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR 1/LATO 2007

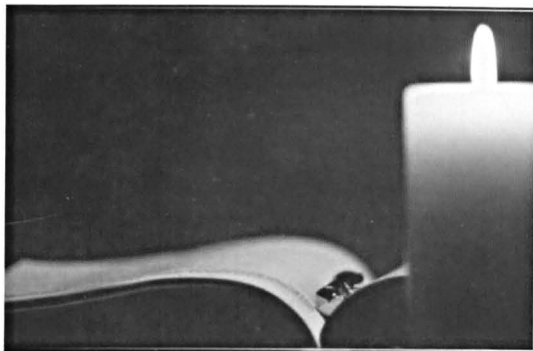


CENA 7,77 ZŁ



ISSN 1897-2365

Miejska Biblioteka Publiczna
w Białej Podlaskiej
DZIAŁ INFORMACJI, BIBLIOGRAFII
I WIEDZY O REGIONIE
ul. Warszawska 12a
21-500 Biała Podlaska
tel. (083) 343-61-11



OD REDAKCJI

"Kto świadomie przyjmuje życie, by wyciągnąć z niego lekcje dla siebie, nawet jeśli byłyby one gorzkie, temu wszystkie rzeczy będą sprzyjać".

C. de P. "Żywe Słowo"

„Kozirynek” to kreacja ideowa trójki radzynian: Przemysława Krupskiego, Dariusza Magiera i Adama Świcia. Miał się pojawić w okolicach marca 2007, ale to brak czasu jednych, a to inne zajęcia drugich, a to dograć trzeba to i owo, a to redagująca ekipa musiała się dogadać, i choć brać literacka zareagowała szybko, terminy się przesuwwały i przesuwwały. Wtedy dostałem propozycję redagowania pisma. Jakim cudem? Otóż, albo to potrzeba zadośćuczynienia za czyny niedokonane, choćby w postaci przerwania życia samizdatowej „Myśli Twórczej”, której swego czasu byłem redaktorem naczelnym i wydawcą (i której wiele osób wróżyło całkiem niezłą przyszłość), albo... sam już nie wiem co. Znak czasu, potrzeba chwili, poczucie obowiązku?

Nie jest to oczywiście ostateczna wersja „Koziegorynku”, na pewno będą powstawały nowe działy, a te, już istniejące, będziemy się starać udoskonalać. Prosimy więc o wyrozumiałość i współpracę. W pierwszym numerze znajdziecie Państwo dział krytyki „Na cenzurowanym”, felietony, eseje, opowiadania, miniatury prozatorskie oraz poezję, a wszystko to zilustrowane przepięknymi zdjęciami autorstwa członków Radzyńskiego Klubu Fotograficznego „Klatka”. Mam nadzieję,

że to wszystko nada pismu CHARAKTER. Zadanie trudne, zaś laury wątpliwe. I na koniec tylko Kochanowskiego słowami powiedzieć mogę: „Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za lata nie będą moje czule noce bez zapłaty; a co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy to po śmierci nagrody z lichwą wiek późniejszy” (J. Kochanowski, Poeta Czarnoleski). Polecam i zapraszam w imieniu zespołu

Mariusz Bober

P.S. Zapomniałem o najważniejszym: temat przewodni pierwszego numeru Koziegorynku brzmi KOMPLEKS PROWINCJI. Nie rozwijam go tutaj - zapraszam do lektury.

P.S.II. Do pierwszego numeru pisma dodajemy, jakże modny dzisiaj, prezent. To płyta CD. To CZYSTA płyta CD, prezent - potencjał, prezent - propozycja dla Was, Czytelnicy Koziegorynku. Nagracie tam swoje piosenki, wiersze, opowiadania, powieści, myśli i przyslijcie do nas. Kozirynek czeka.

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR 1/LATO 2007



FELIETONY

Jacek Frączek
Dariusz Magier

Leszek Sokołowski
Adam Wielomski



NA CENZUROWANYM

Promocja tomików "Eter" Roberta Koncy i "Pasaże" Izabeli Filipek
Słowo wygłoszone (Zdzisław T. Łączkowski)
Czym jest pisanie (Robert Konca Arturowi Rogalskiemu)



ESEJE

Mariusz Bober
Barbara Jedlewska

Dariusz Magier
Artur Rogalski



EPISTOLOGIUM

Maja Lewicka & Dariusz Magier



OPOWIADANIA

Robert Konca



MINIATURY

Joanna De Alba
Beata Bereza
Krzysztof T. Dąbrowski
Tomasz Jakubiak

Artur Judkowiak
Agnieszka Pałka
Władysław Rys
Adam Świć



NISZCZARKA

Mariusz Bober



PREZENTACJE

Robert Konca



WERSZE

Mariusz Bober, Zbigniew Dmitroca, Izabela Filipek, Andrzej Kitliński, Ryszard Kornacki, Maria Kryńska-Szostak, Natalia Julia Nowak, Agnieszka Pałka, Magda Raczek-Pietraszak, Artur Rogalski, Magdalena Turoń



ZDJĘCIA

Joanna Bukowska, Kamil Bukowski, Jacek Frączek, Grażyna Hankiewicz, Dariusz Hankiewicz, Iza Koczkodaj, Mirosław Koczkodaj, Karol Krupa, Krzysztof Kuzko, Mariusz Lemiecha, Robert Majczyzna, Marek Melaniuk, Tomasz Młynarczyk, Artur Rogalski, Krzysztof Sak



KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (selekcja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

kozirunek@rasil.home.pl
www.rasil.home.pl/kozirunek

Wydawca

Radzyńskie
Stowarzyszenie Inicjatyw
Lokalnych
Konfraternia Kozirunek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

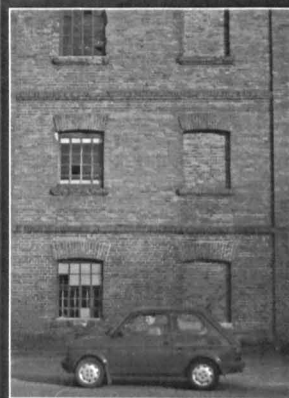
© Radzyński Klub
Fotograficzny „Klatka”
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

Tekstów nie
zamówionych nie
zwracamy. Zastrzegamy
sobie prawo do skrótów
tekstów prozatorskich i
zmian tytułów.



Fot. na okładce
Tomasz Młynarczyk

Miniatura na tylnej okładce:
Karol Wielki ogłasza
testament swoim następcom.

KOZIRYNEK I DUCH CHIMERY



„Sto lat temu ukazał się ostatni numer „Chimery” - najpiękniejszego czasopisma, jakie kiedykolwiek wychodziło w języku polskim. Jego twórca, Zenon Przesmycki, nie był może dziennikarzem zdolnym odnieść komercyjny sukces, ale zasłużył z pewnością na miano wielkiego artysty. Roczники „Chimery” to skarb zazdrośnie strzeżony przez bibliotekarzy i bibliofilów udostępnianych niechętnie, choć ciągle stanowiący przedmiot pożądani” - pisze prof. Jan Tomkowski.

Dokładnie 100 lat po ukazaniu się ostatniego numeru „Chimery”, redagowanej przez naszego krajana, urodzonego w Radzynie Miriama - Zenona Przesmyckiego, wychodzimy z całkiem nowym pismem. Przybiera ono nazwę „Kozirynek”. Mamy nadzieję, że rezonować to będzie z duchem i ideą jaka przyświecała „Chimerze”. I wierzymy, że wśród Aniołów są również kaowcy.

* „Chimera”, czasopismo literacko-artystyczne, wydawane w Warszawie w latach 1901-1907; redaktor: Zenon Przesmycki; pismo głosiło hasła „sztuka dla sztuki” i kult indywidualności twórcy.

MB/DM





fol. Waldemar
Wyłęgalski

ZBIGNIEW DMITROCA

Polska be (fragmenty)

Tu wierzby płaczące i gniazda bocianie,
Żurawie przy studniach i chaty pod strzechą,
Tu nic się nie dzieje i nic się nie stanie,
Tu sielsko, anielsko i wszędzie daleko.

To Polska be,
Po prostu żywy skansen,
Co wierzy, że
Ma szansę na awanse.

Tu ziemia naprawdę i żyzna, i śliczna,
Tu naród gościnny, wylewny i hojny,
Tu wielkie pijaństwo to cecha dziedziczna,
Bród, smród i ubóstwo, lecz lud bogobojny...

Kraina jak z bajki i mleczna, i miodna,
A jednak skazana zaocznie na nędzę,
Wygnaną od stołu jak siostra wyrodna,
A mimo to śniąca swój sen o potędze.

Tu wierzby płaczące i gniazda bocianie,
I grusze na miedzy, i olchy nad rzeką,
Tu pianie kogutów i żab rechotanie,
Tu sielsko-anielsko i wszędzie daleko...

To polska wieś,
A chłopci to sól ziemi,
Niech każdy wie,
Że my tu swoje wiemy!

To ziemia ojczysta i żyzna, i śliczna,
Tu naród robotny, roztropny i hojny,
Tutejsza serdeczność to cecha dziedziczna,
I z dziada pradziada nasz lud bogobojny...

Tu chłopcy zadziorne jak jurne koguty,
Tu baby gderliwe jak nośne kokoszki,
Jedyną rozrywką są plotki i ksiuty
I chętnie świntuszą największe świętoszki.







JACEK FRĄCZEK

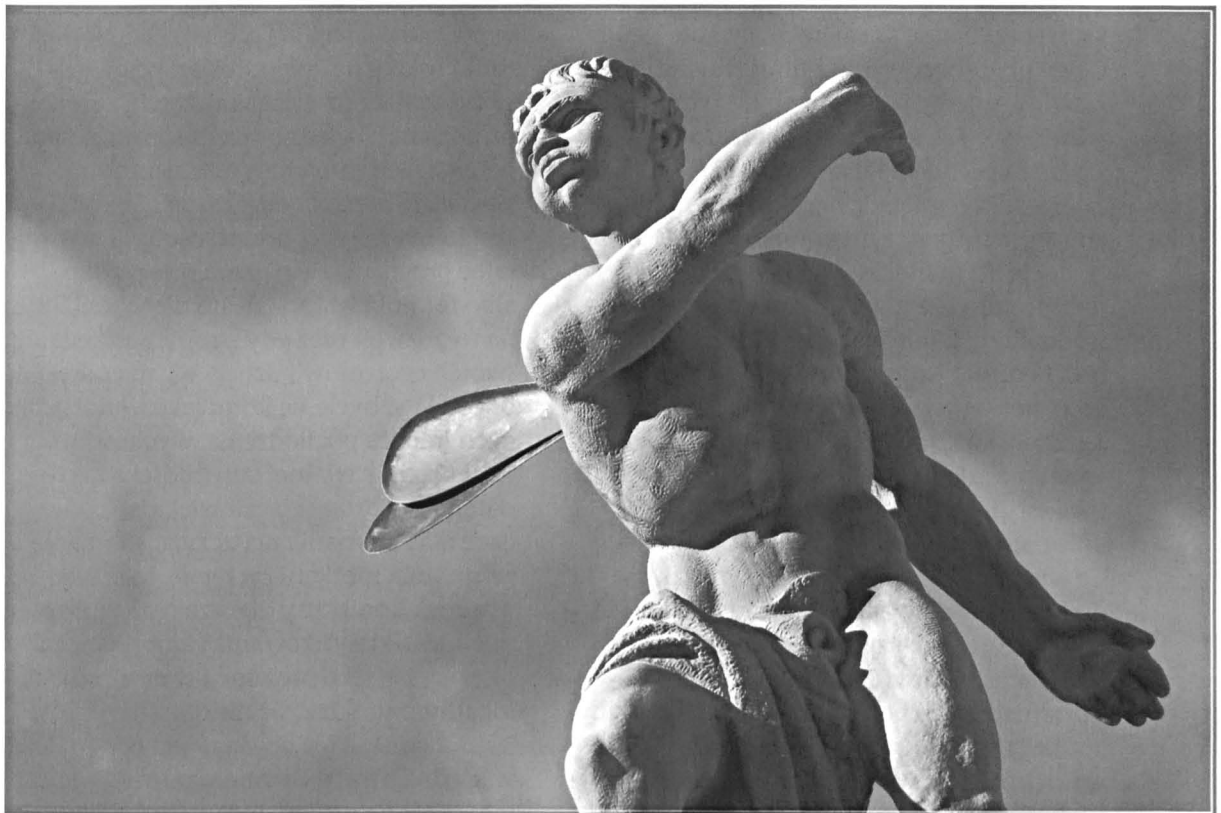
DROGA NA HENOCH. O PERCEPCJI PROWINCJI

Choć w ludzkiej świadomości prowincja, w rozumieniu lokalnym, jawi się jako obszar leżący z dala od miasta, to jej początki były zgoła inne. Biblijny Kain za zabicie brata zo-stał obłożony klątwą. Bóg zdecydował, że ziemia, na której dokonano zbrodni, nie wyda więcej plonów i zapowiedział los Kaina: „Tułaczem i zbiegiem będziesz na ziemi”. Kain, nie mając innej możliwości utrzymania, opuścił rolę i zamieszkał w kraju Nod, gdzie zbudował pierwsze miasto - Henoch, od imienia swego pierworodnego syna. Miasto to, wyrosłe ze zła, ale jednocześnie mające dawać plon i zaspokajać potrzeby człowieka, było biblijną prowincją, centrum życia była zaś rola, jako symbol bliskości Boga i natury, ziemski raj. Mówienie o prowincji jako takiej jest możliwe jedynie gdy spełnione są dwa warunki. Po pierwsze musi istnieć odniesienie do czegoś co prowincją nie jest: centrum, stolicy, metropolii, pewnej stołeczności. Tylko poprzez porównanie z takim punktem odniesienia możliwa jest deklaracja: „XY jest prowincją”, lub też „to my jesteśmy zaściankiem”. Bywa i tak, że przez pewne jednostki za centrum uznane zostaje miejsce małomiasteczkowe ze względu na swe położenie i istotne funkcje. Toteż prowincje stają się zaściankami prowincji o ważniejszej roli. Nie inaczej jest w obszarze mentalnym, gdzie prowincjonalizm uznawany jest zawsze za intelektualną czy zachowawczą niemoc. By mówić o prowincji człowiek musi ponadto, jak biblijny Kain, opuścić miejsce bytu i poddać ocenie rzeczywistość zastaną. Nastąpić musi spotkanie. Poznanie, wyjście naprzeciw novum, spotkanie - to wynik ciekawości. Tylko poprzez ciekawość (lub też konieczność) człowiek opuszcza swój dom i tylko w ten sposób może poznać świat. Człowiek zamknięty we własnych ścianach, lub co najwyżej w granicach wyznaczonych przez społeczność, w której żyje - nie stworzyłby możliwości konfrontacji, a tym samym nie istniałby podział na

prowincję i stołeczność. Dla człowieka otwartego, gotowego do odkrywania i wędrówki, prowincja jest egzotyką, a terminy te nawzajem się dopełniają. Jeśli poznanie nowej rzeczywistości nie jest wymuszone, to zainteresowanie nią traktowane może być w trojaki sposób: bądź jako antidotum na monotonię (i jawi się wtedy jedynie jako pobieżna i chwilowa atrakcja), lub też jako cel badawczy. Czasem, choć bardzo rzadko, cel wyprawy odbierany jest jako świat i obiekt zainteresowania funkcjonujący na poziomie równorzędnym do naszego.

Antidotum na nudę

Noszę w sobie obraz Japończyków, którzy stopniowo zawłaszczają glob i podbijają świat fotografiami zrobionymi w przeciągu kilku chwil, jakie poświęcają na „poznanie” nowej rzeczywistości. To „japońskie spotkanie” wystarcza może na dokonanie pobieżnych porównań i ocen, z pewnością jednak na to, by wielkie metropolie i centra światowej turystyki przekształcić w egzotykę i uznać za godne obfotografowania i umieszczenia w rodzinnym albumie z wakacji. Krytykowani za turystyczną niefrasobliwość mieszkańcy Wysp Japońskich zwracają uwagę (całkiem przypadkiem, bo w pośpiechu mało rzeczy zdarza się celowo) na kwestię uwagi godną: trzeba mieć poczucie własnej odrębności. Krótkotrwałe, ale ciągle powtarzane, zachowania Azjatów przywracają poza tym porządek, który warto nosić w pamięci: co dla nas jest pępkiem świata, dla innych może być tylko prowincją. Z drugiej strony, wartości, które już nam spowszedniały i których już nie zauważamy, zawsze dostrzec i pokazać nam mogą inni. Przemieszczanie się człowieka, niezależnie od czasu trwania i dystansu do pokonania, jedynie w wyjątkowych wypadkach pozwala na żywotne zainteresowanie krainą, do której człowiek zmierzając oraz jej mieszkańcami, mimo że



Jacek Frączek

przygotowania pociągają za sobą wiele wysiłku, na który człowiek decyduje się przecież z własnej woli. Na pytanie, czemu tak jest odpowiedzi udziela Emmanuel Levinas: żyjemy usiłując przetrwać we własnym istnieniu. Jest paradoksem, że turystyka przeżywa obecnie boom, choć większość z tych, których jest udziałem, nie jest zainteresowana poznawaniem świata, ani nawet krótkotrwałą zmianą stylu życia. Wygodne domowe pielesze turyści wymieniają jedynie na pokój hotelowy z łazienką i śniadaniem do łóżka. W efekcie przedsięwzięcia, które mogłyby zbliżać i uczyć, stają się demonstracją ignorancji.

Jak zatem zbliżyć się do tzw. prowincji?

Poznawać i badać

Jeśli człowiekowi uda się wyzbyć egoizmów i pokonać wynikający z niego lęk (może to być obawa przed ośmieszeniem się lub przed niewykazaniem odpowiedzialnością, która przez fakt zamieszkiwania w tym czy innym miejscu rzekomo miała zostać w

nim złożona itd.) to jest on gotów otworzyć się na poznanie nieznanego i spotkanie z nim.

Wędrowiec, zanim opuści dom i wybierze się w drogę, jeśli nie traktuje wędrowki jako remedium na nudę, czyni wiele przygotowań, chce wiedzieć, co go czeka. Czyta, rozpytuje, zbiera informacje, korzystając przy tym z różnych źródeł. Jeśli poświęci sprawie wiele uwagi i wysiłku, może zdziwić się, że dokładnie będzie wiedział czym obrana przez niego za cel kraina jest, jaka jest jej historia, kultura, jacy ludzie w niej żyją. Wychodzi na spotkanie czegoś, co dokładnie zna, wie o niej często więcej niż rodowici mieszkańcy.

Jeśli jest już na miejscu otwiera szeroko oczy, weryfikując swoją wiedzę i pogłębiając ją, prowadząc badania terenu na skalę, na jaką go stać. Ów viatus, o ile posiada pewną wrażliwość, szybko staje się świadomy, że dotychczas udało mu się poznać jedynie skrawek rzeczywistości, w której się znalazł, i jeśli zależy mu na pogłębieniu tej wiedzy, będzie do tego miejsca powracał lub nawet tam zamieszka. Wie, że twórcami ziemi, do

której przybył, są jej mieszkańcy, toteż jedynie przez obcowanie z nimi zrozumie zasady i procesy jakie napędzają życie prowincji. Wie też, że jedynie poprzez kontakt z ludźmi będzie mógł zrozumieć siebie, a zatem odkryć prawdę o sobie samym (pozbijając się przy tym kompleksów). To, na co dotychczas nie zwracał uwagi, będzie decydowało o jego tożsamości w nowym środowisku: kolor skóry, język (niech to będzie nawet jedynie inna intonacja, która go wyróżni), religijność (która czasem przesądza o jakości dalszego kontaktu - dla wielu mieszkańców Trzeciego Świata ateizm jest zjawiskiem niezrozumiałym), ubiór, sposób reakcji na konkretne sprawy. Te wyznaczniki zadecydują o tym, jak ci, do których przybył, będą postrzegać nie tylko jego, ale i wszystkich innych, którzy pójdą w jego ślady. Stąd klisze, które tak utrudniają życie podróżnika: każdy biały jest bogaty, jego życie religijne jest ambiwalentne i postrzegane najczęściej jako sprawa prywatna, toteż nie warto o to pytać; do tego dochodzą uprzedzenia narodowe i klanowe. Jednak poznanie jakiegoś skrawka Ziemi, zadanie sobie trudu zbliżenia, poniesienie ryzyka i kosztów mogą sprawić, że egzotyka może przestać nią być i stać się światem równorzędnym. Perspektywa poznania nie jest jednak w tym względzie decydująca i może być tak, że mimo eksperckiej wiedzy, jaką można o ziemiach sąsiadów posinać, pozostaną one podrzędnym elementem zaspokajania ciekawości i sprowadzone do wiedzy w czystej formie. To, czy nastąpi prawdziwe spotkanie a prowincja zostanie potraktowana jako świat o równorzędnym, acz innych wartościach, jest, niestety, dziełem przypadku.

Spotkanie

Jeden z tragizmów życia polega na tym, że ludzie się nie spotykają. Przechodzą obok siebie, pozdrawiają się i wypytują o zdrowie (w wielu miejscach Afryki czynności tych trzeba się bardzo szybko nauczyć, inaczej można zostać uznanym za gburę), kłaniają

w pół, uśmiechają się, ściskają, jednak warunki w jakich się spotykają, życiowe doświadczenia pozwalają najczęściej jedynie na poznanie ogłędne, "prześlizgiwanie się" po twarzach innych. We wzajemnym kontakcie nie dochodzi do współuczestniczenia w życiu drugiej osoby. Spotkanie takie przydarza się niezmiernie rzadko, albo też i nigdy. Dojdzie do niego jeśli los na to pozwoli oraz gdy strony wyzbędą się swoich egoizmów i uznają własną odrębność. Wyzbycie się kompleksów dotyczących miejsca pochodzenia, wychowania itd. i uznanie własnej odrębności a także odrębności drugiego człowieka, są konieczne dla zrównania płaszczyzn spotkania i zaistnienia spotkania w ogóle. Jest to także warunek konieczny dla wzajemnego zrozumienia. Zaklasyfikowania jednostki administracyjnej jako prowincji w znaczeniu lokalnym uniknąć się nie da - albo się nią jest, albo nie, choć ocena ta jest oczywiście względna (trzeba by zatem powiedzieć raczej: raz się nią jest, innym razem nie). Klasyfikacja człowieka jako prowincjusza w sensie intelektualnym lub moralnym bywa krzywdząca (bo jest często pobieżna i wypowiadana w pośpiechu), ale często, a to zakładając uważną analizę poprzedzającą ocenę, pozwala na oddzielenie ziarna od plewów, wzorców dobrych od tych, wobec których zachować należy ostrożność. Jeśli wskutek takiej oceny da o sobie znać poczucie poruszania się na marginesie obowiązujących norm społecznych - swoisty kompleks prowincji - jest on wartością, którą należy pielęgnować: dobrym sumieniem.





MARIA KRYŃSKA-SZOSTAK

Prośba niebieska

krok w krok obecny
 biały świadku moich lęków
 przed szafirem nocy
 jeśli śluby jakieś
 związały cię ze mną
 omal obojętna
 na twoje istnienie
 okryj mnie płowym skrzydłem
 snem niebieskim ucałuj
 bądź księżycą blaskiem
 niewidocznym prawie

bądź cudem

Czasoprzestrzeń

Zachwyciłeś się pierwszym słowem, ja - twoim
 ciałem
 i spojrzeniem ascety, w którym nie widziałam
 dna ani drogi.
 Śnieg prosił o zmierzchu, usta rozchyliłeś.
 Pochwyciłam z pragnienia pierwszą sylabę.
 Kartka zadrukowana wierszem rozkwitła w
 twojej dłoni.
 Pisaliśmy do siebie by smakować, pieścić
 zmysłami myśli,
 wprowadzać w drżenie słowa. Pisaliśmy by się
 całować,
 a nasze bijące głośno serca sklejały się i pękały
 na powrót
 pod ciosem metafor. Dusze ścigały się w
 labiryntach wieków,
 z miasta do miasta, z epoki do epoki.
 Wyrwana ze świata
 zawisłam w przestrzeni. Mówią że był to nagły
 wypadek.
 Pas uratował mi życie ale dotyk... uwierzysz?
 zsunął się z policzka a świat się zaplamił.
 Czasami jednak wydaje mi się - widzę cię
 kącikiem oka.
 Pojawiasz się raptem, taki jak dawniej.
 Jakbyś gotowy był znowu do drogi. Więc
 myślę wręcz,
 że w życiu po życiu, gdy wszystko się dokona,
 a czas się zakrzywi, spotkam cię w pętli
 przestrzeni
 i tak jak wtedy, pochwycę w płuca twoją
 sylabę.



DARIUSZ MAGIER

OFFLINE

PROWINCJA INTELEKTUALNA

Zacznijmy od lampy.

Lampa w ciemną noc
można żyć pięknie
wiem to
i czasem potrafię
wystarczy iskra
by zapalić lampę
rzecz w tym
by była pełna nafty

Niech lampą będzie człowiek. Samoistną, z wbudowaną baterią. Rodzi się, kształtuje, latami ładuje ten swój jednorazowy akumulator, by móc wreszcie zaświecić. To, jak zaświeci, ile mroku wokół siebie rozproszy, zależy właśnie od kształtu i baterii - słowem od tego, jak wykorzystany został czas przeznaczony na kształtowanie abażuru i ładowanie akumulatora. Cóż komu po lampie zbytnio rozpraszającej światło i nie usuwającej mroku? Co po lampie, której bateria wyczerpie się zaraz po włączeniu. Nic. Nulki - jak mawiała Babcia Oleńka w Stachurowej *Siekierzadzie*.

Podobnie jest z człowiekiem. Pomówmy o człowieku świadomym. Wiem, świadomość boli. Im większa, tym ból silniejszy. Ale ból jest potrzebny. Czytałem gdzieś o genetycznej mutacji, która wystąpiła w pewnej hinduskiej rodzinie - nie odczuwają bólu. Okazuje się, że przyczyniło się to do całkowitej deformacji ich ciał: są pokiereszowani, podrapani, mają powykręcane członki, które kiedyś wywichnęli, skręcili, lecz nie odczuwając bólu nie mogli ich ponastawiać i w wieku trzydziestu lat wyglądają jak powykręcani artretyzmem i - mniej lub bardziej zamierzonym - kalectwem starcy z żebraczej konfraterni.

Podobnie ból egzystencji, ból intelektualny - rozwija, dzięki niemu przezwyciężamy urazy, podnosimy się i przechodzimy na wyższy stopień świadomości. Od intelektualnego *homo erectus* do *homo sapiens*. Niby ten sam homo, a waga jakościowa zupełnie inna. To tak jak powiedzieć „Ecce homo” o Chrystusie i „Ecce homo” o Barabaszu - w końcu prawdziwe w obu przypadkach.

Pojawia się, szeroko rozumiany, człowiek *kulturalny*.

Co to jednak znaczy w dzisiejszych czasach? Otwartość na wdzięki *tego świata* może przytępić nasze zmysły, utrudnić wynajdywanie rzeczy najwartościowszych, ba, obserwacja *zdobyczy współczesności* i mimo-wolne porównywanie ich z przejawami kultury minionej może nas przywieść ku przekonaniu, żeśmy tylko karłowatymi dziećmi olbrzymów.

I pojawia się pytanie, czy każdego w pewnym momencie życia ogarnia pesymistyczna myśl, że wszystkie najlepsze książki zostały już napisane, najlepsza muzyka skomponowana, a filmy nakręcone? Narasta wówczas nieodparta pokusa odrzucenia tego, co współcześni twórcy mają nam do zaproponowania. Pokusa przedstawienia się na tryb offline, czyli eskapistyczną wewnętrzną emigrację do świata, który, co prawda, znamy jak własną podszewkę, ale za to wiemy również, że „coś” jest warty. Nie przeraża wówczas zamknięcie się w swojej pracowni alchemicznej, zajęcie miejsca w fotelu oświetlonym dyskretnym światłem lampy i zerknięcie ku regałom z księgozbiorem. Ba, wizja ta staje się co najmniej kusząca, co w porównaniu z, jak się zdaje, schyłkowym okresem współczesnej cywilizacji europejskiej, również dziwić nie może.

Możemy narazić się na zarzut płynący z kręgów własnej niszy ekologicznej, że umywamy ręce, że psychoza nieuchronności klęski strawiła nas na tyle, iż - niczym na katowski topór - z Shakespeare'em w rękach czekamy aż dziesięciotysięczny odciinek *Złotopolskich* zabije w nas tę resztkę okcydentalizmu, która jeszcze gdzieś tam w głębi naszych serc się tli. Ale czyż nie jest to właśnie największy przejaw naszej kultury? Tej, która onieśmielała barbarzyńskim poziomem, mocą wiary, nonkonformizmem, dzisiaj będącym jednym z grzechów głównych - jako postawa radykalna. Gdyby Chrystus nie był radykałem nie byłoby Odkupienia. Gdyby pierwsi chrześcijanie rozpoczęli dialog z Neronem - nie staliby

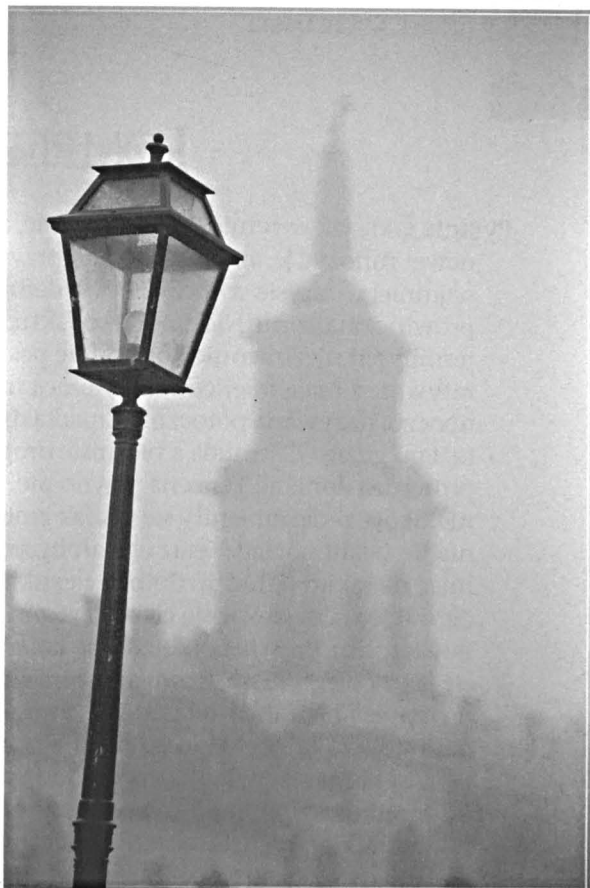
się posiłkiem dla lwów, ale też ich krew nie wzmocniłaby fundamentów Kościoła. Gdyby nie klasztory Irlandii związki z grecką i rzymską myślą filozoficzną zostałyby ostatecznie zerwane, a nieukształtowany nią barbarzyńca zbudowałby Europę, jaką strach sobie nawet wyobrazić.

Dlatego owego zamknięcia się w świątyni własnej formacji intelektualnej nie należy traktować jako rejerady z pola walki o przyszłość, raczej jako powrót do źródeł, próbę przywdziania najlepszej z dostępnych dla naszej kultury zbroi. Nie po to, by zwyciężyć w bitwie, w to trudno bowiem już uwierzyć, ale po to, by wygrać wojnę, wojnę o to, co dla człowieka indywidualistycznej cywilizacji łacińskiej najważniejsze.

Kojące offline to oczywiście nie zamykanie się przed wszystkim, co nowe. Wbrew naszym czarnym wizjom poza kulturą masową istnieje jeszcze życie. I są też jego przejawy, choć trzeba niekiedy trochę więcej wysiłku, by się do nich dokopać przez warstwy śmiecia i informacyjnego szlamu. Offline to tama przed tym szlamem, przed zalewem informacji dezaktualizującej się szybciej, niż okres krzepnięcia superglue, przed infantylizmem i intelektualną prowincją z trudem wegetującą pod grubą warstwą żelu. Ten limes należy utrzymać, te mury nie runą, nie obawiajmy się, bardowie żenady nie mają charyzmy Jacka Kaczmarskiego.

Wbrew chwilowym napadom czarnowidztwa, kultura nie musi przekształcić się w mitycznego węża Ouroborosa pożerającego swój ogon. Nadal można pisać doskonale, odkrywcze książki, komponować cudowne dźwięki, oddawać przy pomocy sztuki aspekty człowieczego życia. Wielu ludzi robi to każdego dnia. Łatwo to przegapić w strumieniu kulturowej popeliny. Ale i na to jest sposób - znajdź to, co wartościowe, i nastaw na dostępność w trybie offline. A potem kontempluj do woli. To nic nie kosztuje. Bez abonamentu i bez impulsów.

Nie istnieje granica poznania! Choć raz wydawało mi się, że do niej dotarłem. Tylko się wydawało, ale jeśli was to interesuje, to rzecz miała miejsce w Wielkopolsce. Piłem od paru dni. Atak przyszedł niespodziewanie. Zgięło mnie wpół. Próbowałem jeszcze walczyć. Nadaremnie. Druga fala słabości



📷 Krzysztof Sak

nadeszła jak nieuchronny poranny kac. Kufel z piwem wysunął się z zeszywniałej dłoni i spadł na blat baru. Po gładkiej powierzchni w kolorze ciemnego orzecha popłynęła struga jasnożółtej cieczy. Rozejrzałem się po opustoszałej o tej porze knajpie i podjąłem męską decyzję. Z trudem zsunąłem się ze stołka i wytoczyłem na zewnątrz. Mimo wszystko mroki przedporanka nieco mnie zaskoczyły. Okazało się, że świat nadal jeszcze istniał. W tej chwili mało mnie to jednak obeszło. Woląłem skupić się raczej na pracowitym przebijaniu nogami, by zwalczyć w sobie wszechogarniającą niemoc i sennność. A i tak nie udało się nie stracić poczucia czasu...

I wtedy dotarłem do ostatnich domów w mieście. Miejsce wydało mi się znajome. Tak, już nie miałem wątpliwości. Oto zbliżałem się do kresu Poznania...





JĘSZEK SOKOŁOWSKI

NAWET MYSZ MOŻE DOSTAĆ KOTA

PROWINCJONALIZM - - KOMPLEKS CZY ŚWIADOMY WYBÓR

Pytania takie jak w tytule trzeba zadawać, a nawet mnożyć je, aby można było przynajmniej w zarysie stworzyć nową definicję prowincjonalizmu. Nie zmieni to faktu, że termin ten niezmiennie kojarzył się pejoratywnie z małą miejscowością leżącą na uboczu, nazywaną potocznie zapadłą dziurą, tam gdzie wieje nudą a błotniste drogi prowadzą donikąd. Teraz na pewno nie, już nie. Skojarzenia zmieniły się tak jak zmienia się światopogląd. Teraz chciałoby się mieć na takim odludziu domek z gankiem, ogródkiem i napawać się ciszą, czystym powietrzem. Prowincjonalizm nie kojarzy się już z odległym, zapomnianym miejscem na mapie i nie zależy od położenia względem stolicy. Zależy tylko od ludzi, to oni tworzą klimat, od władz samorządowych, od urzędników, animatorów kultury, czyli od wszystkich tych, którzy ze społecznego nadania tworzą elity. Styl zarządzania gdzie głównym priorytetem jest zasada partnerstwa z mieszkańcami, nadaje rangę miejscu, staje się ono atrakcyjne poprzez „luksus” zwykłych usług na linii urząd - obywatel, bez ingerowania urzędników w samoistnie wytworzone mechanizmy obywatelskiej demokracji. Takie miejsca w naszym kraju już są, o swojskim wyrazie podkreślającym swoją regionalność, bez kosmopolitycznych naleciałości, które są typowe dla prowincjonalizmu tak jak i biurokracja. Bardzo istotna jest umiejętność pobudzania inicjatyw obywatelskich i wspomaganie ich.

„Obsłużcie mnie w jakimkolwiek wydziale waszego starostwa, gminy, dzielnicy, miasta a powiem wam gdzie żyć”. Pytanie w tytule sugeruje świadomy wybór pewnych grup społecznych, które poprzez swoją ignorancję i niewiedzę popadają w konformizm. Taka grupa nieuków, chcąc, nie chcąc, stworzy koleżeński, hermetyczny układ pełen ksenofobii i wrogości do wszystkiego co inne, obojętnie czy złe, czy do-

bre. Tylko przypadkiem mogą przysłużyć się społeczeństwu eliminując zły przepis, tylko przypadkiem, bo wykoszą równo wszystko, czego nie potrafią przyswoić lub się boją, dobre wzorce też. To prowincjonalizm w czystej postaci a źródła jego biją tak samo w metropoliach jak i w gminnych zaściankach. W dobie demokratycznych przeobrażeń, kiedy uczymy się żyć w społeczeństwie obywatelskim, wielu „wizjonerów” z różnych stajni ćwiczy na nas przeprowadzając rozmaite doświadczenia jakby chcąc sprawdzić ile materia wytrzyma. Wprowadzają reformy bez znieczulenia, operują na żywym organizmie, uparcie ingerując w każdą dziedzinę życia w imię nieśmiertelnie wyższych wartości i niezmiennie przyprowadzających o drżenie serca i łzy patriotycznych haseł. Wtedy właśnie wtedy prowincjonalizm staje się wszechobecny i można go rozpatrywać również w kategoriach wirusa, czyli choroby i równocześnie złej woli, czyli grzechu.

Pytanie tylko, czy da się to uleczyć?





ANDRZEJ KITLIŃSKI

NAJZWYCZAJNIEJ ZGASŁO ŚWIATŁO

Zgasło światło
zaskoczony bezpiecznik
wyzionął ducha.
Spokój w mgnieniu oka
nakrył płaszczem
wszystko wokół mnie.
A gdyby tak teraz
bezboleśnie umarł wszechświat
historia już by nie zdążyła
napisać słowa koniec.
Wystrzelona kula
zatrzymana w locie,
porcja śmierci
zastygła w strzykawce,
ręka podniesiona do ciosu
rozpłynęła się
nie zadając cierpienia.
Jakże szlachetny
finał niesfornej cywilizacji.
Śmieci wymiecione,
mądrość straciła twarz
nie znając dnia ani godziny,
czas dobiegł wreszcie do celu.
Nie ma nic proszę państwa
Pełnia iluzji w cylindrze
maga.
Ktoś zmienił bezpiecznik,
żarówki błyskawicznie
rzuciły jasność w przestrzeń
rozdzierając kopułę mroku.
Więc musi być jakaś kolejność,
coś zawsze przechodzi w coś.
A czy nicość może być czymś.



foto. Waldemar
Wylegański

ZBIGNIEW DMITROCA

Piosenka prowincjonalna

Na prowincji wszystko jest mniejsze,
Mniejsze domy, mniejsze pieniądze,
Za to życie jest spokojniejsze,
Choć te same rządzą nim żądze...

A w stolicy, a w stolicy
Forsa leży na ulicy,
A w stolicy byle śmieć
Szarogęsi się jak cieć!

Na prowincji wszystko jest prostsze –
Jacy ludzie, takie problemy.
Gdy ktoś skrzydła szerzej rozpostrze, Szczery
donos wnet go uziemi.
A w stolicy, a w stolicy...

Na prowincji smutek i nuda,
Nie ma szans na wielkie afery,
Nawet wiara w UFO i w cuda
Nie pomoże zrobić kariery.
A w stolicy, a w stolicy...



ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

HOMO MIASTOVUS

Pismo Święte nie przez przypadek zepsucie utożsamia z pierwszymi miastami. Babilon, Niniwa to synonimy upadku; Kain, ten sam co zabił Abła, miał pobudować pierwsze miasta; miejscy ludzie z Sodomy i Gomory mieli prowadzić się wyjątkowo nieprzystojnie, tak bardzo, że od Sodomy stworzono słowo „sodomia”. Piszę to, tak jak określił miłośnik nam panujący Redaktor, w kąciuku Okiem neowieśniaka. Gwoli tedy wyjaśnienia, chciałbym rozświetlić nieco termin „neowieśniak”. Urodziłem się i wychowałem w Warszawie. Myślałem, czułem i oglądałem świat jako warszawiak, czyli jako człowiek „miastowy”, wprost „wielkomiaastowy”, chciałoby się nawet rzec - przypominając slogan z poprzedniej epoki - jako człowiek „wielkoprzemysłowy”... I od pewnego czasu mieszkam pod Warszawą, na wsi, sto metrów od autentycznego lasu, takiego, co nie ma nic wspólnego z „miastowym” parkiem z ławeczkami i skoszoną trawą. Stąd określenie „neowieśniak”. Jestem wszak wieśniakiem niejako „wtórnym”.

Urodzić się, wychować, przeżyć ponad 30 lat w wielkim mieście, a następnie opuścić je i obserwować. To ciekawa perspektywa. Bliskość wielkiego miasta pozwala zachowywać mi z nim kontakty, zresztą, w dzisiejszym świecie internetu odległość przestaje pełnić tradycyjną rolę. Raz na jakiś czas dojeżdżam do centrum Warszawy. To ciekawe uczucie. Z mojej błogiej wioseczki trafiam w samo centrum miasta z betonu, dookoła wielkie bloki, chodniki. Nie ma drzew, nie ma zieleni, chyba, że w małych rezerwachach czegoś zbliżonego do natury. Zewsząd idą - raczej biegną - ludzie, tłumy ludzi, całe morze ludzi. Wszyscy pędzą i śpieszą się. Zewsząd jadą samochody, słysząc silniki, klaksony. Hałas jest ze wszystkich stron. Wystawiam nos i jedyne co czuję to różnego rodzaju smrody i zanieczyszczenia. Ilekroć trafiam do centrum miasta, zadaję sobie pytanie: jak tu w ogóle można żyć? Więcej: jak ja przez tyle lat tu żyłem?

Warszawa to nie tylko beton, hałas i smród. Są to jedynie zewnętrzne wyrazy procesów

duchowych. Świat, który stwarza człowiek, jest wszak wyłącznie refleksem tego, co znajduje się w jego duszy. Dziwaczne warunki są tedy świadectwem istnienia dziwnego człowieka: homo miastowy (człowiek miastowy). Marksisci, a w ślad za nimi szkoła behawioralna, zapewne powiedzieliby, że ludzie „miastowi” są produktem warunków materialnych, w których żyją, czyli betonu, huku i smrodu. Ale Karol Marks sam był człowiekiem z miasta i myślał jak „miastowy”, dlatego oparł swój system na mieszczańskiej mentalności, gdzie życie ludzkie i świadomość są warunkowane przez warunki materialne. Tak w ogóle, to warunki materialne nie determinują koniecznie ludzkich poglądów i mentalności, ale być może determinują myślenie ludzi z miasta. Może jeszcze dokładniej: stworzona przez „miastowych” kultura nakazuje im postrzegać świat w takich właśnie kategoriach. Duch Warszawy - a znajomi mówią mi, że w Krakowie jest podobnie - cechuje się alienacją z kultury tradycyjnej. Większość „miastowych”, szczególnie tych, co chętnie się przynależnością do inteligencji, to ludzie całkowicie obcy rzeczywistemu światu. To grupa, która utraciła związek nie tylko z przyrodą, lecz także z rzeczywistością. Żyje we własnym świecie, słusznie wykpionym jako „salon”. Nie oznacza to, rzecz jasna, że „salon” ów jest tak wielki i pojemny. Redakcja „Gazety Wyborczej” nie dysponuje aż tak rozległymi pomieszczeniami. Rzeczony „salon” to kilkudziesięciu czy kilkuset intelektualistów, często o esbeckiej lub marksistowskiej przeszłości, którzy nadają ton tzw. warszawce. Warto bowiem zauważyć, że reszta „wyształciuchów” nie myśli samodzielnie, lecz jedynie bezrefleksyjnie powtarza za „salonem”. To tenże „salon” nadaje ton i definiuje, co jest dobre, co złe; co piękne, co brzydkie; co europejskie, co ciemnogrodzkie; co postępowe, co nowoczesne; co europejskie, co kołtuńskie.

Adam Michnik powinien zastąpić Syrenkę w roli symbolu Warszawy. To tu od lat jest

największym autorytetem. Jakiego głupstwa by nie napisał, to tu właśnie znajdzie nie tylko czytelników, ale i admiratorów. Dotykamy tu bowiem istoty mentalności wielkomiejskich inteligentów. To ludzie pełni pychy i pogardy względem „wieśniaków” lub „wsiowych”. Pycha ta zasadza się na tym, że inteligent ukończył szkoły, posiada wyższą ogładę i kulturę, a przede wszystkim cechuje go „samodzielne myślenie” - to słynne libre examen potępiane przez nieomyłne Magisterium Kościoła. Odwrotnością inteligenta z wielkiego miasta miałby być przysłowiowy „moher”, który nie dosyć, że nie ma kwitów świadczących o wykształceniu, ale także charakteryzuje się brakiem samodzielnego myślenia, gdyż tylko powtarza naśladowczo - za o. Tadeuszem. Nie będę się spierał, czy „moher” powtarza za Toruniem. Powtarza. Ale inteligencja z wielkiego miasta powtarza dokładnie w taki sam sposób za „salonem”. Wszystkie te dyrdymały o „klerykalizmie”, „zabobonie”, „ciemnocie”, „ksenofobii”, „nietolerancji”. O ile tedy „moher” powtarza za Radiem Maryja i cytuję za „Naszym Dziennikiem”, o tyle inteligentki powtarzają słowo w słowo za TVN i cytują „Gazetę Wyborczą”. Przy tym twierdzą, że „samodzielnie myślą”. Ale tego też sami nie wymyślili: to wymienione media utwierdzają tych ludzi w przekonaniu, że powtarzanie za Adamem Michnikiem i Tomaszem Lisem świadczy o... samodzielnym myśleniu.

Dobry przegląd opinii salonowych daje program „Szkło kontaktowe” w TVN. To prze-

gląd opinii inteligentów zirytowanych przez rządy mitycznego „ciemnogrodu”. Warto posłuchać. Z nienawiści do jasnie rządzącego Polską „kołtuństwa” widzowie zdążyli już bronić - zagrożonych deubekizacją - esbeków, a nawet twierdzą, że minister Ziobro jest „niewyżyty seksualnie”. Nie ma to jak jaśniejąca samodzielna myśl salonowców z wielkich miast! Zasada libre examen w ostatniej fazie rozwoju...

Nie dziwny się. Ludzie „miastowi” nie żyją przecież problemami wiary, Kościoła, tradycji, obyczajów i spraw codziennych. Ich życie obraca się wokół kwestii praw człowieka w Tajlandii i w Turcji, praw kobiet i emancypacji w Afganistanie, „aborcyjnego podziemia” i widma „drugiego Iranu” w Polsce. To ich świat, świat, którego nie ma; który istnieje wyłącznie wirtualnie na łamach „Gazety Wyborczej”. Jaki świat, takie problemy. To w sumie tylko zlepek rozmaitych ideologii wytworzonych przez nowożytnych filozofów w opozycji do Cywilizacji Zachodu. Alienacja w świecie wielkiej płyty organicznie (w przypadku miasta raczej mechanicznie) łączy się z alienacją kulturową. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że ci wyobcowani z prawdziwej rzeczywistości ludzie chlubią się „samodzielnym myśleniem” i „refleksją krytyczną”. Żadnego myślenia i żadnej refleksji! Wydaje im się, że są klasą średnią, a są tylko sierotkami po socjalizmie.

Już ja znam was, wiem jak myślicie, przez lata wśród was mieszkalem, ludzie z wielkiego miasta! Wy jeździcie w ciepłe miesiące na majówki za miasto zobaczyć wieś i dziwnych ludzi - „chamów”, co na tej wsi mieszkają bez windy i zsypu na klatce schodowej. I traktujecie brak bloku z wielkiej płyty jako przejaw cywilizacyjnego zacofania. Co jakiś czas jeżdżę sobie do Warszawy, aby was zobaczyć, w waszych klatkach z betonu, w pisku silników i smrodziku z rur wydechowych. Uprzedzam, będę obserwował i badał wasz rezerwat nie-rzeczywistości, która stała się rzeczywistością i opisywał go „okiem neowieśniaka”.



☛ Marek Melaniuk



Udział biorą:
HANNA BANASZAK,
BOBA JAZZ BAND
AND
JEWSKIEGO
...remont
...roszewski
...ownictwo muzyczne
ENRYK MAJEWSKI
...n 20.10, g. 23.00 w Kawiarni „Centrum”
...o - MAZOWIECKIE CENTRUM KULTURY I SZTUKI W WARSZAWIE.
(piątek) i 25 zł (sobota) do nabycia w Centrum
...dz. 9.00-20.00-rezerwacja telefonicz. 644 66 00
...SZALEK BEJMIKU MAZOWIECKIEGO, DROSED SA,
...BEKURACJI POŁONIA SA, AGENCIA TECHNICZNO-HANDLOWA DG,
...-SALON DĄBROWSKI, AGENCIA REKLAMOWA SKAN-PLOT

SIEDLCE 20

NA CENZUROWANYM

Wkrótce! 1-3 KWIETNIA
...Festival
w obsadzie międzynarodowej:
ECJA, TURCJA, AUSTRIA, NIEMCY, SZWA
je-Centrum Kultury i Sztuki, tel. 280-34, 26





ARTUR ROGALSKI

Siedlce 12 V 2006, Kawiarnia Literacka „Centrum”

PROMOCJA TOMIKÓW "ETER" ROBERTA KONCY (LIW 2006), "PASAŻE" IZABELI FILIPEK (LIW 2006)

Niebo nad Siedlcami powoli kończyło prezentację popołudniowego błękitu na rzecz granatowych barw majowego wieczoru, gdy w tutejszym „Centrum” rozpoczynała się prezentacja tomików poetyckich Izabeli Filipiek i Roberta Koncy. Spotkanie zorganizowane zostało dzięki wsparciu Eugeniusza Kasjanowicza, któremu za pomoc, w imieniu dwojga poetów, niżej podpisany jeszcze raz dziękuje. Słowo wstępne wygłosił gość specjalny - Zdzisław Łączkowski, przyjaciel i mistrz obojga twórców, obowiązki gospodarza pełnił wspomniany już Eugeniusz Kasjanowicz. Pierwsza wystąpiła Iza. Prezentowane wiersze przeplatała pio-

senkami, we własnym - znakomitym - wykonaniu. Druga połowa wieczoru należała do Roberta. Wybrane przez niego teksty także uzupełniał śpiew - poetyckie strofy wspierały dźwięki Clannad, Theriona i Nightwish. Rolę muzyki w trakcie spotkania trzeba mocno podkreślić - melanz słowa mówionego i śpiewanego uczynił wieczór prawdziwie metafizycznym.

Promocję otworzył - jak już wspomniałem - Zdzisław Łączkowski swym słowem wstępnym, zakończył zaś Robert Konca miniesejem *Czym jest pisanie?*, będącym rodzajem hołdu dla Wielkiej Pani - Poezji, a zarazem bardzo osobistą odpowiedzią na rudymen tarne dla każdego twórcy pytanie. Oba te teksty - korespondujące ze sobą i wzajemnie się uzupełniające - zamieszczam poniżej. Cóż można jeszcze dodać... Może i nie wypada mi tego pisać (ponieważ dołożyłem swą skromną cegielkę do scenariusza wieczoru), ale było to bodaj najbardziej urokliwe siedleckie spotkanie poetyckie w trakcie ubiegłego roku, spotkanie z rzędu tych, po których w zakamarkach mózgu pozostaje myśl, że... warto tworzyć. Wydaje się, że takie same odczucia miała wyjątkowo licznie zgromadzona tego wieczoru w „Centrum” publiczność.

Podobnie magiczne wrażenie wywarło na mnie spotkanie z Andrzejem Kietlińskim (kilka dni wcześniej w tym samym miejscu). Szkoda tylko, że trochę zabrakło reklamy jego występu, w związku z czym liczba słuchaczy była bardzo niewielka.



Izabela Filipiek i Zdzisław Tadeusz Łączkowski (fot. A. Rogalski)

ZDZISŁAW TADEUSZ ŁĄCZKOWSKI

SZANOWNI PAŃSTWO!

Zabiorę Państwu nieco więcej czasu niż może powinienem. Jest bowiem ku temu niezwykła okazja: dwie książki poetyckie a książka to przecież świętość. Dwie książki ludzi, których nie ma na szpaltach gazet, a być przecież powinni, zasługują na to swoją postawą wobec życia i sztuki. To, co o nich powiem, to jeszcze nie recenzja czy esej, to zaledwie moja swobodna, pobieżna i pospieszna refleksja, zasługują bowiem na więcej, ale ten czas, który tu dzisiaj z nimi spędzamy, jest czasem nade wszystko im poświęconym, abyśmy mogli obcować w pełni z ich poezją, abyśmy mogli słuchać ich utworów i poddać się, choć przez chwilę, urokowi polskiej liryki, która rodzi już nowe w sztuce, czego my jesteśmy świadkami. To godne podkreślenia.

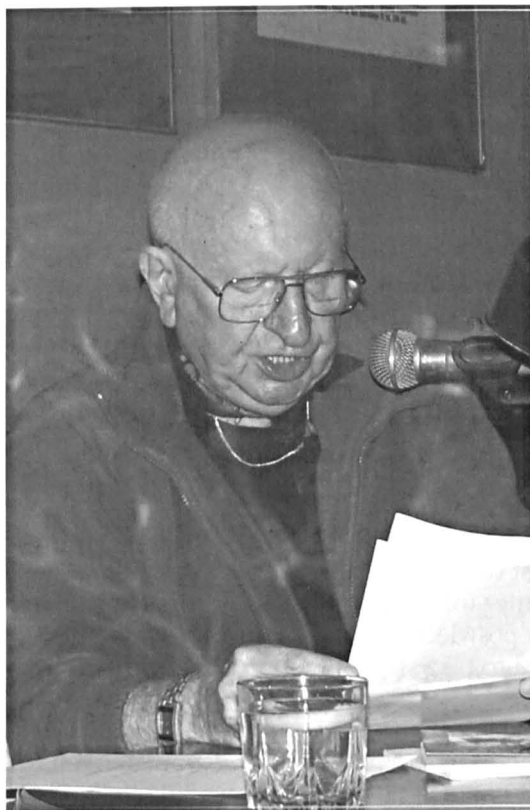
Dwoje poetów. Poetów już ukształtowanych artystycznie i gdyby nie nasze miałkie życie literackie to poetów w czołówce tego życia duchowego. Iza Filipek i Robert Konca. „Wyszli” u tego samego wydawcy, jest to Muzeum Zbrojownia na Zamku w Liwie. „Wyszli” w tym samym czasie. Są jednak bardzo inni od siebie, bardzo różni poetycko. Żyją z dala od zgiełku, a twórczość ich zasługuje na „wrzawę”, zasługuje na to, aby była ukazywana, co, mam nadzieję, jednak się stanie, bowiem są oryginalni, ciekawi, ukazujący świat w bardzo współczesnych barwach, sięgający do głębi istoty naszego świata - „być” i „trwać”.

Izabela Filipek, poetka, pieśniarka, animatorka kultury i życia literackiego, które dzisiaj szczególnie należy ratować, pracuje w Muzeum Wojska Polskiego jako kustosz ekspozycji katyńskiej. Urządza godne zapamiętania i utrwalenia spektakle mowy wiązanej, poświęconej tym, którzy zginęli w Katyniu (oczywiście nade wszystko twórcom, którzy tam zginęli). Z pewnym wzruszeniem myślę tutaj o Lechu Piwowarze, który związany był, podobnie jak ja, z

Zagłębiem Śląsko-Dąbrowskim, a ściślej z niewielką osadą Ząbkowicami Będzińskimi. Iza prowadzi też radiowe audycje poetycko-muzyczne i do tej pory w radio występuje. Laureatka wielu nagród poetyckich, m.in. w Karczewie, Ciechanowie, także w Siedlcach, Ludwinie, Kruszewicy. Wcześniej wydała już zeszyt poetycki. Razem z małżonkiem, majorem Jackiem Filipkiem, prowadzili, a właściwie nadal prowadzą, Salon Literacki u siebie w domu na Ochocie.

Izabela Filipek - jej wiersze to nade wszystko poezja

codzienności, piękna codzienności, jej dramatu. Iza z powszedniości poprzez swą poezję czyni liryczny kształt w obrazach piękna. To bardzo swoista filozofia życia codziennego. To jeden z najpiękniejszych darów, jakim jest miłość. Dramat miłości i miłosierdzia w szerokim znaczeniu tego słowa. Prosta w swej liryce, a jakże głęboko przemawiająca do nas metaforą tych wierszy. Te wiersze cechuje nade wszystko prostota i piękno, a także duch w nich



Zdzisław Tadeusz Łączkowski
(fot. A. Rogalski)



Izabela Filipek
(fot. A. Rogalski)

zawarty i ogromna wrażliwość i czystość słowa, które poetka podejmuje rozsądnie i odpowiedzialnie. Tematy podejmowane przez artystkę w Pasażach zawsze dotyczą sensu życia, jego trwania. A więc dramatu i nadziei, często może i trudnej, ale nadziei, która w tej liryce spełnia się. Urzekająca prostota, o czym już wspominałem, czyni niejedenkrotnie z tych utworów

obszary wizyjności, które stanowią o tym, co będzie. Poetka nie boi się (i to dobry objaw, świadczący dobrze o kształcie tej liryki), nie boi się tematów, które są jak gdyby „staroświeckie”, i dzięki temu nad tę uroczą staroświeckością odnosi zwycięstwo. Jest to więc liryka budząca duży szacunek, uznanie, a nawet, podziw że w czasie, w którym żyjemy, można jeszcze widzieć świat i człowieka w autentycznym dramacie, pięknie i tej norwidowskiej nadziei. I jeszcze jedno, jeszcze jedna pasja Izy Filipek (jej wszechstronność jest tutaj godna podziwu), ta pasja to również fotografia i film. Nakręciła kilka filmów poświęconych ludziom sztuki i kultury, i to także filmów nagradzanych.

Robert Konca. Poznałem tego poetę przed wieloma laty i już wówczas byłem prawie pewien, że to artysta, że narodził się nowy pisarz o wręcz niezwyklej wadze twórczej. Podobał mi się wówczas jego artystyczny bunt, a taki bunt zawsze rodzi pokorę. Jako kierownik bardzo znanej i cenionej gazety codziennej „Słowo” wydrukowałem utwory poetyckie Roberta (to był ewenement, bo któż w gazecie codziennej drukował poezje?). Robert to docenił, docenia i wspomina o tym w swojej nowej książce Eter, inni zapominają - a może się wstydzą? To za moją przyczyną, nie chwaląc się, Robert związał się ze Staromiejskim Domem Kultury w Warszawie. Ten Dom cenił sobie Roberta jako autentycznego już wówczas

twórcę. Zapraszany też był wówczas Robert do klubu „Krag”, klubu dobrze i godnie służącemu kulturze polskiej w tamtych, jeszcze niezupełnie wolnych, czasach, bo Robert Konca tworzy przecież już od 20 lat. Był także nagradzany w licznych i prestiżowych konkursach literackich. Jego pierwszy tomik poetycki pt. Herezje wręcz mnie zadziwił swoją dojrzałością i bystrością obserwacji świata i człowieka. Jego wiersze drukowane, czy to w „Słowie”, o którym wspominałem, czy w „Sycynie”, „Krzywym Kole Literatury”, czy w „Templum Novum” zawsze śledziłem, widząc w nim rasowego poetę, twórcę, który wnosi nowe do młodej literatury polskiej. Robert był zawsze indywidualnością, świadczą o tym także jego przynależności: do siedleckiej grupy literackiej „Ogród” i nieformalnego stowarzyszenia poetów „Klub im. Julio Cortazara”.

Świętość i występki - to wówczas pełnia życia. Bowiem nic nie powstaje z nowego, wszystko ma swoje źródła. Bardzo mi się podobają tego rodzaju wyznania liryczne, gdyż one dotyczą pełni życia. Są gdzieś na pograniczu ksiąg Starego Testamentu. Mówiąc o tym w sposób dojrzały, a czyni to Robert Konca, dajemy, a raczej daje poeta, świadectwo mądrości serca. Gdyż dobro i zło od wieków walczą ze sobą, walczą o nas i obok nas. I wszystko zależy od nas, naszej postawy, wrażliwości, świat składa się także z rzeczy pięknych, z czystej pięknej codzienności.

Do refleksji i zamyśleń prowadzą słowa, poetyckie słowa Roberta, który mówi o samotności jako chwilach twórczych, potrzebnych, ale i bolesnych, dramatycznych. To nie paradoksy, to intuicja i



Robert Konca i Zdzisław Tadeusz Łączkowski
(fot. A. Rogalski)

mądrość poetycka. Upadek - ludzie nazywają go rozwojem, czy to nie nonsens? A może właśnie te upadki, te garby, które nosimy, dają nam oczyszczenie, może w nich kryje się jakiś bardzo głęboki sens. To poezja filozoficzna zmierzająca do zamyslenia i refleksji. Eter to bardzo dramatyczny tom i stąd jego piękno, gdyż tom ten jest brzemienisty w piękno, ból, ale i nadzieję. Powiedziałbym nawet tak: ten tom wierszy Roberta Koncy można nazwać metafizyką piękna. Wiersze Pożegnanie, Agnieszka... Dawno już nie czytałem poezji o tak odkrywczym tęsknotach i marzeniach, to są wiersze do głębi ludzkie, sięgające do dna naszej duszy. Mądry wiersz pt. Marian, to problem, który i we mnie tkwi. To prof. Dąbrowski mawiał, że ludzie chorzy są zdrowsi od zdrowych. Ich wrażliwość na ludzkie dramaty może budzić tylko podziw.

Końca po ludzku, poprzez rozum i serce, pragnie dojść do prawdy, przynajmniej jej dotknąć, prawdy, nawet tej bardzo dla nas bolesnej, okrutnej, ale prawdy. Często więc artysta jest na krawędzi otchłani, Kosmosu czy szczęścia. Bardzo to poetycko mądre, jeśli tak można powiedzieć. A ten kamień, który przemienia się w proch i ducha - to wręcz rewelacyjne. Cóż jeszcze? Trafiające do serca erotyki, dzisiaj nie jest łatwo pisać erotyków. No i ogromnie ciekawy obszar liryczny zajmują wiersze, które nazwałbym

„wadzeniem się z Bogiem”. To poetyckie rewelacje.

Proszę Państwa - już na zakończenie, gdyż i tak za długo mówiłem, a powinni jeszcze o tym co za chwilę powiedzieć i inni. Wielkie dzięki za dobry mecenat nad kulturą, za podanie dłoni twórczości poetyckiej młodym twórcom, gdyż poeta jest zawsze młodym. Podziękowania dla wydawcy - już tutaj wspomnianemu Muzeum-Zbrojowni na Zamku w Liwie oraz dla Totalizatora Sportowego. Tak przecież powinno wyglądać godne wspieranie autentycznych talentów. Nie mam bowiem nic przeciwko kulturze masowej, jeżeli ona obraca się w kręgach godności i autentycznie służy dobru, jeśli buduje. Nie może być tak - co niestety często się dzieje - że tzw. wielka (piszę tzw. gdyż kultura jest jedna) bywa pomijana, lekceważona i traktowana jako przysłowiowy kwiatek do kożucha.

ROBERT KONCA

ARTUROWI ROGALSKIEMU CZYM JEST PISANIE?

Co skłania człowieka do tego, żeby był równie bezczelny jak ja i usiadł tu przed Wami, dzieląc się swoimi myślami i uczuciami, trzęsąc się przy tym z powodu tremy i nieśmiałości?

Bohumil Hrabal powiedział kiedyś, że najlepsze w pisaniu jest to, że nie trzeba tego robić. Nikt pisarza "pod pistoletem nie trzyma".

Chociaż znany jest przypadek Jerofiejewa, którego koledzy po piórze zamknęli kiedyś w barakowozie, aby wreszcie skończył pisać powieść. Jerofiejew miał prawo do krótkiego spaceru i setki wódki, ale pod warunkiem ukończenia kolejnego rozdziału. Nie muszę chyba dodawać, że praca wkrótce nabrała

tempa.

Mam potrzebę

utrwalania

szczęścia i

cierpienia, piękna i

zdziwienia, miłości

i przyprawiających o zawroty głowy metafizycznych podróży; dopiero wówczas pozwalałam, aby to wszystko przeminęło, odpłynęło w swoją tajemną stronę, tam gdzie być może nigdy nie będzie mi dane dotrzeć.

Ostatnio byłem w górach, na Słowacji. Mam tam swoje miejsca do kontemplacji; miejsca, w których lepiej słyszeć, co mówi do nas świat. W jednym z takich miejsc siedziałem



Robert Konca
(fot. A. Rogalski)



📷 Tomasz Młynarczyk

sobie przed zachodem słońca. Nagle z zadumy wyrwały mnie krzyki w języku polskim, to znaczy w jego najbardziej zdegenerowanej wulgarnej formie. Wyrzależem ze swojej samotni. Pięciu naszych rodaków, ubranych w dresy, robiło sobie zdjęcia na tle ośnieżonych gór. Pozowali do fotografii wznosząc ręce w hitlerowskim pozdrowieniu. Wyszedłem zza skały. "Bardzo was proszę o opuszczenie tego pięknego miejsca, albowiem nie zasługujecie na to, aby tu dłużej przebywać" - przetłumaczyłby subtelny dyplomata to jedno słowo, które krzyknąłem w ich języku, tak, aby zrozumieli. Po prostu użyłem skrótu myślowego, metafory, przerzutni... by nie powiedzieć: dźwigni. Odeszli po chwili. Byłem zły, a wówczas wyglądam naprawdę strasznie. Byłem też boso i myślę, że uznali mnie za niebezpiecznego szaleńca.

Nieposkromiony może być gniew pustelnika, któremu przerwano medytację - mówi stare przysłowie tybetańskie.

Ale to ich świat zwycięża. Świat, w którym wrażliwość jest powodem wstydu i drwiny, a usankcjonowane chamstwo i barba-

rzyństwo powodem do dumy. Za kilka lat to oni będą rządzić, nauczą się obsługiwać przyciski w parlamencie, bo ręce podnosić już potrafią doskonale.

A ja będę kronikarzem zanikającej delikatności, Archiwistą Bożych inwazji w rzeczywistość, Strażnikiem tajemnic, których czasem nie ma komu przekazać,

Czułym obserwatorem uśmiechającym się przez łzy.

Będę nasłuchiwał szeptu Ziemi i Gwiazd, starając się nadażyć za coraz szybciej pędzącym przez pustkę Wszechświatem i za gasnącymi losami ludzi. Musimy się spieszyć, bo zazwyczaj jesteśmy spóźnieni o krok.

Kiedyś postanowiłem pojechać do Pragi, żeby spotkać się z Hrabalem. Mniej więcej w chwili, kiedy wsiadałem do pociągu w Warszawie, Bohumil Hrabal, autor Zbyt głośnej samotności i największy miłośnik piwa i kotów w Europie Środkowej, wyskoczył z okna na piątym piętrze praskiego szpitala.



Tomasz Łękańczyk
ESSEJE





MARIUSZ BOBER

PODRÓŻ Z KOŁEM W TLE

Historia tej podróży zaczyna się dobre pół wieku temu, kiedy to jeszcze nie było mnie na świecie. A jednak w jakiś sposób już związała się z moimi losami. Gdyby chcieć wprowadzić pewien porządek, to historia ta dotyczy pewnego powozu, pewnego pisarza i, oczywiście, mnie. Pół wieku temu był już ten powóz, był pisarz, nie było jeszcze mnie...

Kiedy pewnego dnia, pełen obaw, wszedłem do Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie, zapukałem do drzwi. Uchyliłem je, wewnątrz siedziało kilku panów debatujących o literaturze. Cichym głosem powiedziałem, że ja na konsultację literacką przyszedłem. Wstał łysawy pan, w okularach na nosie, i zaprosił na piętro, by, jak się okazało, przepytac mnie z literackich zainteresowań. Obok całej tej interesującej dyskusji o literaturze i moich nieśmiałych twórczych krokach, w tle tliła się podróż z kołem. I rzeczywiście, ta historia okazała się w tym spotkaniu najciekawsza.

Pół wieku temu, kiedy w Radzynie po ulicach nie poruszały się jeszcze pojazdy spalinowe, na pobliską stację powoli toczył się powóz prowadzony przez mojego pradziadka. Powóz jak powóz. Ten jednak został ku-piony od rodziny Szlubowskich, tak tak, właśnie od TEJ rodziny Szlubowskich. Nigdy na oczy tego powozu nie widziałem, a ponoć stał na naszym podwórku aż do czasu, kiedy nie został sprzedany. Traf chciał, że właśnie pół wieku temu ów pisarz, który ze mną rozmawiał, jechał TYM powozem na pobliską stację, kołyszac się i podziwiając uroki naszej okolicy. A przecież powóz przejeżdżał obok tej samej ulicy, na której dzisiaj mieszkam. I nic pewnie w tym dziwnego. Kiedy, tak siedząc i debatując o moich literackich poczynaniach, ów pisarz zapytał, skąd jestem, okazało się, że i jemu są bliskie te okolice. Że i Lublin. Że kiedyś i przejazdem

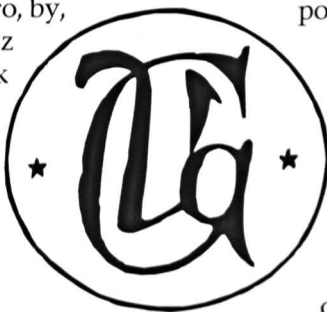
Radzyń. Że jechał na pobliską stację, nie wiedząc nawet, że wiezie go mój pradziadek, że toczy się na kołach, które dowiozą go do naszego efemerycznego spotkania. Po powozie nie pozostało nic. No, prawie nic. Zostało tylko jedno koło, które od kilku ładnych lat zdobi nasz domowy ogród. Cóż, wiedziałem, że to od powozu. Że od powozu Szlubowskich. Ale nie przypuszczałem, że gdzieś w jego eterycznym polu tliło się wydarzenie, które zrealizuje się dopiero po pięćdziesięciu latach.

Dzisiaj ten pisarz ma już lat 81, ja 31. On nazywa się Zdzisław Tadeusz Łączkowski, ja Mariusz Bober. On jest personą w świecie

polskiej literatury, bo jak być nią nie może, skoro to on promował poezję ks. Twardowskiego, ks. Karola Wojtyły i wielu innych. Skoro ma na swoim koncie mnóstwo książek, publikacji, spotkań. W tych okolicznościach jest mi niezręcznie pisać o Przyjacielu od koła, bo jego życiowa droga

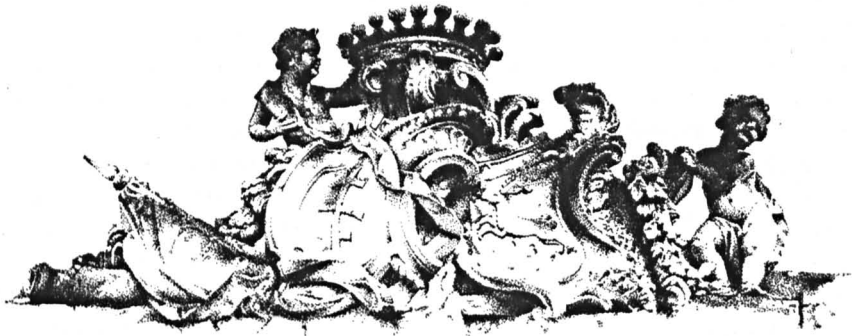
potwornie długa i bogata, zatem, jeśli mi wolno w tej niezwyklej historii polecić Ci spotkanie z tym wartościowym człowiekiem, koniecznie sięgnij po jego książki, są w naszej pałacowej bibliotece. A ja? Ja mam ogromną radość, że to koło, spoczywające w moim domowym ogrodzie, wytoczyło, tak nagle, historię, a raczej człowieka-historię, którego w jakiś przedziwny sposób udało mi się spotkać i z nim zaprzyjaźnić.

A koło? Kto wie, może jeszcze niejedną skrywa opowieść, którą ujawni w czasie sobie tylko znanym. A jeśli kiedyś zechcesz je zobaczyć - zapraszam. Stoi dumnie skrywając w sobie kto wie co jeszcze.





AGNIESZKA PAŁKA



Wylania się z mglistej poświaty
Gmach co dech w piersiach zapiera
Wewnątrz przez wiekowe komnaty
Światło się z trudem przedziera
Niegdyś kotary muskało z atłasu
Dziś tylko parkiet pobłyskuje w tle
A sedno uroku gdzieś ugrzęzło
W czasie niepospolitym śnie
W obrazach odżyją Potoccy
I koń z rydwanu aż zarży
Usłyszają milczenie samotne
Którym się pałac im skarży
Usną na nowo na lat kilkanaście
Lata przetrwają straszne
Aż względna myśl draśnie
Książęce oblicze
Lecz ono zasnęło na zawsze



DARIUSZ MAGIER

SYN EUROPY

CYWILIZACYJNA MYŚL ROMANA DMOWSKIEGO

1.

Roman Dmowski *wymiennie przyczynił się do odzyskania niepodległości; niekwestionowany ojciec polskiej idei narodowej; animator narodowego odrodzenia, czyli demokratycznego rozbudzenia ławy narodu zamkniętej zaskorupiałą powierzchnią; twórca nowoczesnego obozu narodowego; poseł na Sejm Rzeczypospolitej; minister spraw zagranicznych; naukowiec; myśliciel; publicysta; doktor honoris causa Uniwersytetu Cambridge i Uniwersytetu Poznańskiego...* by powtórzyć tylko encyklopedyczne zasługi.

Twórca polskiego nacjonalizmu; patron szowinizmu; faszyzmu; rodzinnych czarnosecińców; ojciec obskurantyzmu i antysemityzmu... czytamy w niszowych pisemkach sierot po ideologii raju na ziemi.

W tym tekście chciałbym pokazać jednak Dmowskiego inaczej, przez pryzmat cywilizacji łańskie. Pokazać Dmowskiego, który będąc stuprocentowym Polakiem, potrafił stać się stuprocentowym Europejczykiem. Dmowskiego jako dziedzica Europy Benedyktów (świętego i papieży).

2.

Owocem współczesności jest pozorny konflikt, jaki znamionuje relacje: nacjonalizm idea europejska. Jest on efektem panowania rewolucji: primo - oświeceniowej, czyli rewolucji w ideach; secundo - francuskiej i bolszewickiej, czyli rewolucji w faktach, i... tertio - demokratyczno-liberalnej, jako kontynuatorki rewolucji w faktach.

Zanim rewolucyjna myśl oświeceniowa przeżarła na wskroś mózg człowieka współczesnego, Europa była zjednoczona w sposób, o jakim jedynie marzyć mogą współcześni epigoni tzw. integracji. Zjednoczona chrześcijańskim ustrojem o średniowiecznej proveniencji, który znamy pod szerokim pojęciem *Christianitas*. W XIX wieku Europę opanował duch nacjonalizmów. Ale duch ów, w opozycji do ducha rewolucji, czyli ducha oświecenia, wyrastał wprost z *Christianitas*. Jednym z najważniejszych

bowiem składników nacjonalizmów jest chrześcijaństwo. „Bez tego, co zrobił chrześcijaństwo i Kościół Rzymski w dziejach, nie istniałyby narody dzisiejsze” - napisze Dmowski w pracy *Kościół, Naród, Państwo*. „Dziełem Kościoła było wychowanie indywidualnej duszy ludzkiej, mającej oparcie moralne w swym własnym sumieniu, a stąd posiadającej poczucie obowiązku i odpowiedzialności osobistej”.

W przypadku narodu polskiego taki wpływ miał katolicyzm. Cytujmy nadal ojca polskiej myśli narodowej: „Katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie, w znacznej mierze stanowi jej istotę. Usiłowanie oddzielenia u nas katolicyzmu od polskości, oderwania narodu od religii i od Kościoła, jest niszczeniem samej istoty narodu” (*Kościół, Naród i Państwo*). Tym samym religia katolicka była tym czynnikiem, który „urabiał” narodowego ducha. W cytowanej przed chwilą pracy autor pisze również: „Kościół, bądź jako współpracownik prawa, bądź w walce z nim, urabiał wiekową pracą duszę jednostki, zbliżał ją ku dojrzałości, kształcił w niej sumienie, niszczył pierwotne, utrudniające byt społeczny instynkty, naprawiał obyczaje, [...] tworzył silną rodzinę. [...] Panujący bądź popierali go w tej pracy, bądź przeszkadzali mu, toteż taką pracę mógł wykonać tylko potężny Kościół, powszechny, niezależny od władzy państwowej i zdolny jej się przeciwstawić”. A ruch narodowy stanowił u swych źródeł racjonalną reakcję narodów katolickich na ekspansję rewolucji w łonie Kościoła, przenikającej jednocześnie na łono społeczeństwa, reakcją na ekspansję myśli protestanckiej. „Wielki naród - napisze ojciec polskiego ruchu narodowego - musi nosić wysoko sztandar swej wiary. Musi go nosić tym wyżej w chwilach, w których władze jego państwa nie noszą go dość wysoko, i musi go dzierżyć tym mocniej, im wyraźniejsze są dążności do wytrącenia mu go z ręki” (*Kościół, Naród i Państwo*).

3.

Cywilizacja łacińska to prymat indywidualizmu nad instynktem stadnym. To nieustanny wysiłek przewyższania uczuć człowieka pierwotnego i zamieniania go w pożytek publiczny. To nieustanne rozbijanie *JA* na *MY* i arena ponadczasowej walki *BYĆ* z *MIEĆ*. Dmowski wskazuje najprostszą drogę przewyższenia tych trudności, którymi obarcza ludzkie bydlę. Myśl Dmowskiego potwierdza, że idea narodowa jest drogą do wywyższenia jednostki, gdyż powstała jako naturalny etap rozwoju społeczeństw wyrosłych z tradycji Zachodu. Tradycji, w której duch i materia egzystencji współżyją w idealnej symbiozie. Ojciec polskiego ruchu narodowego ujmuje to następująco: „Nasza cywilizacja, cywilizacja rzymska, wielkość swoją, swą wyższość nad wszystkimi innymi zawdzięcza przede wszystkim temu, że podniosła jednostkę ludzką i uczyniła ją przedmiotem prawa”. W tym miejscu nawiązuje do tzw. *zdobyczy* rewolucji francuskiej (*idealów* oświecenia), przestrzegając, że nasza cywilizacja widzi jednostkę jako *kommunis* - wspólnotę: w rodzinie, społeczeństwie. Tym samym dobro społeczności stawia ponad prawami jednostki. Píše: „Zasada [...] praw jednostki wyzwolonej z wszelkich krępujących ją więzów, przeciwstawionej społeczeństwu i państwu pojmowana, jak ją pojęła rewolucja francuska i jak ją pojmuje [...] wiek XX, jest zabójczym wypaczeniem podstaw cywilizacji rzymskiej” (*Zagadnienie rządu*, 1927).

Tymczasem w ciągu kolejnego półwiecza ta anty-kultura zdobywała kolejne przyczółki i nie zdążyliśmy się obejrzeć, jak scheda po cywilizacji łacińskiej (czyli zachodniej, czyli europejskiej) opiera się już li tylko na Kościele Powszechnym. Oto, jak zauważa Dmowski, prawdziwe „dziedzictwo stuleci, dziedzictwo moralne i prawne, będące wynikiem wiekowej pracy Kościoła, państwa, instytucji prawnych, [gdzie] jednostki i społeczeństwa noszą w sobie całą przeszłość” (*Zagadnienie rządu*).

Myśl Dmowskiego jest na wskroś europejska. To myśl otwarta i już tylko talmudycznie zdeklarowani przeciwnicy odważają się



uparcie twierdzić, że jego idea narodowa jest introwertyczna. Przeciwnie, otwiera się na nasz region cywilizacyjny. Na Europę, która stanowić ma teren koegzystencji narodów. Zdrowej koegzystencji, czyli tak współpracy jak i rywalizacji. „Naród, który nie podąża za innymi w cywilizacji, który nie stara się ich wyprzedzić, nie zestarzeje się i nie zginie ze starości, ale za to przez inne zostanie pożarty. Nasz materiał rasy, jeśli nie będzie szybko zużytkowany przez polską cywilizację ku wytworzeniu polskiej indywidualności narodowej i polskiej siły politycznej, zostanie zagarnięty przez kultury ościenne i przez nie przerobiony”. Konkurencyjność bowiem wynika z rywalizacji, w razie separacji - zaniknie. Jak wyjaśni ideowy uczeń Dmowskiego, Tadeusz Bielecki, to właśnie stanowi „świadomy patriotyzm, normujący całe życie narodowe, patriotyzm na co dzień”.

4.

W nieukończonych pracy pt. *Duch Europy* przedstawia Roman Dmowski genezę cywilizacji europejskiej, na którą złożyła się kultura grecka, szlif rzymski i duch chrześcijański. „Pogrążonemu w nicości człowiekowi, zauważy Mariusz Bechta, dało chrześcijaństwo wiarę i siłę na przetrwanie. Wyzwolonemu z nakazów moralnych społeczeństwo poddało przykazaniom Bożym. Pychę zastąpiła chrześcijańska pokora, z upodlenia i poniżenia podniosła go wiara w życie wieczne, obojętnego i przepelnionego egoizmem nauczyla miłości bliźniego, zdolnego do aktów miłosierdzia i poświęcenia”. Człowiek wyposażony w oręż chrześcijaństwa nie tylko nie cofa się przed złudną potęgą fizyczną barbarzyństwa, ale kontratakuje przez swą siłę moralną. I zwycięża. Co prawda, jak przekonuje Feliks Koneczny, niższa cywilizacja jest w stanie wyprzeć ideały wyższej, jednakże siła ducha wyższej kultury zawsze jest w stanie oprzeć się pustce idei kultury nie przejawiającej większej wartości. Dlatego tak iluzoryczna jest wszechpotęga dominującej dziś kultury masowej, gdzie narody wyzwolone spod sowieckiej dominacji stały się niewolnikami konsumpcji posuniętej do ostateczności, rozkoszy i dobrego samopoczucia. Któryż to raz w historii dawny niewolnik zachłystuje się wolnością i poddaje trybowi życia, który prowadzi do autodestrukcji. Ciało bierze górę nad duchem - oto najkrótsza definicja odchodzenia od idei Europy, od jej rzeczywistych, łacińskich korzeni. „Liczy się tylko dusza, to ona powinna panować nad wszystkim innym” - podkreśli Leon Degrelle, ostatni przedstawiciel „wieku rycerzy”, jeden z tych, co to najpierw odnoszą zwycięstwo nad sobą, a dopiero potem nad innymi. Odejście od indywidualistycznej koncepcji człowieka zrodziło zastanawiające zjawisko strachu przed wolnością, funkcjonujące również w wymiarze intelektualnym.

5.

Uporządkowania myśli, a zwłaszcza ducha, pozazdrościła cywilizacji łacińskiej rewo-

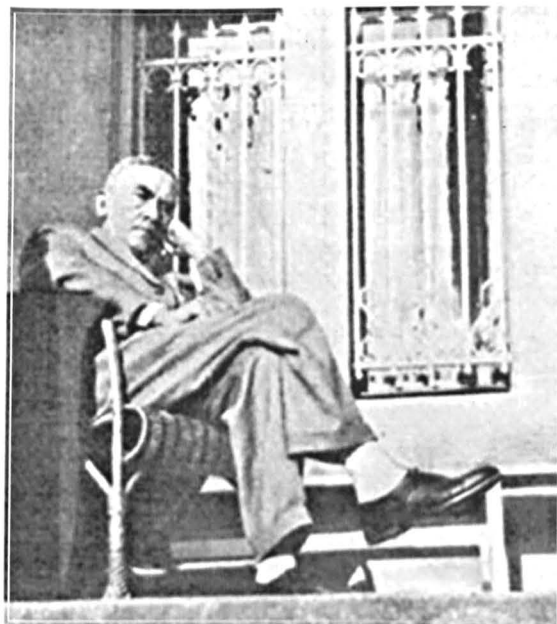
lucja, która jawi się przez to niczym innym jak tylko (powtarzając za de Oliveirą) porównywalną do „tajfunu, trzęsienia ziemi, cyklonu, szalejących sił natury będących materialnymi podobiznami nieokiełznanymi namiętności człowieka”. Co nie jest Boskie jest szatańskie, a poza Bogiem nie ma Kreatora. Dmowski doskonale zdaje sobie z tego sprawę i jako jeden z najważniejszych archetypów idei narodów europejskich wskazuje chrześcijaństwo. „Bez tego, co zrobił chrześcijaństwo i Kościół Rzymski w dziejach, nie istniałyby narody dzisiejsze” pisze w pracy *Kościół, Naród i Państwo*. „Dziełem Kościoła było wychowanie indywidualnej duszy ludzkiej, mającej oparcie moralne w swym własnym sumieniu, a stąd posiadającej poczucie obowiązku i odpowiedzialności osobistej”.

6.

Realizacja jakichkolwiek projektów poza myślą Boga, jest jedynie mrzonką. Myśl, która nie pochodzi od Stwórcy, jest myślą zaszczepioną przez Odwiecznego Przeciwnika. Szatan zaś, podobnie jak człowiek, nie może być kreatorem, choć z takiego lubi przed człowiekiem uchodzić. Jest tylko Małą Pana Boga, która przerabia stworzenie w jego własną karykaturę. Stąd również pomysł odtworzenia Cesarstwa Rzymskiego - Unii Europejskiej, lecz już bez chrześcijańskich korzeni, co tak dobitnie wyartykułował prezydent Niemiec Johannes Rau podczas obchodów rocznicy Zjazdu Gnieźnieńskiego w 2000 roku. Uniwersalistyczna idea chrześcijańskiego Cesarstwa Rzymskiego na naszych oczach ziszcza się w pogańskie Cesarstwo Paneuropejskie, z „Nowym Kościołem”, nową, mglistą religią, która faktycznie stanowi anty-religię. Jej cele wytknie inny Niemiec, ks. Karol Stehlin, to: „nowy Bóg pozbawiony bezmiaru nieskończonego majestatu; nowy człowiek przypisujący sobie boskie przymioty (wolność, godność, autonomię) i mający jedno tylko zadanie - samo-realizację”.

Roman Dmowski jest nieodrodnym synem Europy łacińskiego ducha. Miara jego osoby wynika z ponadczasowości myśli. Wbrew pozorom jest ona bardzo aktualna.

Dlaczego więc, można spytać, na takie trudności napotyka jej percepcja? Czy wynika ona ze skali tej myśli oraz... zrealizowania części jego postulatów? Być może sami nie zdajemy sobie sprawy z tego, ile pozostało w Polakach z Dmowskiego. Jak pisał Jędrzej Giertych zaraz po śmierci ojca polskiego ruchu narodowego: „Dmowski-pisarz jest jednym z tych wielkich polskich pisarzy, którzy wiążą naszą cywilizację narodową najmocniej i najbardziej organicznie z wielkim światem cywilizacji łacińskiej. Bez większej przesady stwierdzić można, że gdyby nie Dmowski i jego twórczość pisarska to całe oblicze naszego narodu byłoby dzisiaj [...] bez porównania mniej łacińskie i zachodnie, niż jest w rzeczywistości. Zarówno treść poglądów Dmowskiego, na wskroś europejskich, rzymskich, wywodzących się z dziedzictwa cywilizacyjnego Zachodu, świata katolickiego, starej, autentycznej Polski, jak nawet i forma, w której poglądy te zostały wypowiedziane i jako pokarm myślowy narodowi polskiemu dane, forma, której podstawowymi rysami są: rzymska, żelazna logika, łacińska jasność i prostota, łacińska lapidarność, zwieżłość, dobitność i siła, są i na zawsze pozostaną w naszym piśmiennictwie jednym z najpotężniejszych faktów sprawiających, że piśmiennictwo to należy na wskroś do zachodniej Europy”.



7.

Funkcjonujący w Polsce stereotyp Polaka-katolika, ku zadziwieniu ignorantów, nieoczekiwanie staje się podstawą optymalnego modelu społeczeństwa. „Nie można być, zauważał Adam Doboszyński, pełnym człowiekiem nie kochając swego narodu, ale miłość ta nie może być ślepa na prawo innych ludzi do miłości do innych narodów. Jest pod słońcem miejsce dla każdego uczucia narodowego bez rwania więzi ogólnoludzkiej”.

Niestety straty polskiej inteligencji konserwatywnej w wyniku okupacji niemieckiej i komunistycznego terroru pozbawiły polskie społeczeństwo antidotum na zarazę tego świata. Eksterminacja elit pozostawiła w społeczeństwie pustkę, której długo nie można będzie zapłacić.

Na koniec przytoczmy jeszcze jeden cytat.

Dotyczy on świtu cywilizacji Zachodu, a pochodzi z ostatniej, nieukończonych pracy Romana Dmowskiego, zatytułowanej *Duch Europy*: „Nastąpił ostateczny koniec świata starożytnego. Nie był to wszakże taki koniec, jak innych zaginionych cywilizacji [...]. Rzym oddał polityczne panowanie silnym społecznie ludom barbarzyńskim, ale duchowo nad nimi zapanował; z barbarzyńcy europejskiego wyrósł silny człowiek indywidualny, wychowany przez myśl grecką, prawo i dyscyplinę rzymską, wreszcie, co najważniejsze religię i moralność chrześcijańską. Cywilizacja nowych ludów europejskich stała się dalszym ciągiem cywilizacji antycznej. Było to dziełem Kościoła Rzymskiego, który wziął ludy pod swą władzę duchową i wychował ich umysłowość na podstawach grecko-rzymskich, którym moralną siłę dawała religia Chrystusowa”.

Bibliografia:

- M. Bechta, *W poszukiwaniu utraconego dziedzictwa*, „Templum”, nr 1/2001.
- T. Bielecki, *W szkole Dmowskiego*, Gdańsk 2000.
- L. Degrelle, *Plonące Dusze*, Paryż-Warszawa 2000.
- A. Doboszyński, *Teoria Narodu*, Warszawa 1993.
- P. C. de Oliveira, *Rewolucja i Kontrrewolucja*, Kraków 2001.
- Ks. K. Stehlin, *U źródła kryzysu*, „Zawsze Wierni” 2/2003.





AGNIESZKA PAŁKA



przy rydwanie
wyścig zdobień, wyścig złociń
pustych, błahych
niebanalnych...
żywe rzeźby bez kamienia
bez marmuru zioną nędzą
pyłek, grymas-uśmiech?
wyraz wstydu, nie nagości
barwy bladej
Apollo...



BARBARA JEDLEWSKA
Zakład Pedagogiki Kultury UMCS

OJCZYZNA - LUBELSZCZYZNA. DUMA CZY KOMPLEKS PROWINCJI?

Ojczyzna - doskonale pamiętam to słowo jeszcze z dzieciństwa jako jeden z terminów najbardziej wzniosłych i sentymentalnych. Odnosiliśmy je wówczas do całego naszego narodu, kojarzyliśmy z Polską. Z dumą recytowałam wierszyk „Kto Ty jesteś? Polak mały...”. Ze wzruszeniem czytałam słowa Adama Mickiewicza: „Litwo, Ojczyzno moja...” i innych autorów wielkiej literatury, którzy wyrażali swą miłość do ojczyzny. Wiedziałam, że dla nich i wielu innych ludzi Ojczyzna stanowi wartość najwyższą - jak zdrowie, a nawet życie. Czy piękna czy brzydka, czy biedna, czy bogata - nieważne - bo to Ojczyzna - kochana, jedyna, niezastąpiona. Jako dziecko nie wnikałam głębiej w moją ojczystą przestrzeń, nie zastanawiałam się nad jej konkretnymi walorami i mankamentami. Raczej bezwiednie rejestrowałam uroki sadów, pól i lasów małej, podlubelskiej miejscowości, w której przyszłam na świat. To była moja pierwsza, ta najbardziej sentymentalna, ojczyzna. Potem, w wieku kilku lat przeprowadziłam się do Lublina, który stał się moją drugą - i jak dotąd ostatnią - małą ojczyzną. Jednakże z czasów dzieciństwa i młodości najbardziej utkwilo mi przeświadczenie, że mam jedną, jedyną ojczyznę - Polskę. Nie miałam wątpliwości - byłam Polką... z Lublina. Nastąpiły lata wielkich przemian cywilizacyjnych,

zawierających w sferze wartości i dylematów związanych z tożsamością narodową i kulturową. W obliczu zagrożeń wynikających z procesów globalizacji i unifikacji świata kategoria ojczyzny pojawia się w nowej odsłonie. Mamy do czynienia z nowym wymiarem problemu, bowiem ojczyzna jednocześnie nam się „rozrasta” i „miniaturyzuje”. W sensie narodowym zmienia swój profil ze względu na wchłonięcie jej przez większy organizm. Pod znakiem zapytania staje też ojczysta odrębność kulturowa gdy patrzeć nań z perspektywy ogólnoswiatowych tendencji. A dzisiaj jak powiem o sobie - Polka z Europy? Europejka z Lublina? Chyba prościej - jestem Lublinianką, idąc za głosem serca i wskazując konkretne miejsce, to najbardziej „moje”. Jako obywatele kilku ojczyzn stajemy przed dylematem. Każdy z nas ma ojczyznę dużą (w sensie narodu, kontynentu, świata) i tę małą, najbliższą, najbardziej swojską i intymną przestrzeń codziennych doświadczeń, przeżyć, osobistych kontaktów. Którą umiujemy najbardziej? Czy możemy pokochać wszystkie ojczyzny jednakowo? Czujemy się zagubieni. Gorączkowo poszukujemy własnego miejsca na ziemi - przestrzeni intymnej, swojskiej i bezpiecznej. Uwaga kierowana jest w stronę małej ojczyzny - zakątka, gdzie by można poczuć się dziś najlepiej i



najbezpieczniej. I tu pojawia się znowu pytanie - czy takie miejsca istnieją? Jaki jest ich kształt? W jakim stopniu zglobalizowany świat im zagraża?

Pytania te stawiam jako obywatelka „nowego świata”, zbłąkana w labiryncie wielu ojczyzn, mieszkanka jednej z małych ojczyzn i przede wszystkim pedagog. Szukam odpowiedzi, biję się z myślami. Cieszę się, że mam okazję podzielić się swoją refleksją z Czytelnikami nowego pisma „Kozirynek”, za co serdecznie dziękuję ludziom, który zaprosili mnie do grona autorów pierwszego numeru.

Niniejszy tekst poświęcam rozważaniom na temat aktualnej sytuacji małych ojczyzn, a w szczególności mojej Ojczyźnie - Lubelszczyźnie, która obecnie przeżywa swoisty dla wielu regionów „kryzys prowincji”. Dedykuję go wszystkim jej mieszkańcom, a przede wszystkim tym osobom, które nie tracą nadziei i kochają, bez względu na stan kryzysowy, oddając jej nie tylko swoje serce, ale cały potencjał myśli i czynów.

Małe ojczyzny w zglobalizowanym świecie

Problematyka małych ojczyzn stanowi aktualny temat rozważany na gruncie różnych dyscyplin naukowych, w publicystyce i rozmowach codziennych. Dyskutowane są kwestie dotyczące obecnej kondycji i przyszłego kształtu, prowadzi się badania postaw mieszkańców, formułuje strategię rozwoju. Mała ojczyzna dla wielu ludzi stanowi wartość niezastąpioną, miejsce zakorzenienia, filar wsparcia, przyjazna przestrzeń, źródło siły i energii - boryka się dziś z poważnymi problemami i wymaga zwiększonej troski. Obecnie podkreśla się konieczność łączenia czynników ideologicznych i emocjonalnych (umacnianie tożsamości, poczucia dumy regionalnej) z utylitarnymi (wartości użyteczne, pragmatyczne kompetencje umożliwiające adaptację i rozwój), gdyż dopiero tak ukształtowany organizm może być zdolny do wygenerowania czynników samorozwoju. Szczególny niepokój budzą te ekspertyzy, z których wynika, iż los małych ojczyzn jest bardzo „kruchy”. Znajdują

się one dziś w szponach wielkiej, zglobalizowanej maszyny, która zagraża nie tylko ich autonomii, ale istnieniu. Zdaniem współczesnych antropologów trudno już teraz mówić o pojedynczej, konkretnej ojczyźnie w wymiarze narodowym i kulturowym w czystej postaci. Mamy natomiast do czynienia z powszechnie narastającym zjawiskiem rozmywania się granic ojczyzny, także tych symbolicznych. Jak dowodzi Gordon Mathews - wielki „supermarket kultury” wyrwa poszczególne kultury „z korzeniami” i składa je na nowo, w pewne całości. W efekcie kształtuje się nowa, „hybrydowa” postać złożona z elementów różnych kultur. Niewykluczone, pisze przywołany antropolog, że takie pojęcia jak „kulturowe korzenie” i „ojczyzna” w przyszłości w ogóle zanikną, a już na pewno stracą swój dotychczasowy sens. Również kategoria małej ojczyzny w wersji tradycyjnej odchodzi w niepamięć i może pozostać jedynie w sferze naszych marzeń. Rodzą się nowe problemy. Czy jesteśmy/będziemy zdolni miłować małą ojczyznę w jej nowej postaci?, czy będziemy zdolni, zechcemy podjąć większy wysiłek, by kreować jej przyszłość? A może się poddamy/poddajemy, ulegając naporowi „z zewnątrz” i bardziej lub mniej świadomie godzimy ze swoją nową tożsamością obywatela „wieloojczyznowego”? Jednoznaczna odpowiedź wydaje się trudna, a nawet nie wiem czy w ogóle możliwa, szczególnie w odniesieniu do dalszej przyszłości. Szalone tempo zmian we współczesnym świecie powoduje utrudnienia w przewidywaniu jednej wersji zdarzeń. Zresztą pełna odpowiedź nie jest celem tego opracowania, nie dysponuję też odpowiednim materiałem empirycznym. Koncentruję się zatem na bieżących problemach najbliższego otoczenia mojej małej ojczyzny, którą jest Lubelszczyzna. Rozważam w jakiej jest dziś kondycji, co czują jej obywatele. Czy mówią o niej z dumą, jak kiedyś mówili o Polsce i potrafią ją kochać autotelicznie, taką, jaką jest, piękną, ale ubogą? Czy raczej traktują ją jak „brzydkie kaczątko”, którego się wstydzą, albo „zło konieczne” codziennej udręki, z którym przyszło im się zmagać bez nadziei zmiany na lepsze? Informacji na ten temat dostarczyły mi badania ankietowe, które

od dwóch lat realizuję w ramach autorskiego projektu „Ojczyzna-Lubelszczyzna. Duma czy kompleks prowincji?” na losowo dobranej grupie mieszkańców regionu. Dotychczas zebrałam przeszło trzy tysiące ankiet. Dla celów tego opracowania poddałam analizie 1000 wypowiedzi, które dały podstawę do sformułowania prezentowanych tu wniosków.

Ojczyzna Lubelszczyzna jako prowincja w opinii powszechnej i oczach mieszkańców

Powszechnie mówi się o Lubelszczyźnie, że jest zakątkiem niezwykle urokliwym pod względem przyrodniczym, krajobrazowym, kulturowym, a jednocześnie uważana jest za region ubogi, o wątej kondycji nie tylko w sferze ekonomicznej ale też wielu innych, czego konsekwencją jest marginalna pozycja w kraju i Europie. Polska B, C... a nawet Polska Z. Taką opinię słyszymy niemalże na co dzień. Postrzegana jest jako prowincja w negatywnym sensie, nie tyle z powodu położenia geograficznego, z dala od centrum, ale głównie ze względu na mentalność zamieszkującej tu ludności - zaściankową nieudolność, bezradność, zacośanie w różnych dziedzinach życia. „Republika kartoflana”, „prowincja pszenno-buraczana”, „wiocha zabita dechami”, „ciemnogród” to tylko niektóre przykre, ogólnie znane epitety, jakie padają pod adresem naszego regionu. Negatywny wizerunek sukcesywnie utrwalają lokalne media, które, szczególnie w ostatnim czasie, prawie „na okrągło” bombardują informacjami o trudnej, a wręcz beznadziejnej sytuacji, jak np. „Lubelszczyzna na dnie”, „Niestety Lublin prowincją”, „Lublin miasto bez przyszłości”. Eksperci „z zewnątrz” dobijają różnymi rankingami, w których Lubelszczyzna wypada fatalnie. Powszechna opinia i atmosfera rzutuje na postawy mieszkańców. Dowiodły tego prowadzone badania, z których wynika, że wpływ ten jest wyraźny i w szczególności dotyczy ludzi młodych, chociaż nie tylko. Wielu mieszkańców traci optymizm. Lubelszczyzna staje się w ich oczach miejscem coraz mniej atrakcyjnym, traci autorytet, wyraźnie zamienia się w śro-



📷 Tomasz Młynarczyk

dowisko ryzyka, bez szans na przyszłość. Apatia i brak wiary w rychłą poprawę sytuacji w naszym regionie powoduje narastanie niebezpiecznych zjawisk, które można określić „syndromem bezradności” i „kompleksem prowincji”. Budzą one niepokój, gdyż szczególnie dotyczą ludzi młodych. Zagrożają bowiem utraceniem kapitału ludzi zdolnych i wykształconych, którzy stąd odchodzą nie widząc dla siebie perspektyw. Na podstawie dotychczas zanalizowanego materiału empirycznego można stwierdzić, że około połowa badanych mieszkańców odczuwa kompleks prowincji. Dla jednej trzeciej respondentów ich mała ojczyzna stanowi powód do dumy, pomimo sytuacji, w jakiej się obecnie znajduje. Pozostałe osoby mają raczej racjonalny niż emocjonalny stosunek do swojej ojczyzny. Znamienne jest to, że większość osób odczuwających kompleks stanowią mieszkańcy dużych miast regionu (w tym Lublina), natomiast najsilniejsze poczucie dumy mają respondenci pochodzący z małych miejscowości i wiosek, a w szczególności mieszkańcy Kazimierza Dolnego, co pozwala nazwać tę miejscowość swoistą „wyspą dumy regionalnej”. Badani postrzegają swój region jako prowincję, zarówno w sensie negatywnym jak i pozytywnym. Biorąc pod uwagę ich postawy wobec swojej małej ojczyzny możemy wskazać trzy grupy respondentów. Pierwszą stanowią mieszkańcy, którzy widzą Lubelszczyznę jako prowincję w sensie negatywnym - zacośany zaścianek, w którym nie da się żyć. Badani dostrzegają jego walory, ale przede wszystkim mankamenty. Są zasmuceni, zirytowani a nawet



📷 Tomasz Młynarczyk

zbulwersowani. Wstydzą się za swoją ojczyznę. Mają sceptyczne nastawienie, cechuje ich postawa bierna. Odczuwają kompleksy niższości. Do drugiej grupy należą osoby, dla których ich region jest prowincją w pozytywnym znaczeniu - cichy zakątek, z dala od głośniego, wielkomiejskiego świata. Są emocjonalnie związani z tym miejscem. Ich zdaniem posiadanie takiej ojczyzny to powód do dumy. Trzecia grupa mieszkańców ma do swojej ojczyzny stosunek bardziej racjonalny niż emocjonalny. Większość z nich zgadza się z powszechną opinią o złej kondycji Lubelszczyzny, ale nie tragizuje, nie wyklina, ani też się zbytnio nie rozczuła nad pięknem, które obrasta „brzydotą”. Są raczej skoncentrowani na tym co zrobić i jak działać, żeby zmienić sytuację na lepsze. Badani mieszkańcy z grupy pierwszej mają na

temat Lublina i regionu bardzo złe zdanie, są pełni smutku, goryczy, irytacji. Czują się pokrzywdzeni, że przyszło im tu mieszkać i żyć, odczuwają kompleks prowincji. Wielu z nich docenia wprawdzie walory przyrodnicze, architektoniczne i inne, ale ich zdaniem tracą one swój blask w obliczu nieskończonej listy mankamentów, do których zaliczają m. in. zacofanie gospodarcze, kulturalne, brak inwestycji, finansów, kapitału obcego, brak możliwości zatrudnienia, brak łączności ze światem (lotnisk, odpowiednich dróg), ogólny marazm i brak kompetentnych ludzi z charyzmą. Za te „grzechy” obwiniają przede wszystkim władze lokalne, którym wytykają nieudacznictwo. Badanych charakteryzuje postawa nieufności wobec władz, innych ludzi. Uważają, że winę za tę sytuację ponoszą inni i oni też powinni ją naprawiać. Sami nastawieni są asekuracyjnie, ale roszczeniowo. Raczej pesymistycznie patrzą w przyszłość, stąd większość planuje „ucieczkę”, by realizować karierę zawodową i zarabiać na życie, nie widząc tutaj szans dla siebie. Dużą grupę wśród osób planujących wyjazd stanowią studenci - marzą o „lepszym świecie” - Europie, Ameryce. Jednak wielu z nich przyznaje, iż obawia się, że może sobie nie poradzić „na obczyźnie”, odczuwa lęk a nawet strach i wyznaje, że wyjedzie stąd z obciążeniem „kompleksu prowincji”. Swoje opinie na temat Lubelszczyzny reprezentanci tej grupy wypowiadali w różnej formie. Jedni czynili to w sposób rzeczowy, w tonie spokojnym i smutnym, inni niemalże „wykrzykiwali” swój „ból” używając niejednokrotnie słów ostrych, aroganckich, a nawet wręcz obelżywych. A oto kilka charakterystycznych wypowiedzi:

„Lubelszczyzna z jednej strony to przepiękne, malownicze swojskie krajobrazy, czyste ekologicznie, atrakcyjne tereny, obszar obfitujący w wiele ważnych miejsc, wydarzeń oraz postaci historycznych. Z drugiej zaś to zapomniana, zacofana wieś, o której zapomniało państwo, które niewiele inwestuje w jej życie. Większość ludzi żyje tutaj bez perspektyw rozwoju. Sąsiedztwo z Ukrainą sprawia, że jesteśmy z nią często utożsamiani przez naszych rodaków z Polski A czy B”.

„Lublin to duża aglomeracja, miasto studenckie a jakoś tak prowincjonalnie! Ogólnie jest szaro, nudno i bez wyrazu. Nic więc dziwnego, że większość moich znajomych chce stąd uciec”.

„Będąc mieszkańcem Lubelszczyzny jest mi czasami wstyd za region, który jest moim domem. Zwłaszcza będąc poza terenem naszego województwa i słysząc opinie ludzi o nim. Najgorsze jest to, że oni często mają rację i nie mogą zareagować i odpowiedzieć. Wstyd mi również, że Lubelszczyzna jest najbiedniejszym regionem w Unii Europejskiej. Traktowani jesteśmy jak Polska drugiej kategorii, typowa prowincja, gdzie można spotkać jedynie bandytów, a niektórzy traktują nas jak Ukraińców!”.

„O demokracji trudno tu mówić jak jest FOLWARK ZWIERZĘCY, jedna świnia zabija drugą. Brak moralności, zakłamanie, łapówkarstwo, ciągły wyścig szczurów, byle do przodu, byle więcej. To jest obraz naszej rzeczywistości Istny chlew! Władza to BANDA! Żaden BURAK na stołku nie pomyśli o innych, tylko o sobie, nie pomyśli, by ściągnąć na Lubelszczyznę wysokie technologie. Dobra już mi się nawet nie chce narzekać, za dwa tygodnie s...m stąd”.

„A kto jest temu winny? Niemoty, które rządzą województwem i w miastach. Ktoś kto coś znaczy, chce działać to ucieka jak najdalej z Lubelszczyzny. Ludzie przedsiębiorczy i z inicjatywą mają dość tutejszej ciemnoty i zakłamania”.

Przykro czytać te słowa. Jakże smutny byłby los Lubelszczyzny, gdyby wszyscy mieszkańcy prezentowali podobne postawy. Wówczas już chyba rzeczywiście trudno byłoby mieć jakąkolwiek nadzieję na lepsze jutro. Co mogłoby nas czekać? - całkowite wyludnienie? pusty krajobraz? wojna domowa?... Lepiej sobie nie wyobrażać. Na szczęście mieszkają tutaj też inni ludzie, zakochani w swojej małej ojczyźnie mieszkańcy, dla których jest ona jedyna i najważniejsza. Nie kochają jej „za coś”, ale dlatego, że jest ich. Widzą więcej zalet niż wad, chociaż słabości też dostrzegają. Cierpią, bo ona cierpi, ale są pełni wiary. O swojej ojczyźnie myślą sercem, ale też kierują się rozsądkiem. Jedni bardziej emocjonalnie, inni raczej racjonalnie i pragmatycznie. Są dumni z powodu posiadania takiej ojczyzny i budzą takie postawy u

innych. Mowa tu o badanych z grupy drugiej i trzeciej, którzy razem stanowią zbiorowość wcale niedużo mniejszą od tej, która ma negatywny stosunek. Być może to właśnie w nich tkwi największa siła - trudno powiedzieć, ale ich słowa wydają się niezwykle budujące:

„Moja mała ojczyzna Lubelszczyzna postrzegana jest jako wielka prowincja bez perspektyw. Dla mnie jednak jest to miejsce niezwykle, jedyne, w którym czuję się bezpiecznie. Jest enklawą przyjaciół, rodziny, oazą pięknej przyrody. Tutaj odnajduję spokój i energię. Owszem, brakuje mi otoczki i atmosfery wielkich aglomeracji, wydarzeń kulturalnych, ale najczęściej są to tylko chwilowe pragnienia. Mam świadomość, że otaczająca mnie rzeczywistość nie jest idealna, ale jednocześnie wiem na pewno, że w innej nie potrafiłabym się odnaleźć”.

„Wielką wartość moich rodzinnych stron upatruję właśnie w ich zdystansowaniu wobec „Centrum” naszego kraju. Ludzie są skromni, życzliwi, bezpośredni w obyciu, co zapisuję im na plus. Żyją swoim życiem i cieszą się nim w pełni, i nie myślą tak często jak zdają się to czynić to ci z „Centrum”, że wielki świat mija ich gdzieś obok. Sami mają w sobie dość energii i radości, dlatego nie potrzebują być w miejscu znaczących wydarzeń. [...] Możemy być dumni z naszego regionu [...] Właściwie każdy mógłby powiedzieć podobnie o swoim zakątku Ziemi, ale ja nie mogę się uwolnić od tych krajobrazów. Nie zamieniłbym chyba tych wszystkich pagórków i wąwozów, żółtych pól rzepaku pod błękitnym, letnim niebem na żadne inne. Mieszkamy w jednej ze spiżarni karmiących ten kraj; wydaje mi się to być czymś niesamowitym. Tego może nam zazdrościć „Centrum”. Cechą wyróżniającą Lubelskie, w przeciwieństwie do np. Wielkopolski, czy Pomorza jest przewaga mniejszych plantacji i większe „pokaźowanie” ziem uprawnych, co daje niezwykle urokliwe efekty wizualne [...] Zresztą walory turystyczne są dość powszechnie znane. Kazimierz i okolice to jednak zupełny unikat, podejrzewam, że w skali przynajmniej kraju. Za to właśnie najbardziej lubię tę prowincję. Tutaj jestem u siebie i tutaj czuję się najlepiej. [...] Nie mam, jak przypuszczam, żadnych kompleksów



📷 Tomasz Młynarczyk

związanych z moim miasteczkiem. Nie brakuje mi teatrów i kin, bo wiem, że byłyby tu nie na miejscu. Zresztą mamy tu lepsze „widowisko”. Przepelnia mnie radość i duma ze szczęścia, jakie spotkało mnie i moich współmieszkańców. Nie każdy może mieszkać w Kazimierzu. Zawsze, gdy z kimś rozmawiam i mówię, że jestem stąd właśnie, mój rozmówca wyraża wielki, bezkrytyczny podziw dla mojego miejsca zamieszkania. Doceniam to, choć wiem, że nawet tu nie jest wcale tak różowo. No cóż, zawsze jest coś i wszystko ma więcej niż jedno oblicze[...].”

„Sądzę, że społeczeństwo mojego miasteczka nie odczuwa i nie odczuwało kompleksu prowincji. Siedząc na rynku można spotkać w jeden dzień więcej osobistości ze świata kultury, polityki i biznesu, niż przez tydzień krążenia ulicami centrum stolicy. Lubelszczyzna też nie wypadła sroce spod ogona: barok nadwiślański, Czartoryscy, unia z Litwą, unikalność krajobrazu i przyrody. Nazwę Puławy nosi jeden z kraterów

Marsa [...] Mieszkając przez kilkanaście lat w innej części kraju, kiedy w prasie, radio, telewizji lub rozmowach poruszano tematy regionu mojego urodzenia, czułam jednocześnie radość, dumę i tęsknotę. Jako podsumowanie tej krótkiej wypowiedzi chciałabym zacytować podsłuchaną (niechcący) rozmowę telefoniczną młodego człowieka: „Cześć, jestem w kulturalnym centrum wszechświata, zgadnij gdzie... tak, tak w Kazimierzu”.

„Mieszkając w „Polsce B” trudno nie mieć kompleksów. Kiedy odwiedzam inne, bliższe zachodowi regiony kraju, duże miasta, widzę różnicę „gołym okiem”. Podobnie w rozmowach ze znajomymi mieszkającymi w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu. Mieszkając tutaj mamy o wiele mniejsze możliwości znalezienia ciekawej pracy, uczestnictwa w ciekawych widowiskach artystycznych, sportowych itp. Tu życie płynie wolniej, czuć stare czasy, stare sposoby załatwiania spraw. Trudno być

anonimowym, wszędzie nepotyzm, układy. Do lekarza najlepiej trafić z polecenia znajomego, załatwić sprawy w urzędach-podobnie. Boli bieda lubelskich wsi, boli niższy poziom życia. O różnicach w zarobkach tu i tam trudno nawet wspominać, bo dzieli je przepaść. Można szukać swojego miejsca gdzie indziej, ale przecież nie wszyscy mogą stąd wyjechać! Jedyne co mnie trzyma to duma z tego jedyne na świecie miejsca. Lublin to taki Kraków wschodu. Dzięki temu, że tu życie płynie wolniej, możemy czuć się bardziej bezpieczni. Mamy czas na życie rodzinne, towarzyskie. [...] Mamy także słowa, które nie są znane gdzie indziej. Tak! Jestem zakompleksiona, dumna ze słowa „Ciapy” Lubelszczanką!”

„Moim zdaniem Lubelszczyzna ma wysoki potencjał w sobie. Mówiąc o wadach i zaletach należy przytoczyć takie słabości jak problem bezrobocia, można powiedzieć, że jest to region brudny, choć znam brudniejsze, można czasem odczuć płynące od mieszkańców uczucie smutku, pewnej niemocy, ludzie chodzą jak sparaliżowani, są bardzo przyjaźni lecz za mało uśmiechnięci. Tak więc uśmiechnijmy się, a inni uśmiechną się do nas. Może coś pęknie [...]. Należy pamiętać, że nie jest winą władz terytorialnych, że jest to czy tamto. Każdy z nas ma jakieś miejsce, na którym stoi, niech najpierw zrobi wszystko, co potrafi najlepiej obok siebie i rozejrzy się czy przypadkiem komuś nie trzeba pomóc. Ludzie za mało robią dla własnego rozwoju i przez to możemy odczuwać lenistwo i tę niemoc [...] Uważam, że Lubelszczyzna jest w cenie, ale nie potrafi się cenić dlatego jest uważana za Polskę „B”[...].”

Takie słowa niewątpliwie mogą podnieść na duchu i poruszyć niejedno skamieniałe serce. Przyznam, że kiedy je czytam, sama coraz bardziej się uskrzydlałam i nabieram wiary. Trudno ukryć wzruszenie, nawet łza mi się w oku kręci... Podziwiam ich autorów, a nawet im trochę zazdroszczę. Ja chyba nie jestem aż tak bez pamięci zakochana w tym regionie, chociaż wydaje mi się, że teraz moje serce zaczyna bić coraz głośniej. Owszem, doceniam walory, ale też patrzę krytycznie i nieraz aż mi się chce krzyknąć głosem rozpaczy. Pewnych rzeczy nie

mogę zupełnie tu zaakceptować, działania wielu grup osób wydają mi się bezsensowne. Czasem jestem nawet zła, że przyszło mi tutaj żyć i jestem „naznaczona” gorszą marką. Odczuwam kompleks z tego powodu, ale też, podobnie jak niektórzy respondenci, doświadczam poczucia dumy, kiedy przywołuje pozytywne obrazy i do głosu dochodzą uczucia, wspomnienia klimatu domu rodzinnego, w którym się urodziłam i wychowałam, prostych prawd życia, które poznawałam właśnie tutaj poznałam od rodziców i nauczycieli, czułości bliskich, niepowtarzalnego zapachu przyrody, czy smaku regionalnych potraw. I chociaż dręczą mnie różnego rodzaju niepokoje, jak wielu mieszkańców „regionu na prowincji”, to mam duże poczucie odpowiedzialności i potrzebę czynienia czegoś, by było lepiej, tym bardziej, że jestem świadoma coraz gorszej kondycji.

Chciałabym, aby ten mój tekst sprowokował szerszą dyskusję na poruszony temat i zainspirował mieszkańców i władze do działań sprawczych na rzecz obrony Lubelszczyzny przed szkalowaniem jej wizerunku oraz budowania lokalnej wspólnoty przepełnionej większym poczuciem lokalnego patriotyzmu i dumy regionalnej.

Nasza mała ojczyzna potrzebuje dziś wielkich, rewolucyjnych zmian, ale też i małych „dobrych uczynków” każdego z nas. Niech to będzie mały krok „do przodu” - gest przyjaźni, zaufania, dobre słowo. To niewiele kosztuje i każdego na to stać. Jeśli nie możemy, nie potrafimy czynić nic wielkiego to chociaż nie pozwalajmy jej tak „opluwać”. Myślmy pozytywnie i mówmy o niej więcej dobrych słów. Może to właśnie nasze ciepłe słowa okażą się mieć moc uzdrawiającą. Na pewno warto spróbować, by się o tym przekonać.





fot. Waldemar
Wyłęgalski

ZBIGNIEW DMITROCA

Pierwsza ballada opłótkowa. Basiaczka przemówiła

Basiaczka Romkowa baba
nie powiem niczego sobie
jak się odstrychnie w niedzielę
i dyrda na msze do miasteczka

Zanim poszła za Romka
co tyż nie wyliwa za kołnierz
z pierwszym się chłopem rozwiedła
i bidny się przez to powiesił

Wszystkie jij to pamientajo
bo co on chłopina był winny
że pił i bił Nie on jeden
No po co wlec chłopą do sądu

Romek miał niby być lepszy
ale i on awanturny
Jak sobie co z rana nie cwiachnie
chodzi skwaszony i brecha.

Nie żeby znowu był na nic
robotny ci on i zawzinty
a jak by go odziać w garnitur
to nikt by nie poznał że ze wsi

Romkowa trzyma się z boku
wstydliva czy musi niemota
i mało kto wi na wiosce
jakżeż się zwie ta Basiaczka

Aż tu ci raz na przystanku
przemawia jak mocno uczona
że ona nie lubi jak w mieście
mówio do dziecka Tereso

Wole powiada Basiaczka
jak mówim u nasz Tereska
Bo to jakoś je ładnij
tak mie się wiency podoba

Somsiadkom mowe odjęło
z wrażenia że tak się monduje
zupełnie jak nieromkowa
rychtyk jak jaka jehowa

Przytakiwały Romkowej
jak ksiendzu na spowiedzi
choć to się we łbie nie mieści
że można tak myśleć na darmo



NATALIA JULIA NOWAK

HydroMonolog

Uciekasz przez szpary w mych dłoniach,
choć mocno dziś palce zaciskam:
udajesz, że znikasz na chwilę,
lecz nigdy Cię już nie odzyskam.

Umykasz jak leśna zwierzyna,
przy łowcy niedawno stojąca...
Ach, na nic się zdało czekanie,
euforia beztroską płonąca!

Pragnęłam Cię posiąść na wieki,
gdyż zawsze za Tobą tęskniłam:
marzyłam, by odkryć Twe smaki
i chwilą bliskości cieszyłam.

Niestety - zapragnął przypadek,
by z oczu pociekła dziś rosa...
najgorsza jest bowiem tęsknota
za rzeczą zabraną sprzed nosa!

Backmasking

Niewielu słyszało o fakcie,
że pieśni od końca słuchane,
zdradzają niekiedy przesłania,
szerokiej publice nieznane.
Polega to na tym, iż głoski
składają się w inne wyrazy:
stąd biorą się w pieśniach niewinnych
dziwaczne i czasem złe frazy.

Na przykład w piosence Bitelsów,
słuchanej "od prawej do lewej",
możemy usłyszeć głos ludzki,
mówiący, że "Paul is a dead man".
W utworze B. Spears jest wiadomość
słyszalna przy wstecznym nagraniu:
"Śpij ze mną, nie jestem zbyt młoda"...
Cóż sądzić mam o tym nagraniu?!

Niektórzy wciąż głoszą, że teksty
nagrane wspak niszczą psychikę --
stąd sprzeciw dla ludzi, tworzących
niewinną z pozoru muzykę.
Zdarzają się również wywody,
iż rock jest narzędziem szatana:
wszak nieraz go chwali zła fraza,
"lustrzana" metoda nagrana.



ARTUR ROGALSKI

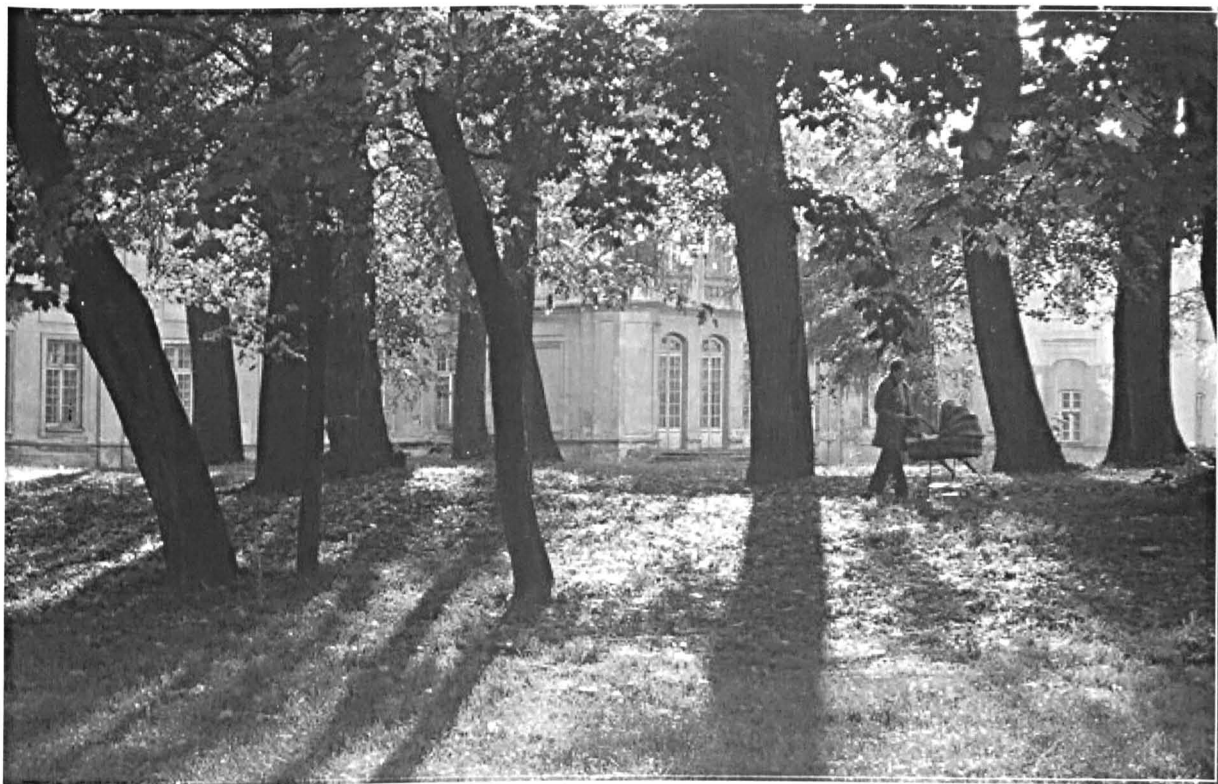
POGRANICZA, CZYLI PAN TADEUSZ PO PODLASKU

Obserwując rodzimą prasę dochodzę do wniosku, że termin „białe plamy” powoli odchodzi do lamusa. Coraz rzadziej się go używa, po wyjaśnieniu kulisów wielu dziejowych dramatów przestaje być potrzebny. Szkoda. Trochę źle się stało, że zwrot ten niejako zarezerwowano dla historii najnowszej. A w praktyce mieszkaniac naszych terenów, czyli niegdysiejszego pogranicza podlasko-mazowiecko-małopolsko-litewskiego o dziejach swej małej ojczyzny nie wie nic albo prawie nic. Ba, nawet tak naprawdę sam nie wie dokładnie gdzie mieszka i za włodarzami z Wiejskiej powtarza: na Podlasiu, na Lubelszczyźnie, na Mazowszu (o Litwie nikt taktownie nie wspomina). Bieżące potrzeby administracyjne całkowicie wzięły górę nad historią. No i przyznać trzeba, że w badaniach historycznych nad naszym regionem białych plam i plamek nie brakuje. A historia może i nie jest tak do końca *magistra vitae*, ale bywa w owym życiu bardzo przydatna. Jestem przekonany, że lepiej by nam się żyło gdyby miała faktyczny wpływ na życie dzisiejsze, nie tylko polityczne warszawsko-krakowskie, ale i radzyńsko-siedleckie, białsko-łukowskie, liwsko-drohiczyńskie itd. itp. Gdyż, co akurat w naszej Rzeczypospolitej wszyscy bardzo dobrze wiedzą, fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki i odwrotnie. Ha! dziwnie się czuję przekonując do historii, bo Polacy to przecież naród historyków i medyków, i każdy, jak kraj długi i szeroki, na te dwa tematy ma coś do powiedzenia (stąd też osobnik dysponujący prawdziwym wykształceniem historycznym często gęsto podczas towarzyskich debat ma do wyboru albo bronić historycznych imponderabiliów do końca, albo salwować się ucieczką).

Już samo zestawienie krain historycznych zbiegających się w punkcie pomiędzy Białą Podlaską, Radzyniem, Liwem i Drohiczyńnem obiecuje potencjalnemu badaczowi nie lada kąsek. To prawdziwy tygiel kultur, religii, nacji. Polacy, Tatarzy, Niemcy,

Szkoci, Rusini - słowem - wielobarwna Rzeczpospolita w pigułce. Istne pogranicze! A słowo „pogranicze” w odróżnieniu do „białych plam” nadal jest bardzo modne i odmieniane przez wszystkie przypadki. Pogranicza literackie, mentalne, społeczne etc., etc. odnajdują się cudownie w tych miejscach gdzie żadnego pogranicza nigdy nie było. Ale moda to moda, jak trzeba nosić mini to wszyscy, nie tylko Jenifer Lopez, ale i babcia Piegłasiewiczowa. Lecz kto jak kto, ale mieszkańcy terenów pomiędzy Wieprzem, Liwcem a Bugiem są dziedzicami prawdziwej kultury pogranicza i mają może największe prawo w dobie obecnej czuć się jej spadkobiercami i depozytariuszami.

Tylko jak tę kulturę odtworzyć i opisać? Druga wojna światowa oprócz masakr wyrządzanych człowiekowi przez człowieka była także jedną wielką masakrą wyrządzoną przez człowieka historii. Nasz region odczuł to szczególnie boleśnie. W pierwszej połowie wieku XIX archiwalia z terenu ówczesnego Województwa Podlaskiego (a więc także z Radzynia) zebrano w stolicy tegoż województwa, czyli Siedlcach. Jednak pod koniec tego samego wieku dokonano akcji scaleniowej; regionalne archiwa historyczne zlikwidowano a ich zasób przeniesiono do Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, gdzie leżały sobie spokojnie przez nikogo nie ruszane, aż do spalenia ich przez Germanów w 1944 roku. Nieco inaczej los obszedł się ze z archiwami i bibliotekami z Podlasia faktycznego, które do wojny spoczywały w Drohiczyźnie. Pewnego słonecznego poranka przyjechały sobie ciężarówki, wyskoczyli bojcy, zabrali papiery i książki i tyle ich widziano. Tak się jakoś fikuśnie złożyło, że tylko część archiwaliów pozostałych na gruncie lokalnym nie objętych późniejszą akcją scaleniową jakoś przetrwały wybryki chłopaków Józia i Adzia. Cóż, to kamień do ogródka wszelkiej maści zwolenników „akcji centralnych”, których i dzisiaj nie brak. Kiedy słyszę jak podczas otwarcia ekspozycji



📷 Tomasz Młynarczyk

„Ekstazy św. Franciszka” w Siedlcach dziennikarka „Rzeczypospolitej” publicznie postuluje przeniesienie El Greca i co cenniejszych zbiorów siedleckiego Muzeum Diecezjalnego do Warszawy, wówczas dopiero w pełni uświadamiam sobie, że w porównaniu z ignorancją postmodernizm to pestka.

Brak szczegółowych badań, ale też brak umiejętności stworzenia odpowiedniego modelu, a przede wszystkim uzupełnienia go odpowiednio barwną treścią, jak na razie stanowi podstawową przeszkodę w syntetycznym ujęciu dziejów miast i miasteczek pogranicza. Specyfika tychże jak dotąd wymyka się próbom ujęcia ich dziejów w karby historycznej narracji. Dotychczasowe publikacje traktują rzecz albo zbyt ogólnikowo albo rozbijają się w gąszczu mało istotnych szczegółów. Istna kwadratura koła. Zabawne, ale pomimo fali XX-wiecznych publikacji traktujących o dziejach miast polskich najbardziej plastyczny model dziejów małego miasta wyszedł w połowie wieku XIX spod pióra Juliana Bartoszewicza: „Kiedy takim sposobem małe miasteczko porzuci swą spokojność, w której się ukrywało przed okiem

dziejowem, zaczną około niego grupować się wypadki a miasteczko historyczne już teraz zacznie się zdobić nowymi wspomnieniami. Buduje się, rozrasta, stawia mury na swoich ulicach, myśli o życiu ducha i zakłada szkołę, szpital a nawet zamek. Dotąd modliło się w jednym kościele u fary, mieściło się w nim całe, a nawet wieśniaków przyciągało z okolic, dzisiaj już mu nie wystarcza starożytna budowa świątyni. Znajdzie się ktoś zatem, co zbuduje w miasteczku klasztor i sprowadzi do niego zakonników. Władza biskupia, poparta władzą rzymską, nadaje miasteczku odpusty, a ojczyzna przywileje, prawa, jarmarki. Czasem miasteczko robi się przez to dumniejsze. Stawia nowe kościoły, zamek swój okopuje wałami, otacza fosą. Do kościołów zaprowadzają się bractwa, to Różańcowe, to św. Anny, to Bractwo Miłosierdzia, to bractwo na cześć Bogurodzicy. Zaczynają się procesje po ulicach a nieraz spory pomiędzy bractwami [...]. Więcej jeszcze rozmaitości, więcej zapалу, ognia, kiedy w miasteczku zejdą się dwa nieprzyjazne obrządki, co pozornie kochają się a w sercu nienawidzą. Gorzej, kiedy reforma z Niemiec zaleci i zarazi całe

miasteczko. Socynianin kłóci się wtenczas z Arianinem, ewangelik z reformowanym, katolik kłóci się ze wszystkimi. Pokazują się Jezuici w miasteczku. Bogaty pan dziedzic miejsca albo właściciel sąsiednich kluczków, zapalony dla czci bożej, gorliwy, pobożny, buduje nowy klasztor i kościół dla Jezuitów, nadaje im fundusz i zaprowadza szkoły. Roją się doborem młodzieży kolegia jezuickie; dzieci to wszystko szlachty z okolic, paniątka, co mają niegdyś odgrywać rolę w Rzeczypospolitej. Za nimi tłumy się wloką pauprów, szlachty biednej i podupadłej, co służąc paniątkom, myślą i o nauce i o przyszłości. Wszystkich zapala religijny fanatyzm [...]. Walki po ulicach codzienne. Życie gra wszystkimi siłami. Pełno ruchu wszędzie. Oto pojawia się w miasteczku i drukarnia, a walka już nie tylko na ulicy, ale i na papierze. [...] Narazie cała Rzeczypospolita zwraca uwagę w tę stronę [...] sprawę miasteczka wnoszą na sejm, komisje sejmowe dają nakaz wysłędzić rzecz na miejscu. [...] Nastają wojny, pożary i klęski, konfederacje wojskowe, nadchodzą strony przeciwne do miasteczka. [...] Klęski coraz częściej spadają. Pożary i kontrybucje a czasem i nieprzyjaciel zagraniczny podkopują znaczenie miasteczka, które coraz więcej upada [...]. Po przejściu groźnej burzy na miejscu niegdyś sławnym zostają rozwaliny i gruzy”.

Ale nie tylko badania nad miastami naszego regionu wymagają rekapitulacji. Czasem całe epoki jawią nam się jako białe plamy. Przykład pierwszy z brzegu: nie wiedzieć czemu w historiografii regionalnej burzliwy okres Księstwa Warszawskiego prawie nie istnieje. Rzućcie okiem na jakąkolwiek monografię, czy to Siedlec, Radzyna, Węgrowa, Łukowa - dobrze, jeśli znajdą się tam dwa - trzy akapity na temat lat 1809 - 1815. Czemu akurat ten wycinek historii przyszedł mi na myśl? Bo to, moi mili, okres narodzin i, jak by to ująć, jednocześnie czas emancypacji naszego pogranicza. Do 1810 roku tereny, których później stolicą stały się Siedlce a pomniejszymi centrami Radzyń, Biała, Łuków, Węgrów etc. leżały na krańcu Podlasia, Mazowsza, Małopolski czy Litwy. Ot, miściny na końcu świata i tyle. Z rzadka przyjeżdżali tu z Warszawy, Paryża czy Wiednia przedstawiciele grup trzymających władzę (i pieniądze), by szybko powrócić do wartkiego nurtu życia ówczesnego świata. Szczęśliwie były te miasta, których właściciele (o ile nie były to miasta królewskie) przemieszkowali tam na dłużej (właśnie Radzyń i Siedlce). Na miejscu życie biegło w oderwaniu od problemów wielkiej polityki, a obywatele naszego pogranicza nawet dla mieszkańców stolic swych województw byli tak odlegli, że aż egzotyczni.



U schyłku I Rzeczypospolitej dla zanego Lublina drobna szlachta z Ziemi Łukowskiej i sąsiadującego z nią Podlasia to byli niemal Tatarzy; kiedy zbliżał się termin posiedzeń Trybunału lub sejmiku zatrwożeni Lubelacy barykadowali się po domach, a matki straszyły dzieci „szlachcicem łukowskim”. Trochę nie bez przyczyny. Nie wierzycie? to posłuchajcie: „Na łąkach po prawej stronie grobli [...] niezmierny obóz jak koczowisko hordy Tatarów, którym się zabłąkitniała cała ogromna przestrzeń. Ujrzyliśmy białe namioty, szatry na kijach płachtami okryte, budy z gałęzi, przed nimi gorejące płomieniem ogniska, przy których zarzynano i pieczono na rożnach całe ćwierci wołów. A w środku, to przy stołach, to przy zydlach, to na ziemi w kuczkach siedzące tłumy i pozerające strawę. Inni przy beczkach piwa i miodu, przy kuflach gorzałki, z wrzaskiem i hałasem, szklankami, garnkami, dzbankami raczający się trunkiem i wykrzykujący wiwaty. Były i koła próbujące pałaszów i ścinające się w nie. Tabor kilkuset koni pasł się i wałęsał między tą zgrają, a rozstawione powózki podlaskie w liczbie kilkuset, jednokonne, hołoblami do góry, otaczały po bokach i formowały tabor. Co to jest? zawołał mój ojciec potkawszy kilku szlachty na grobli; ci odpowiedzieli: To partia podlaska naszego księcia”. Ale, ba! Żeby tylko sobie biwakowali pod miastem, konsumowali i pili. W samym Lublinie było nieporównanie weselej: „Nie ma bezpieczeństwa żadnego, głowy bez obawy porąbania wychylić nie można na ulicę, musiano w mieście i na żydach pozamykać sklepy, szlachta je odbija i rabuje, spotkawszy słusznego obywatela [...] zrabowała go, [...] chorążego lubelskiego Poniatowskiego, napastowała na ulicy, mecenasowi i obywatelowi osiadłemu Podhorodeńskiemu okna wybiła, etc., etc., etc.”. Takie wspomnienia wryły się w pamięć kilkunastoletniego Kajetana Koźmiana. Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że były to tylko wybryki figlarnego wieku XVIII, a „górny i chmurny” wiek XIX przytłumił temperamenty. Jak sądzicie, z jakiego okresu jest poniższy cytacik? „Kościół [...] stanowią salę elekcji, w celach rozłożyliśmy się, a wielki refektarz był salą jadalną, gdzie

ciągle jedzenie być musiało dla znamienitszych, a po dopełnieniu elekcji obiad poselski, liczny, bo z górą osób sto do stołu zasiadało. Trzeba też pamiętać o szlachcie mniejszej. Traktament dla niej czas Wielkiego Postu regulował do śledzi i bułek, i wódki ad libidum (do woli). Ta też wódka rozgrzała umysły, przyszło do przymówek i walki czynnej stronnictw [Zawadzki] przyjęty źle, bracia szlachta ujęli się za nim, zrobił się tumult w kościele, w miejscu wyborów. Nazajutrz likwidacja pretensji do elekta, bonifikacje przyjaciółom za potraczone w zamieszaniu czapki, kapoty, płaszcze”. Wydaje się, że to dalszy ciąg XVIII-wiecznych wspomnień Koźmiana, prawda? A te wydarzenia odnotował w 1822 roku (!) w podlaskim Węgrowie Prot Lelewel, brat sławnego Joachima.

Ale wróćmy do naszego pogranicza. Dopiero administracja napoleońska dokonała rzeczy z perspektywy czasu dla mieszkańców naszych terenów niezwykle ważnej: scalila owe terytorialne „ogony” w odrębny samoistny region - departament siedlecki. Mogła śmieszyć posklejana z różnych kawałków nowa jednostka administracyjna, mógł bawić awans Siedlec, małego miasteczka, niewiele większego od swych powiatowych pobratymców, wreszcie mogło gorszyć umieszczenie go w jednym rzędzie z Warszawą, Krakowem, Lublinem czy Poznaniem, ale stało się. I dobrze się stało, bo nowe centrum, jakkolwiek ubogie i ustępujące większym miastom pod wieloma względami, jednak dobrze odpowiadało potrzebom mieszkańców. Najważniejsze i najbardziej widoczne zmiany zaszły w sądownictwie. Pierwszą w regionie co do rangi instytucją stał się założony w 1810 r. siedlecki Trybunał Cywilny, po miastach powiatowych ustanowiono sądy pokoju, notariuszy i konserwatorów hipotek. Odtąd szlachcic czy mieszczanin radzyński, gdy chciał zawrzeć jakąś umowę szedł do miejscowego notariusza, gdy zaś chciał się sądzić, o ile nie pogodził się z adwersarzem na miejscu, w sądzie pokoju, musiał jechać do Siedlec. Może i odległość nie była dużo mniejsza niż do Lublina, ale sprawy szły tu i szybciej, bo było ich nieporównanie mniej, niż np. w Trybunale Lubelskim

(a co dopiero mówić o starym Trybunale zawalonym sprawami z połowy kraju!) i składniej niż w dawnych czasach (bo sądzono według świetnego napoleońskiego kodeksu). Ale sądy sądami, urzędy urzędami. Codzienne życie mieszkańców podlaskiego pogranicza - jak i zresztą całego Księstwa - toczyło się wówczas jak w barwnym kalejdoskopie. To przecież czasy „Pana Tadeusza”, żywa jest pamięć o dawnej Rzeczypospolitej, pobrzmiwają jeszcze echa rywalizacji pomiędzy „elegantami” a „kontuszowcami” (ci ostatni już na straconej pozycji, dawny strój i obyczaj szybko odchodzą do lamusa), jedni chwalą nowe czasy, inni ganią, trwają rozliczenia poaustriackich wierzytelności, co chwila zamieszanie z napoleońskimi ustawami, proboszczowie sarkają na nowe obowiązki, szlachta próbuje odbić się od gospodarczego dna, wszędzie wokół pełno mundurów wojska i urzędników. Niestety, ta epoka skończyła się dla Pogranicza tak nagle jak i się zaczęła. A dla dwóch miast nowego departamentu - Radzyna i Białej - skończyła się niemal symbolicznie. W roku 1813 zmarli tragicznie książęta Aleksander Sapieha (właściciel Radzyna) i Dominik

Radziwiłł, ostatni ordynat nieświesko-ołycki (właściciel Białej). Obaj związali swe losy z Napoleonem i obaj zginęli u kresu Wielkiego Cesarstwa.

Jak wyglądał początek XIX wieku w naszym regionie - nie wiemy zbyt dobrze. A waga tamtego okresu jest dla nas większa niż wielu wcześniejszych i późniejszych dekad. Fakt, dużo materiałów z tej epoki poszło z dymem, lecz troszkę się jednak zachowało. Nie jest tak, że dla tych czasów pozostaje nam tylko domysł lub hipoteza. Lecz nie tylko brak źródeł ma tu znaczenie. Przed 1989 rokiem historia lokalna i regionalna była mało ważna, wszak wszystko należało rozpatrywać z perspektywy globalnej. Poważni historycy z pobłażaniem traktowali działania regionalistów, historią lokalną zajmowali się od wielkiego dzwonu, a regionaliści pozostawieni samym sobie, bez metody i odpowiedniego warsztatu nie wychodzili poza amatorskie przyczynki. Dopiero od niedawna można zauważyć zmianę frontu. I właśnie bodaj po raz pierwszy w Radzynie Marek J. Chodakiewicz zaczął publicznie zwracać uwagę na konieczność przywracania do łask badań mikroregionalnych. Gwoli

temu postulatowi spróbujmy teraz naszkicować obraz Radzyna na początku wieku XIX, z naszej regionalnej perspektywy.

Cdn.







MAJA LEWICKA & DARIUSZ MAGIER

ZE SKRZYNKI E-M@ILOWEJ

No i przypomniał mi się poznański dom Kazimierzy Hłakowiczówny, jej ostatnie mieszkanie. Przed drzwiami domu w granicę wyryto „Salve”. Dotknęłam napisu opuszkami palców, był taki gładki, setki, tysiące stóp, ale wciąż widoczny. Uchyliłam drzwi prowadzące do klatki schodowej, a potem cicho wdrapałam się po schodach, postąłam spłoszona pod drzwiami jej mieszkania i jeszcze ciszej zesłam, mimo że już Jej tam lata całe nie było.

Nahorny, Radzyń i Wielkanoc
17 IV 2006, godz. 2.56

Witam Pana.

Jest środek świątecznej nocy, a ja przed tygodniem zamyślałam sobie napisać o Nahornym, człowieku zamotanym w muzykę..., ale z Radzyniem Podlaskim w tle; więc buszuję w necie, a konkretnie po tymże Radzynie właśnie, i tak mi mija druga noc z rzędu, bo jakoś mi z tego buszowania nic, ale to nic, nie wynika.

Teraz zaś niczym harpia próbuję dopaść Pana, mimo że weszłam na pańską stronę i... dokładnie przeczytałam kim Pan jest oraz jaka w tym byciu obowiązuje kolejność. Wykrzyknik zauważyłam także. A może właśnie dlatego, że ten wykrzyknik, i że te „myśli spod magierki” (a swoją drogą, co to jest magierka?). I pomyślałam, że może mnie Pan wspomóże informacją, jaki był Radzyń wtedy, w roku 1941, gdy przyszedł na świat Nahorny i..., tak naprawdę to mam jeszcze parę pytań, ale boję się, by Pana nie zeźlić, gdy nastrój wciąż świąteczny (ten wykrzyknik jednak zrobił swoje i jedyne, co mi teraz przychodzi do głowy środkiem nocy, to życzenia świąteczne, jednak czy one mogą zdziałać cuda, sama wątpię).

Co mogę w zamian? Pewnie nic albo nic prawie, ale zawsze mogę Panu powiedzieć, co czytam ostatnio i czy moim zdaniem warto.

Pozdrawiam, życząc mokrego baranka, z nadzieją, że może jednak...

Majka z Legnicy

Re: Nahorny, Radzyń i Wielkanoc
18 IV 2006, godz. 7.16
Dzień dobry.

Przyjemny list, akurat na poprawienie humoru po przyjsciu do pracy w poświęteczny wtorek (jak zwykle za szybko te święta mijają...). Dziękuję za życzenia wielkanocne i odwzajemniam, bo choć po świętach to wszak jeszcze oktawa, a i na życzenia nigdy nie jest za późno, prawda?

Sam nie wiem, co też ciekawego mógłbym wnieść do artykułu o Panu Włodzimierzu. O Radzynie? Może zdań kilkoro, jakąś fotkę z epoki. Proszę o jakieś konkrety. Spróbuję się nie „zeźlić”.

Pozdrawiam i czekam na odzew.

Dima

PS. Magierka to taka staropolska czapka.
Zgodnie z wierszykiem:

*Koń turek,
chłop Mazurek
czapka magierka,
szabla węgierka.*

Re: Re: Nahorny, Radzyń i Wielkanoc
19 IV 2006, godz. 1.53

Witam środkiem nocy.

Pan pewnie zamotany w sen, a ja tłukę się jak marek po piekle (ale sowy także nie śpią i jedna mi tu za oknem pohukuje dla towarzysztwa). Od razu się Panu przyznam (no, teraz to się Pan na mnie zeźli), że jeszcze tydzień temu to jedynie wiedziałam, że Radzyń Podlaski jest i gdzie on (co znowu nie takie trudne zważywszy na przymiotnik „Podlaski”). I już miałam gotowe pierwsze zdanie: „Miasteczko jak uszko filiżanki” (jeśli Pan dostał czkawki ze śmiechu, to szklanka zimnej wody ponoć pomaga). I tak się przywiązałam do tego zdania... No, ale że po pierwszym zdaniu powinno paść chociaż drugie,

więc już Pan wie, zaczęłam czytać o pańskim mieście..., a tam: korki na ulicach, światła na skrzyżowaniach, przedstawiciele w parlamencie, koncerty, odczyty, dyskusje na forum, itd., itp. I teraz moja filiżanka bez ucha, Panie Dimo, a jedyne co przewidziałam, to bruk przykryty asfaltem (w Legnicy takież).

Już się dyscyplinuję, bom okrutnie rozgadana w słowie pisanym. Więc Nahorny, ale nie jako uznany muzyk, kompozytor i aranżer z bogatą dyskografią (to nie ja, ja tylko Kocham muzykę), on jako ten, którego bez muzyki być może nie byłoby, a raczej byłby innym zupełnie człowiekiem. Czy wie Pan, że kiedy widziałam go jesienią, zdał mi się jakiś bielszy i bardziej przezroczysty? Podobny do anioła, pomyślałam (hmm, zapomniałam Pana uprzedzić na wstępie, że mam skłonności do banalnych określeń).

Stop. Zagadam Pana na amen, albo mnie Pan umieści na dnie kosza, co w żadnym razie na dobre nie wyjdzie. Poniżej pytania, na które gdyby Pan znał odpowiedzi, to..., nawet nie drgnie mi powieka, kiedy Pan powie, że o Legnicy w ogóle nie słyszał.

Czy stoi jeszcze dom, w którym się urodził WN i przy jakiej ulicy? Kim byli jego rodzice, dziadkowie, czym się zajmowali? Kiedy wyjechał z Radzyna? Co działo się w Radzynie w czasie wojny, jakie to wówczas było miasteczko, jakie społeczności?

Czy dzisiaj WN daje koncerty w Radzynie?

Czy wybudowany przed wojną basen wciąż służy mieszkańcom?

Ufff.

Nie chciałabym Pana zeźlić, ani nawet rozeźlić, zatem już milczę. Ale za to z jaką niecierpliwością czekam na pańską odpowiedź, wiem tylko ja (sowa poleciała na łowy). Dziękuję, że zechciał Pan odpowiedzieć, bardzo, bardzo.

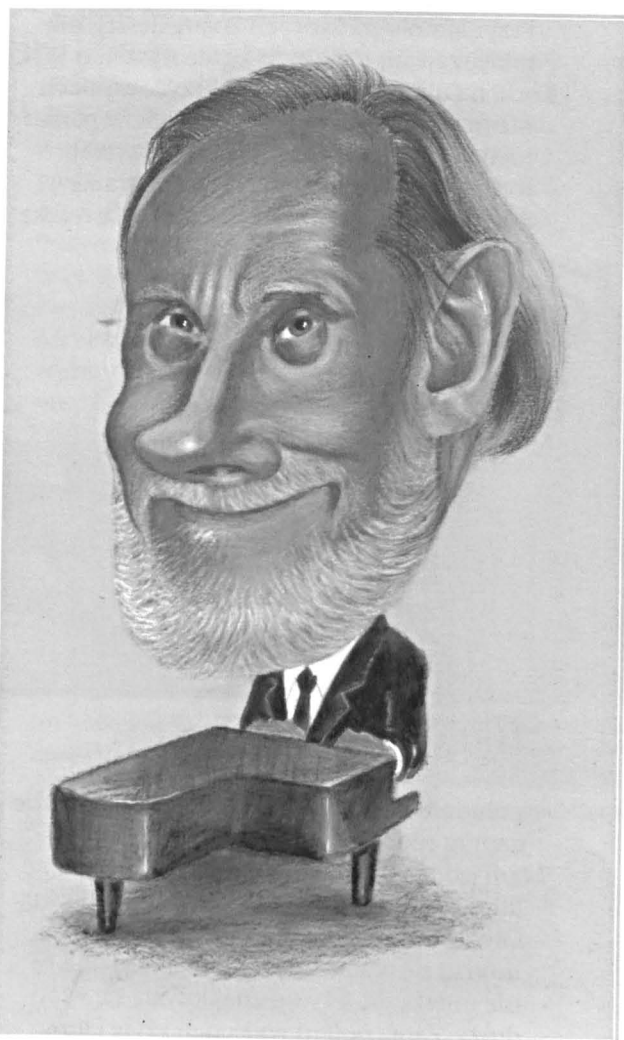
Uśmiechniętej środy życzę.

Majka

PS. A zna Pan słówko „zamoroka”? (komputer go nie zna, dwukrotnie poprawił na „zamorska”).

Re: Re: Re: Nahorny, Radzyn i Wielkanoc
19 IV 2006, godz. 9.58

Ależ z Pani marek nocny! (tu patrzę na godzinę



Włodzimierz Nahorny, rys. Grzegorz Szymański, 2003

wysłania listu i podziwiam). Myślę, jak tu by Pani, Pani Majko, odpisać, żeby wniesć coś konkretnego do tekstu o Nahornym, a jednocześnie udzielić odpowiedzi na pytania zadane i nie zadane. Może jakoś tak chaotycznie: o Legnicy słyszałem. Głównie dzięki bazie „bratniej armii” (znany dowcip, że L. jest jak talerz pierogów - dookoła ruskie, a w środku leniwe). Ale tam jeszcze nie był.

Słowa „zamoroka” nie znam, chyba że to to samo co „zamorota”. To wiem, o co chodzi, ale coś mi się wydaje, że to jednak nie to samo.

Fraza „miasteczko jak uszko filiżanki” bardzo miła i na miejscu, i zapewniam, że tak jakoś ciepło się robi wokół, gdy się je czyta. Więc może by zeń nie rezygnować? Namawiam do tego i mniemam, że radzynianie (wersja tubylcza: radzyniaczy) nie będą się boczyć.

Przynajmniej ci, których znam. Reszty nie podejrzewam o to, by w ogóle słyszeli o WN. Korki na ulicach (światła na skrzyżowaniach nie mamy, chyba), przedstawiciele w parlamencie, koncerty, odczyty - to wszystko forma zewnętrzna, pod którą skrywa się mentalność kresowego (obecnie) miasteczka



Radzyń Podlaski w okresie międzywojennym, widok na ulicę Ostrowiecką

południowopodlaskiego. Choć o średniowiecznym rodowodzie.

Mam jednak informacje, które mogą zburzyć klimat konstruowanego przez Panią tekstu. Otóż z tego co wiem, to WN rzeczywiście urodził się w Radzynie, ale jego rodzina tu nie mieszkała, a tylko znajdowała się w podróży. Zaraz potem wyjechali i tyle Pan Włodzimierz ma wspólnego z miastem. Domu narodzin nie znam i nie podejrzewam, by ktokolwiek jeszcze wiedział, gdzie się on znajdował.

Miasteczko było przed wojną zamieszkane w 55% przez ludność żydowską, w większości



Pałac radzyński w 1940 r.

biedotę, którą podczas okupacji Niemcy zamknęli w getcie i eksterminowali.

Można zatem wyobrazić sobie obraz miściny z kilkoma brukowanymi ulicami w centrum, reszta ulic polnych, które przy mokrej aurze zamieniały się w bagno. Nie konfabuluje, mam kilka zdjęć przedwojennych, wojennych, powojennych, które mogą taki klimat Pani dość dobrze oddać. Centralny punkt miasta to ogromna bryła pałacu zbudowanego przez Potockich w połowie XVIII w. W 1941 mieściły się tu niemieckie urzędy. Mam wśród zdjęć takie jedno, na którym nad dachem pałacu powiewa swastyka... W 1944 Niemcy pałac podpalili, po wojnie odrestaurowano.

Basenu przedwojennego po wojnie nie odbudowano i nie uruchomiono. O osobie samego Nahornego nic nie wiem więcej. Rodziców nie znam. Aktu jego narodzin w radzyńskim USC nie ma (dzwoniłem, sprawdzali), a kierownik USC sprzedał mi teorię, że zapewne znajduje się w miejscu zamieszkania rodziców Pana Włodzimierza. Jednak nie wiem gdzie.

Na koncertach był w Radzynie dwa razy: w 2002 i 2003 r. Mam wywiad, jakiego udzielił miejscowemu miesięcznikowi w 2003 r. Mam też oryginał jego karykatury, jaką wówczas narysował zaprzyjaźniony radzyński grafik. W razie potrzeby służę kopią wywiadu i karykatury. To tyle co przychodzi mi do głowy w tej chwili.

Proszę napisać, czy wymienione materiały Panią interesują. I jak jeszcze ewentualnie mogę pomóc. Zrobię to chętnie, bez „zeźliwania się”.

Idea artykułu o Nahornym bardzo mnie zainteresowała. Gdzie zamierza Pani go opublikować? Jeśli będzie jakiś związek z Radzynie, to może również u nas? Czekam na odpowiedź (zapewne nocną, a zatem odbiorę jutro rano).

Pozdrawiam ciepło..., również sowę...

Dima

Re: Re: Re: Re: Nahorny, Radzyń i Wielkanoc
20 IV 2006, godz. 3.19

A ja dzisiaj bez sowy drepczę w pańska stronę (nawet ściszyłam muzykę, by sprawdzić czy

pohukuje ze świerku), ale za to cichutko w towarzystwie jazzowo-bluesowym. I tak sobie czytam Pana informacje o WN, to spoglądam na pańską stronę w necie i... A dlaczego na tejsze stronie napisał Pan „Wejdz teraz lub odejdz na zawsze”? Dlaczego ów ktoś nie może spróbować wejść, jeśli nie teraz, to kiedyś tam, bo przecież mógł wejść w chwili, która nie była sposobną do spotkania z Panem? Więc czytam sobie Pana dalej (co za szczęście, żem pośpieszna jak zachodnie pociągi i w tym rozlataniu nie przeczytałam od razu wszystkiego tamtego pierwszego, świętecznego razu..., wiem, wiem, się by nie dało, niemniej..., rany, toż nie odważyłabym się wydukać słowa w pańską stronę, a tak ono się rzekło, filiżanka bez ucha, tylko Radzyń nabrał ciepłych barw).

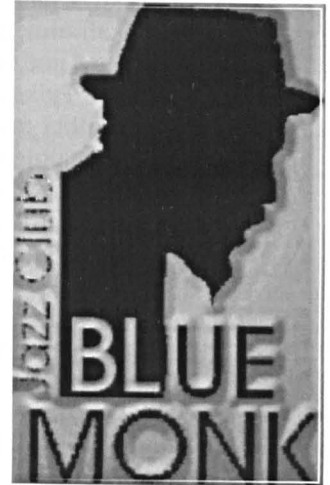
Czy wie Pan, że lubię rozpoczynać nowe zdanie od „więc”? Lubie, chociaż to się Panu nie może podobać. Panu chyba nie. Mojej profesorce, staruszcze już, także nie. Ale ona mnie lubiła i pewnie z dezaprobatą pokręciłaby głową, lecz pozwoliłaby... (wciąż pamiętam jej uśmiech i mokre oczy, gdy czytała poezję).

Przepraszam za ten chaos pod czaszką (a jakże, czytam sobie pańskie felietony, czytam, mogę nawet obiecać poprawę). To moje pisanie o ludziach zamotanych w muzykę, w jazz konkretnie, wzięło się tej wiosny ni stąd, ni zowąd, kiedy weszłam przez przypadek na stronę legnickiego klubu jazzowego. Tam było tak pusto, smutno i jakoś beładnie w słowie pisanym, a ja przecież taka gaduła..., a że jazz kołysze mnie dosyć dawno (w moim przypadku wiele przypadłości, nie tylko muzycznych, ma przeszłość kome-ty z dosyć dłu-gim ogonem, bom wiekowa, no nie żeby stuletnia zaraz...), zatem pomyślałam, że może by coś o ludziach żyjących dla muzyki, jednak nie o doko-naniach, bo wtedy gubi się człowiek, jego kroki zagłusza muzyka, choćby jej słuchać najciszej.

I jakby Pan tu był, tu w mojej głowie, pańskie informacje zburzyły moją koncepcję tekstu o WN. Chciałam się w Radzynie zatrzymać na dłużej, a wypada mi teraz tylko przycupnąć. Tekst, gdy będzie gotowy, wkleję na stronę klubu (www.bluemonk.republika.pl), o czym naturalnie nie omieszkam Pana powiadomić. Chociaż to „naturalnie” wcale nie zabrzmiało naturalnie, bom się dziwnie zrobiła niespokojna, czytając z kolei pańskie teksty (o grat-

ulacjach jednak mowy nie będzie żadnej z mojej strony, boś Pan wytrawny w piórze, co widać i czuć na języku).

A zechce Pan podesłać mi owe przedwojenne, wojenne i powojenne zdjęcia Radzyna i to z pałacu Potockich z powiewającą swastyką? A zaprzyjaźniony radzyński grafik to zapewne Przemek? Się przyłożyłam do czytania, prawda? Więc jakby Pan był tak miły tę karykaturę i skan wywiadu z WN, to..., no właśnie, to co ja? Skoro ja nawet ruskich pierogów lepić nie potrafię, mimo że teraz mieszkam w dzielnicy, którą oni zamieszkiwali. No, zawsze otwarta pozostaje moja propozycja podzielenia się uwagami co do czytanej aktualnie książki.



www.bluemonk.republika.pl

Jak się cieszę, że nie wykpił Pan tego uszka filiżanki. Naprawdę. Pomyślę teraz, jak wydostać się spod tej rujnacji założeń z całą filiżanką.

Pańskie zeżliwanie się urokliwsze niż moje zeżłanie się, zatem podkradnę na własny użytek, o czym donoszę, mając na uwadze i prawo autorskie i stosowne kary, jako konsekwencje tegoż zaboru.

A zrobić komuś zamorokę, to to samo co sprawić kłopot swoją osobą, swoimi sprawami. Uwielbiam to słowo, przywieźli je moi teściowie z Bugu, a konkretnie z okolic ukraińskiego Dubna. A zamorota?

Rany, ja jutro rano w drogę, a tu już później niż późno, więc nawet Panu nocy miłej nie życzę, szczególnie że ona powoli przechyla się w stronę przebudzenia, przynajmniej niektórych skowronków. Witam zatem w czwartek, to zwykle miły dzień, bo jazzowy, Panu zaś (bo upodobań muzycznych nie znam, a może nie doczytałam) życzę takiego, jaki Pan lubi najbardziej.

Majka

(no jednak dzisiaj bez sowy, ale za to z kotem).

PS. I obiecuję się nie rozgadawać, naprawdę.

Jeśli mi Pan oczywiście pozwoli słów parę jeszcze rzec. Dobranocne dzień dobry czwartkowe uśmiechnięte.

Re: Re: Re: Re: Nahorny, Radzyń i Wielkanoc

20 IV 2006, godz. 8.17

Tak sobie patrzę na zegar (przeklęty, jak to mówią) i kalkuluję, że zasiadam do odpisywania tylko 4 godziny po wysłaniu listu przez Panią. „Tylko”, bo faktycznie to dystans wyolbrzymia niemożność pogodzenia nocy z dniem. To tak jak z jednym moim kolegą - urodził się w grudniu, a ja trzy miesiące później. Rzadko jednak wpadam na to, że jest starszy o 3 miesiące zaledwie, z reguły - że o rok.

Więc (sic!) przychodzę do pracy, odbieram list od Pani, popijam herbatkę gorącą, zerkam na stadko szpaków figlujące wokół wschodniej wieży pałacu, na które wychodzi okienko mojego pokoju. Jak Pani widzi, do „więc” nie żywię wrogich uczuć. Podobnie jak do „i” na



Vincent Herring
<http://www.vincentherring.com>



Tadeusz Nalepa
<http://www.blues.pl>

początku zdania. O ile znalazły się tam we właściwym czasie i miejscu. Fraza ze stronki po to, by zapadła w pamięć. Zapada? Wie Pani, Pani Majko, że „zamoroka” i „zamorota” to to samo?! Ha, tegom się nie spodziewał! Ale może praszczury moje i Paninych teściów przed paroma setkami lat byli krajanami, bo jeśli miasto Magierów (pod Lwowem)

nazwę swą wywodzi od rodu Magierów (albo odwrotnie, co rzadsze w dziejach) to kresowe korzenie pewne jak ta kawka, co akurat przysiadła na parapecie me-go okna. Nie, rozmyśliła się, odleciała. A mogła uwiarygodnić sprawę.

Wchodzę na stronkę zaanonsowaną przez Panią... Młoda chyba, ale nabiera rozpędu. Tekst o Vincencie Herringu podpisany „ML” to Pani?

Po co pytam, nie sędzę, bym się mylił, tą łatwość pisania czuć na kilometr... Klimaty nie są mi obce, choć bardziej blues mnie pochłoniął, lepiej chyba odpowiadający mojemu charakterowi. A na Nalepie to się wychowałem, więc choć w swoim życiu próbowałem uciekać w jakieś rockandrole i heavy-metale, to mnie i tak do miejsca startu wróciło i przy B.B. Kingu, Muddy Watersie i wyżej wymienionym przykuło.

Od Nahornego jakoś tak odbiegliśmy, ale co tu by jeszcze dodać. Wysyłam fotki, w domu przeskanuję karykaturę (autorstwa nie-Przema, a Grzegorza Szymańskiego) i wywiad, i wysłę pewnie pojutrze, bo jutro to w ogóle komputera nie zobaczę chyba.

Życzę miłej wiosny, jako zapowiedź jeszcze milszego lata.

I pozdrawiam.

Dima

Re: skany

8 V 2006, godz. 1.31

Witam.

Szkoda, bo żal okrutny mnie dopadł, gdy wywiad z WN przeczytałam. Wywiad inny jak te wielkomiejskie, paradne. Więc i mój żal większy. Ale rozumiem. Lata całe noszę w sercu i pamięci dwa miasta - Kraków i Toruń. Dlatego rozumiem.

Poniedziałku umajonego życzę i dobrej w kubku herbaty.

Maja

Maj i żaby

8 V 2006, godz. 9.39

Witam i o zdrowie pytam, jak to mówią... Nic chyba piękniejszego, jak w maju do Mai pisać... Wreszcie normalny dzień pracy, tzn. nigdzie nie wyjeżdżam, nigdzie nie lecę, zaległości, które tu na stole na mnie czekały i celulozowym okiem łakomie ku mnie spozierały wypchnąłem. I herbaty kubek mogę wychylić i na wieżyczkę moją popatrzeć. Ptactwa dziś nie widzę, słyszę jeno, bo park tu blisko i niebożęta ku niebiosom trele swoje ślą. Skąd ja patrzę na ową wieżę, pyta Pani. Ano z małej zagubionej pakamerki, która się na piętrze we wschodnim rogu głównego korpusu pałacu osiemnastowiecznym architektem zawieruszyła i mnie teraz wiernie służy. Dość rzec, że do wieżyczki we wschodniej bramie mam nie więcej jak kroków pięćdziesiąt. Brzmi dużo, ale wizualnie to na wyciągnięcie ręki. A w dodatku mogę drzwi tajemne otworzyć i strychem dotrzeć. Na upartego, ale ja się nie upieram, bo strych zagracony i niespodzianek pełen. Jak to strych. Na wieży jelonek (jak Pani gdzie w necie pałac radzyński zobaczy, to proszę na wieżyczkę z jelonkiem oko zawiesić, od niego do mnie już rzut beretem (przy dobrym wietrze), który kierunek wiatru wskazuje. Nie jestem myśliwym i znawcą, ale, jak to dziki zwierz, zdaje się z wiatrem leci, zatem obraca się przodem w stronę, w którą wiatr wieje. Aktualnie ku południowemu zachodowi, zatem tak jakby do Pani, podążał...

Pałac drugi, a raczej dwór myśliwski, oddalony od „dużego” o jakieś pół kilometra - neog-

otycki, z XIX wieku, z atrapą baszty obronnej. Położony w parku. Rodzina Korwin Szlubowskich - ostatni właściciele pałacu, zamieszkali tam po przekazaniu pałacu na Skarb Państwa w 1920 roku. No i mieszkali tak do września 1939, dopóki Niemcy ich nie wyrzucili, gdy przejęli majątek pod swój zarząd. A komuniści nie dali im oczywiście wrócić. W 2004 roku pałacyk odzyskał spadkobierca. Teraz zrobiło się tam ładnie.

Wracając do Pani innych pytań. Wiele ich - odpowiem króciutko. Dworzec PKP radzyński, jak większość dworców ulokowanych pod zaborem rosyjskim - oddalony od miasta o jakieś dwa, trzy kilometry. Miasto nie rozwinęło się w tym kierunku, toteż pozostał z dala. Od 10 lat stoi opustoszały i zrujnowany, bo linię kolejową wyłączono z użytkowania. Zdobycze III RP...

Jak to być mogło w 1941? O ile przybyli pociągiem. Raczej tak. Zapewne, zważywszy na błogosławiony stan mamy WN, furmanką z Bedlna (to nazwa wsi, na terenie której znajduje się dworzec), wjechali do Radzyna ulicą Międzyrzecką, przejechali wzdłuż muru oddzielającego pałac i park dworski od miasta i zapewne udali się na kwatery. Ale to wszystko takie gdybanie.

A ptaki rozpraszają. Jak ja lubię maj! Zieleń roślinności, która nigdy już nie będzie taka sama. Już nigdy... heheh, jak w piosence Świetlików w wykonaniu Bogusława Lindy. Słyszała Pani? Taka miła...

I te majowe nabożeństwa do Najświętszej Panienki. Cudeńka.

Żaby chyba i u nas milczą jeszcze, bo nie słyzałem, a bajor wszelakich dokoła pełno. I rzeka. Bom nie wspominał chyba, że Radzyna nad rzeką Białką położony. Nieduża, bo tak uregulowali za PRLu, ale zawsze. Nocą żaby dobrze słyszać, ale tego roku też jeszcze nie słyzałem, chociaż w noc ciepłą z soboty na niedzielę po mieścinie naszej przyszło mi się nieco poszłajać... Zatem pewnie nie pora jeszcze. Pani Maju, ściskam majowo, a więc żywo, wiosennie, nie gorąco jeszcze, ale z całego serca, i życzę udanego nocnego markowania.

D.

Maj majem 9 V 2006, godz. 1.08

Mości Panie Hrabio..., no kurcze blade, toż napisał Pan był taki list, że popadłam w niezwykle błogostan (epistolograficzny zapewne), się mi zdało, że to jakoweś dzieweczki taniec z wielkiej delikatności materia uprawiają we wnętrzach pałacowych, od tej zagubionej pakamerki Pana poczynając..., tak się słowa urokliwym klimatem poukładały harmonijnie a w zawijasy. I tylko wciąż nie wiem do jakiej muzyki te płające panny, bo u mnie Bach akurat na strunach, więc rozprasza nieco.

U Pana, tam na wschodzie, to dziwna ta przyroda jakowaś, a bo to szpaki wcześniej niżli u mnie, a żab ani rechotu jednego. U mnie za to już i szpaki (obserwowałam takiego jednego cudaczka, jak się kąpał w sadzawce, obracając to tyłem, to przodem do lusterka wody, zmoczył się do cały, a potem frrrrr i na gruszę, co to akurat kwieciami oblepiona), i żaby, i kukułki. Trzeba Panu Hrabieniu wiedzieć, że w pięknych okolicach mam chatę na wsi (ta za wsią niestety nie moja). I za tą chatą, która jest po prawdzie wciąż jeszcze stodołą, żaby rechotały całą sobotę z pobliskich bajerek, których na mojej wsi taki dostatek o tej porze, jak i komarów, jako że Barycz rozlała się po polach. A, i spieszę donieść, że okukała mnie kukulka, albo i kukulek szereg, więc nie bardzo wiem, jaki mi los wakacyjny pisany, gdy w kieszeni jedynie grosze dwa na on czas face to face się wtulały. Ale to już nawet nie zmartwienie, a że nie pańskie, to pewne.

A jak już przy ptactwie jesteśmy, to jeśli Hrabia szlaja się nocami, zatem słyszy te świergoty precudne, jak i ja nieszlajająca, ale oddychająca radośnie o tej porze. W maju obowiązkiem narodu, ustawowo zapisanym, winno być nocne czuwanie (szlajanie się dopuszczane także), bo takich odgłosów później już ani słycho, ani dychu.

Ot i niejako przy okazji skonstatowałam, że podobnie się nasze myślenie o maju i jego barwach układa, których potem już nigdy (a piosenkę znam i faktycznie miękko w okolicach żeber, gdy jej słuchać).

Że Radzyń nad rzeką leży, a ta rzeczka Białka, to proszę mości Hrabiego Maje wiedziały już w kwietniu, bo one czytające są, niekiedy

nawet im się przydarza rozumieć, co napisane jest (dlatego tu i teraz wracam do wierszy pańskich, bo tak jakoś Pan je obszedł cichaczem..., że co, dlaczego niby aż tak?).

Tymczasem pójde owego koziołka na wieżę..., co to w moją stronę bieżał (ogólnie koziołka od sarenki, i baranka nawet, rozróżniam z obowiązku, bom weszła w rodzinę myśliwych, że nie wspomnę, iż w sobotę miałam możliwość zaklęcia w migawkę i koziołka i jego damę, niestety od strony lusterek, bom gapa (czy gapa to u Pana gawron?).

Milego w maj wplątanego wtorku (wtorki są magiczne, więc sobie proszę coś milego zamarzyć przy kubku herbaty). A gdy Pana najdzie ochota, by z pakamerki słowom paru skrzydeł dodać, to one w legnickim klimacie przechowują się w zdrowiu i kolorze, że o radośnie rozkołysanych chwilach nie wspomnę, o czym serdecznie Pana Hrabiego informuje

Maja (wprawdzie nie Goi, ale za to na huśtawce).

PS. No i wdzięczne Degasowe pas za informacje o WN (tekst zmienię, bo wiadomości pańskie fajne i takie otulające ciepło).

PS.2. Czy zauważył Pan, jak maj majem, a muzyka muzyką, że J. S. Bach wciąż nas zadziwia urodą?

Re: Maj majem 9 V 2006, godz. 7.40

A jednak zazdroszczę Pani. Zazdroszczę, bo ja snu co najmniej siedem godzin potrzebuję, by jakoś funkcjonować, więc zwykle z wieczora (z kurami, jak dla Pani pewnie...) od jawy rejterować muszę ku Morfeuszowi. Nie temu z Matrixa, chociaż podążanie za białym królikiem, owszem, kuszące, a i z Alicji w Krainie Czarów pewnie zapożyczone.

Wiersze? Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi, chciałoby się za wieszczem rzucić, szcze-rze, bom poeta o tyle co każdy. Elegia na pogrzeb poety sama się tak jakoś poppełniła pewnie ze złości na jednego tubylczego wierszokletę, którego po śmierci Jacka Kaczmarskiego (to o nim ten wierszyk, nie o Miłoszu) szkic napisał zjadający rozumy na typowo scholarski temat „co poeta miał na

myśli". Innych wierszy nie odważyłem się publikować nawet w internecie, leżą po szufladach w najlepszym dla siebie, bo własnym towarzystwie.



Jacek Kaczmarek, <http://www.kaczmarek.art.pl>

Co do ptactwa, nie wyznaję się zbyttnio na bydlątkach, ale zdaje się szpaka-złodzieja (moich czereśni) rozpoznać potrafię. A gawron to dla mnie gawron.

Jeśli o przyrodę chodzi, ma Pani rację - dziwna ona. Zwłaszcza teraz, kiedy wdziera mi się przez okno razem z wiatrem (chłodnym jeszcze z rana), świergotem (nie wiem czym) i quimkwimkaniem słowika. Tego rozpoznaję.

Zaparzanekę owocową dziś mój kubek zawiera, którą ludziska niesłusznie herbata nazywają, co mnie irytuje, bo herbata to herbata a suszone owoce to...

Pani kwitnąca grusza mnie tak jakoś rozmarzyła, bo ją gruszy nie posiadam, i ta huśtawka... U mnie na podwórku kwitnie wspomniana czereśnia i jabłoni - ta nieduża jeszcze, antonówka. I orzechy włoskie w czerwonej w niemowlęctwie liście się stroją. Wiosna. A na wiosnę to ja mam takie małe zboczenie, nie wiem skąd się biorące, że czytam od nowa wszystkie kryminały Raymonda Chandlera i słucham muzyki Dead Can Dance. Jak mam czas, bo proza życia wdziera się nawet w taki jak mój, zakreślony dziwactwem (Pani nazywa „zamotany w...”, pięknie, wcześniej nie słyszałem, ale już przyswoił) żywot. Ale i tak serce rośnie, patrzeć na te czasy...

Pani Maju, czy Pani wie, że Jan Kochanowski to tu niedaleko ode mnie mieszkał. Była Pani? Polecam. Park ładny, dworek, niby nic

specjalnego, ale taki duch jakiś, jakaś taka atmosfera tam inspirująca. No, ale Pani do epistolografii inspirować specjalnie nie trzeba. Ale w nocy to nastrój lepszy, muzyka zapewne jako te cmy nad ekranem komputera krążą przymilnie, nie to co o ósmej rano. Ja muszę je z wieczora łapać i w pozłacanej klatce trzymać.

Do Bacha lubię wracać, ale zwykle przed Zmartwychwstaniem jego pasje (św. Jana - najulubiejsza moja) załączam i chłonę... Życzę zatem majowej atmosfery (Maje powinny cały maj świętować, nieprawdaż?), słonecznego dnia i księżycowej nocy.

D.

Królowa ciem
10 V 2006, godz. 1.52

Oj, Panie Hrabio, to już się nie da zrobić, że ja zapomnę, albo udam, że nie pamiętam, się nie da..., a to dlatego, że jak był rzekł Bułhakow ustami cudzoziemca - Anuska już kupiła olej słonecznikowy i nie dość, że go kupiła, to już go nawet rozlała (jeśli dobrze pamiętam, to tak szło w Mistrzu i Małgorzacie). Zatem... powtórnice, ręczyny błagalnie składając, proszę o pańskie wiersze, szczególnie żem nie Zośka, więc i nie do mnie wieszczą apel, a po drugie, co za ważniejsze uważam - w mojej szufladzie będzie im równie miło, bom słowom wyjątkowo życzliwa i łasa na nie jak - nie przymierzając - na wiśnie w czekoladzie (co tylko pozornie porównać się nie da). A tak po prawdzie, to skąd Panu Hrabiemu wiedzieć w czym towarzystwie jego wierszom lepiej? No to krakowskim targiem czy referendum jakoweś? Jeny kto wici roześle? Pan Hrabia sobie nawet wyimaginować nie potrafi, jak im (tym wierszom) będzie u mnie akuratnie, one śródnośnie w zapach czeremchy wmotać się mogą, a i mahonia nie gorzej, wszak teraz zapachy rozsiewa, że o jabłoniach nie wspomnę i bzach, czy o jaśminie co w rogu ogrodu przy wiekowej brzozie przycupnął nieśmiało. Pan przecież nie może w postanowieniach mniej istotnych być takim zatwardziałym, bo to w wyraźnej sprzeczności się ma z lekkością słów, które Pan z taką łatwością wypuszcza z rękawa (niczym sztukmistrz królika..., czy Pan Hrabia kapelusza posiada?).

Oj, ten królik pański (pański biały, mój tylko kapeluszy) uświadomił mi już po raz wtóry tej wiosny, że ludzkość o Matrixie mówi, a ja nie wiem co to i zdaje mi się, że powinnam wreszcie powziąć zobowiązanie w tym temacie (jak to powiada pewna ważna persona).

I dalej będąc w towarzystwie ssaków futerkowych to powiem Panu, że dwie książki u mnie leżą zawsze na wyciągnięcie ręki: Alicja w Krainie Czarów i Mały Książę (pamięta Pan Hrabia, jak Lis opowiada chłopcu o oswojaniu? Pięknie opowiada, prawda?). Na półce z pamięcią z kolei pozostaje wciąż na oścież otwarty Jacek Malczewski, w którym podkochuję się lata całe, za to że był, że taki właśnie, a przy tym wariat urokliwy (dla całej urody i ciepła wariactw, z którymi lubił się obnosić po Krakowie). Zagłupiasty pan, mawiała o nim jego gospodyni.



Jacek Malczewski, Autoportret z paletą, 1892

Czy Pan Hrabia wie, że w Lusławicach, w których teraz Krzysztof Penderecki z rozsypanych czarnych kropek składa dźwięki, w całkiem nieodległych czasach Malczewski założył szkołkę rysunków? Chciałabym móc pójść do takiej szkołki... Ale póki co, szukam sponsora dla polskiego chóru z Mińska, bo jak usłyszałam ich Ave Maria a cappella, to trawa na moim wiejskim podwórku bardziej zzieleniała niżby majem to być mogło (przesadam, wiem, niemniej wysłuchałam płyty z przyjemnością wielką). I zanosi się, że znajdę (powiedzieć, że znalazłam, oznaczałoby mus odpukiwania w niemalowane drewno, a za bardzo leniwam, by się wymotać z ciepła przepastnego fotela).

Dlaczego ja nie wiem jak klaskają słowiki? A Pan Hrabia to niby skąd wie, jak rozpoznać owo? A czy Hrabia ma zwyczaj jesienią, gdy liście orzecha włoskiego już opadną, zanurzyć w nie dłonie? Jaki to zapach..., ech, zawsze w takich razach na myśl mi przychodzą Sklepy cynamonowe, chociaż powinny kolonialne przecież, lecz tak jest, że nie wiedzieć czemu o Schulzu wtedy... Dziwne jest, jak nam się myśli czasami plotą.

I nic nie wiem o pańskim zespole Dead Can Dence..., zupełnie, więc gdyby tak Pan zechciał, czas pierwiej wydłubując z którejś ze szpar pakamerki, to byłabym wdzięczna, nie żeby zaraz do grobowej deski, ale wdzięczna wdzięcznością zapachu trawy skoszonej albo barwy rozkwitłego mleczka, bo to przecież ładniejszy dużo obrazek, taka majowa akwarelka półcieni pełna a słoneczna.

A w stronach Pana Hrabiego nie bywam, to i do Kochanowskiego mi nie tak blisko jak Waćpanu (ze wstydu spłoniona, łeb spuściła rudy), za to w kieszeni którejś kurtki wciąż mam trzy żołędzie ze Stawiska i nadal pamiętam napis na progu domu Kazimierzy Iłakowiczówny, chociaż czy dom jeszcze stoi, nie wiem. Okrutnie daleko to pańskie miejsce na ziemi, mimo że świat tak się skurczył...

A co Hrabia w środę porabia? Kubek jest z herbatą czy zaparząnką, a jeśli to z jaką? U mnie rankiem kawa koniecznie, mocno mocna ze śmietanką i cukrem.

Słowików nieustających za oknem i w trzewiach Panu życzę, no i bżów, bżów, proszę Pana, i takiego jednego chociaż żuczka, co to niegdyś w pudełku po zapalkach, a później nieco za dziewczynską bluzkę...

Maja (chyba jednak już senna)

PS. Ciem Panu nałapałam, bo nie uchodzi, by się Hrabia trudził, ale niepotrzebnie, gdyż wszystkie, jedna w drugą, przysięgały, że u mnie to one przypadkiem, jakby w podróży, a u pańskich wrót wraz ze wschodem słońca czekają, jako muzy słowa właśnie (widać słońce i pocałunek ropuszy jednaką moc mają).

Środa

10 V 2006, godz. 8.07

Ależ się Pani na te wierszydła zasadziła! Dobrze, pogmeram w owych szufladach przepastnych i różności niepotrzebnych pełnych, odszukam rękopisy (z epoki one bowiem przedkomputerowej) i spróbuję przenieść na elektroniczny nośnik. Czas jakiś to potrwa, myślę że akurat tyle, ile Pani na zapomnienie o nich potrzeba

Dead Can Dance polecam. Pigułkę na stronie www.dcdiscs.com Pani znajdzie w postaci utworu The Ubiquitous Mr. Lovegrove. Może Panią wciągnie do średniowiecznego świata przenikających się rzeczywistości ziemskiej i nieziemskiej? Dla mnie ta średniowieczna rzeczywistość wciąż trwa, com był wyraził w książeczce Dance macabre (2002).

Herbatę właśnie piję, owszem. Z herbaty najprawdziwszej. Kawy za to nie pijam w ogóle, choć lubię. Za to z herbatą poranną mam zawsze radość okrutną, bo nigdy nie wiem, co przyjdzie mi pić. Trzeba Pani bowiem wiedzieć, że serwują mi ją koleżanki z pracy, pewnie jako hrabiemu. W ten sposób zawsze mam niespodziankę. Takem się tu, widzi Pani, urządził.

Nieprawdopodobne, że słowika Pani nie rozpoznaje. Ależ ten świat dziwny! A przyrody szaleństwo w całej pełni i u mnie wreszcie. Wiosna i żabom w końcu do głów uderzyła, toteż nadają swe miłosne rechoty. Mam je tu na wyciągnięcie ręki, bo stawy przy pałacu dwa, groblą kasztanową przedzielone - pozostałości dawnej fosi zamku warownego, co to w tym miejscu przed pałacem był się wznosił. I bzy się z wolna budzą, choć niemrawo (u pani pewnie już dawno niebacznym przechodniów ku manowcom i wagarom od prozy życia zapachem aromatycznym zwodzą). Ja lubię

najbardziej te granatowe, klasyczne, pojedyncze, co to onegdaj przy każdej chałupie chłopskiej rosły z malwami teren dzieląc... Widzi Pani, ja na takie klimaty rustykalne lasy.

Pisząc o żuczku ma Pani na myśli chrabąszcza? Jeszcze nie ma ich u nas. One to lubią najbardziej po kasztanowcach siedzieć i nocą do oświetlonych szyb w domach pukać, jak nie przymierzając kamyki rzucane przez nawołujących się zakochanych, co by ich schadztek rodziciele nie odkryli. Rzeczywiście po pudełeczkach od zapalek się je za szczeniemych lat nosiło, chrobotania nasłuchiwało, a do włosów dziewczyn to one „ciągnęły”, że hej...

Czołem biję, rączkę całuję, za plecami pudełeczko z żyjątkiem chroboczącym ściskając i sposobnej chwili wyczekując...

D.

Szpinak, szpinak...

11 V 2006, godz. 1.56

Witam Pana Hrabiego czwartkowo i bzowo, że radośnie, zapewnić nie muszę (w cherlawie bijąc się piersi), bo ciąg literek prawdę mówi, jako ta Cyganka... U mnie bez w rozkwicie pełnym, że nic tylko twarz w jego kiściach trzymać... Bez zwyczajny, czyli wedle gustu Hrabiego, a malwa trzy kroki dalej (bordowa w przyszłości, teraz zaledwie pierwsze z ziemi listki wypuściła). A i gałązkę białego bzu wykradłam Hrabiemu dzisiejszego wieczoru, na drugim krańcu miasta będąc (zważyć proszę poświęcenie, te oczy nerwowym tikiem rozbiegane na boki, czy mnie kto nie obsobaczy). A wykradłam, bo biały o intensywniejszym zapachu, to może gdzieś się w te światłowody wpląće i rankiem smugą rozniesie nad kubkiem z herbatą albo inną jakowąś niespodzianką radośnie parującą.

Widzę, że to i chrabąszcze u Pana także tylko w pamięci? Zaiste dziwne to miasteczko..., jak uszko filizanki niby, a Hrabiego mające i pałace, i pakamerkę, i zapach strychów, gdy jednocześnie nikt chrabąszczy nie przenosi z troską z chodnika na trawnik i w bzach nie tonie. Bo w Białce, to zapewne tylko księżyc i to wyłącznie wybrancom..., co to się nocami szlajają, nasłuchując słowikowych treli.

Ja rozumiem, że ani kropki błękitnej złośliwości nie było w tym Pana Hrabiego zdziwieniu, żem słowikowy tuman, gdy o rozeznanie treli idzie, i że to jedynie zdziwienie zdziwień z przepastnych wyszarpane czeluści (bom tumanowata w wielu jeszcze innych gałęziach, by nie rzec konarach nawet, o czym zatroskana szczerze, z góry uprzedzam, nie znając antidotum).

W czasach, gdy okowitą raczyło się sporo społeczeństwa, znalazł był mnie wydawca, mnie trzeźwą, zapewniam, i zaproponował wydanie tomiku wierszyków. On musiał być od pierwszego mojego z nim spotkania oddelegowany przez ową okowitę w niebyt, ja zaś w oparach tego niebytu. Innego logicznego wytłumaczenia nie ma. Potem już było za późno, teraz wstydno. Przez lata całe, pozostając w dyskomforcie (żem niby taka wrażliwa), malowałam sobie jakieś akwarelki i lepiłam anioły z ciasta. Któregoś dnia przysiadł na parapecie Malczewski, przypominając, że jest. Kiedyś coś z tą miłością zrobię. I nawet wiem już co, niestety, zbyt wiele we mnie rozedrgania, chaosu i ochoty do wielu rzeczy na raz.

Ot taki podwórzowy trzepak.

Maja

PS. Pigułkę Dead Can Dance znalazłam. Jeśli Pan Hrabia wierzący (wiem, wiem), to uwierzy, że owa pigułka toczy się od pierwszego dzisiejszego dygnięcia powitalnego. Nastroj zupełnie inny niż muzyka, której słucham. Nostalgiczny, to i tęsknotą jakąś mnie omołało, nie wiedzieć za czym. Jako uzupełnienie kieliszek wina. Koniecznie, Hrabia niech spróbuje, to dobry mariaż. A przy okazji, gdyby Pan mógł przesłać mi mailem jakiś inny kawałek nieduży, to wprawdzie za kolana obłapiać nie zwyczajnam, niemniej uśmiech porozwłóczam po łąkach i ogrodach.

Re: Szpinak, szpinak...

11 V 2006, godz. 8.44

Pani Maju...

Nie mam ja w komputerze niczego innego a na płytkach tylko, ale jeśli Pani Maja kiedy zechce, to w pierwszym sklepie muzycznym znajdzie bez liku płyt zespołu, bo płodny jest i poziom przez cały czas trzyma, tak więc nie

znając dyskografię, obojętnie którego tytułu dotknie, a o całości będzie mniej więcej wiedziała.



Dead Can Dance

<http://www.deadcandance.pl>

Z kieliszeczkiem wina - prawda okrutna! Tym bardziej żem ja winny człowiek, a nie piwny czy wódczany. Choć nieortodoks. Z wina zaś zwykłem czerwone pić merloty i cabernety, najchętniej węgierskie (to pewnie genetyczne, jak samo nazwisko rodowe moje wskazuje), ale i bułgarskie, mniej francuskie i hiszpańskie, bardziej południowoafrykańskie, a z amerykańskich kalifornijskie jeno.

Pani poetka prawdziwa, malarka, ciastowa rzeźbiarka - kobieta renesansu nieprzymierzając, aż podziw bierze. Bene, ale tu mi wierszami moimi nieporadnymi niczym piaskiem w oczy sypiąc, sama między słowami ukrywa własną twórczość, której także rad bym pokosztować. Może być i przy kieliszeczku grzecznym chateau, w noc jaką, piątkową najpewniej, przy Sławku Wierzcholskim czy inszym bluesowym klimacie, kiedy pomarkować mogę w spokoju po znojnym zaganianiu trzech bestyj, moich synów udających, do łóżek.

Przyrody dziś nie słyszę, bo kosiarze magistraccy od samego świtu trawę w parku koszą zapamiętane. Czuję ją za to w tejsze trawy zapachu, który mocny być musi, skoro nawet tutaj, do mej pakamerki na piętrze przez okienko otwarte dociera. Mam zatem nadzieję, że i tego listu do Pani ta woń się ulapi, by po otwarciu i Pani Maja poczuła jak trawa świeża na wschodnim (obecnie, choć w rzeczy samej w centrum cywilizacji Rzeczypospolitej, com naocznie stwierdził po Litwie

podróżując) skrawku Polski pachnie.
Ściskam wirtualnie, pozdrawiam realnie,
ukłony posyłam.

Dima

Kwiatki z bajki

12 V 2006, godz. 00.59

Wie Pan, Panie Hrabio, dzisiejszego ranka stojąc na służbowym balkonie, patrzyłam na niezapominajki w ogrodzie, niebieskie... takie cudne i różowe mniejszej urody. Bo one po mojej stronie słońca już kwitną, u Pana zaś kto wie..., skoro wciąż z pustym pudełkiem po zapalkach Pan chadza, próżno chrobotu nasłuchując. I pomyślałam, że gdy dzieckiem podrosłym będąc rwało się niezapominajki (niezabudki jakoś się tutaj na zachodzie nie przyjęły), to one tylko nad strumyczkami rosły, tuż nad lustrem wody prawie, i w nim się przeglądały. Ileż trzeba było się natrudzić, by je osiągnąć, a przy tym do rzeki nie wpaść ze stromego brzegu... A dzisiaj? Dzisiaj one sobie w ogródku na grządce patrzą tymi żabimi oczkami. Zresztą tamtego strumyczka także już nie ma, któregoś roku pod ziemią go uwięzili w betonowych kręgach. Ale wie Pan, w tej mimowolnej historyjce okradania mojego dzieciństwa z jego barwnych elementów, jest i coś pięknego: do dzisiaj u moich rodziców mówi się nie inaczej jak o topolach znad rzeki i o sąsiadach znad tejże... A zostało Hrabiemu w zakamarkach pamięci słów parę z piosenki harcerskiej o niezapominajkach, co to rosły nad potoczkiem? Umiłowaniem wina mnie Pan Hrabia okrutnie ucieszył, a wyborem smaków bardziej jeszcze, bo chociaż setkami kilometrów rozdzieleni, gusta mamy identyczne bez mała. Od kiedy odkryłam smak wina z RPA, kupuję je dosyć często, szczególnie, że z uwagi na ichnią technologię, brak w tych winach siarczanów czy jakoś tam podobnie brzmiących związków chemicznych. Obiecuję sobie spróbować w czasie najbliższym mołdawskiego napitku, bo ponoć smakowo także wcale niezły.

Do duszenia sosów, które potem pierzynką dla ryb, kupuję białe, rumuńskie i nie narzekam. A zna Pan Hrabia powiedzenie, że lepszy pinot w garści niż merlot na dachu?

To mnie Pan zajechał tą kobitą renesansu, no

niech Pana geś... Z wrażenia wbiłam się głębiej w fotel i postanowiłam wyznać jak na spowiedzi (jakoś tak chce się do Pana mówić), że z owej kobity renesansu, Panie Hrabio miły, gdy tak spojrzeć trzeźwo (i nic tu do rzeczy nie ma, że i Hrabia winny i ja winna także), to ja mam jedynie anse do zupy pomidorowej z ryżem i jaj kurzących w każdym daniu i wydaniu. Ogólnie rozpełzam się co i rusz w inną stronę, niczego rzetelnie nie czyniąc (praca, praca jest tu chwalebny wyjątkiem). Kiedy piszę o ludziach zamotanych w jazz, humorzasty Malczewski ma mi to za złe i robi wówczas wszystko, bym się poczuła porzuconą (teraz mamy taki okres boczenia), kiedy znowu wyciągam karton i farby, zapominam o pisaniu.

Systematyczności we mnie za grosz. Ot i dzisiaj tak się zamyśliłam nad moją wsią i bockami, co to w ubiegłą sobotę wciąż nad domostwami krążyły w poszukiwaniu miejsca na gniazdo, żem o Toruniu zapomniała, a tam w studenckim radiu we czwartkowe wieczory jazzem się ku słuchaczom niesie. Ale jutro, jutro wybieram się na pogaduszki winne do naszej przyteatralnej kafejki, a tam zwykle sący się niezgorzej muzyka, więc odrobinę sobie wynagrodzę (a mamy całkiem, całkiem niezły teatr legnicki, o czym przecież Hrabia nie wie wcale, bo i niby skąd).

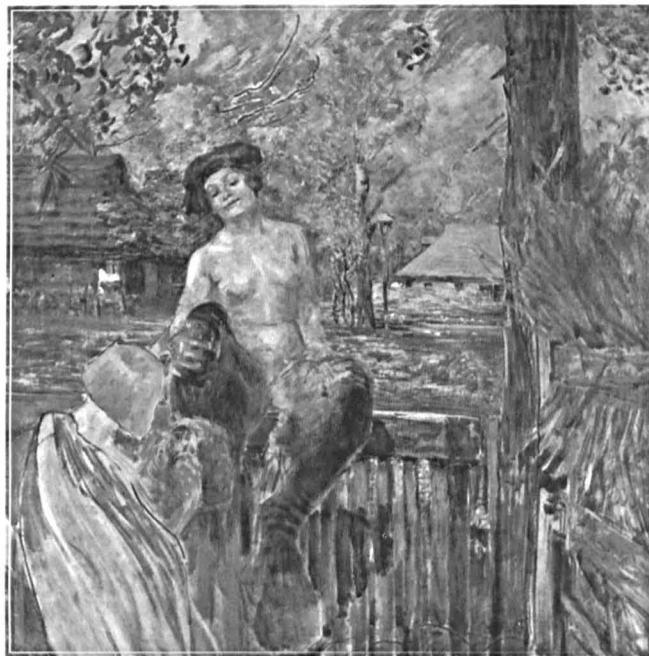
Los mnie jednak lubi (z powodów, których po wielokroć pojąć nie mogę), bo oto z telewizora w środku nocy płynie polski jazz, a grają same tuzy, to i gęba mi się roześmiała od ucha do ucha, bom już myślała, że tak jakoś niemuzycznie w sen się zamotać przyjdzie, a tu sypnęło środkiem nocy saksofonami i trąbkami, że o skrzypcach nie wspomnę, ech... Gdyby brakło muzyki...

I tylko Pan Hrabia sobie śpi, dziecińy wcześniej do łóżek zagoniwszy, i nie wie nawet jak się radośnie o godzinie 1.15 potrafi noc rozkołysać. Więc ja te dźwięki przedziutko zbieram (bo może akurat trąbka się Panu śni bezdźwięczna albo gitara) i one tam jutro rankiem na parapecie pakamerki się rozniosą cudnie...

Maja w tle, orkiestra grać...

PS. No qrcze, to mam problem, bo Pan Hrabia mnie z wierszami swoimi wypuszcza..., coś

tak czuję... Podsyłam Panu jednego mojego
Malczewskiego, ot tak, by sobie u Pana
pobyl, czasu pańskiego jednocześnie nie
mitrząc zanadto.



Jacek Malczewski,
Chimera, 1913

25.02.2005 r. Impresja wg Chimery
J. Malczewskiego, 1913.

Chwila z chimera, ku przestrodze
Pamiętam tamto późne lato, nie było cię wcale,
może byłeś, ale jak zwykle gdzieś między teraz
a kolejną drogą. W rozpadlinie usypiała traszka
zwyczajna raczej, z czasem brak pewności, a
przecież
pamiętam plamki na podbrzuszu i to, że
smukła,
wiatr tylko się wzmagal w zmarszczkach stawu
na płótnie nawet dziś widoczny.

Ona zjawila się nagle. Musiał być przedwieczór,
cisza bez przeszkód drzemała wśród szczebli
werandy, wystarczy spojrzeć: pod warstwami
cienia
nadal zapach herbaty sący się niespiesznie.

Taki kaprys, pomyślałam, sen może, że ona
na tej poręczy wcale nie znużona drogą, a
nawet
jakby właśnie nadbiegła z ogrodu z rozmysłem
gubiąc
między krzewami jedwabie, atlasy, w zamian

nagość
unosząc w pojedynczych dźwiękach skrzypiec.

W tym oswojeniu zamysłów i zmysłów gdybyś
był,
kolec róży, który wbił się w stopę, byłby
pretekstem,
by chwilę zakłąć w węza syk, gdzieś w trawie
może,
w jabłko dojrzałe, w cokolwiek.

Chodźmy na herbatę, mówisz, więc otulona
szalem
posłusznie drzwi otwieram, chociaż drzwi tam
nie ma.

Śpieszny, bo przedwyjezdny
12 V 2006, godz. 6.53

A to mnie Pani rozmarzyła tym wierszem z
samego rana... Tym bardziej, że „na herbatę
chodźmy” tam jak nic stoi, a ja dziś nawet
herbaty wypić nie mam czasu, bo do staroży-
tnego grodu Lublina zmierzam. Tak i pisać
do Pani Mai nie mogę. Ale z wieczora to
sobie odrobie w noc siedząc przy kompu-
terze i w klawisze białe stukając, wino sącąc
i serem pogryzując. Pani lubi ser pleśniowy
do wina? Ja pasjami.

Dima

Re: Śpieszny, bo przedwyjezdny
12 V 2006, godz. 22.30

No jakżeś nie lubić sera pleśniowego do wina,
Hrabio miły? Się nie da. Uwielbiam. Oliwki
jeszcze lubię do tegoż wina, a oliwki & ser
pleśniowy.

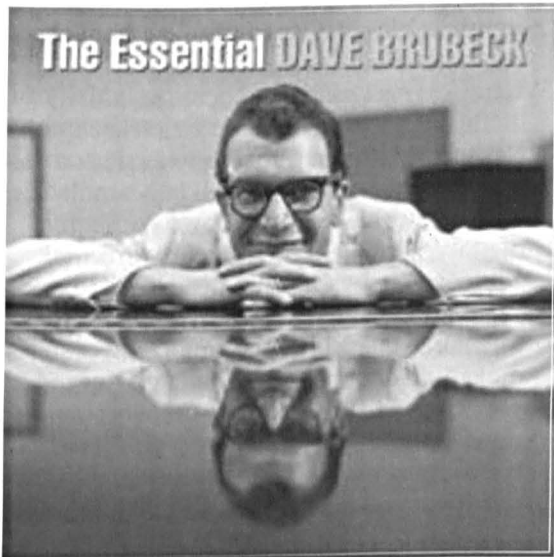
A teraz, mości Hrabio, to ja sobie przycupnę w
kątku i poczekam na odzew białych klawi-
szy, by się Pan Hrabia nie poczuł zarzucony
moimi słowami. I chociaż mówić do Pana to
przyjemność zaiste wielka, dałam sobie
nakaz.

Winnej nocy, Hrabio.

Maja, z zachodniej strony

Skąd pokrzywy w oziminnie 15 V 2006, godz. 1.27

Nawet Pan nie wie, Hrabio, bo i skąd niby, że te z Panem pogawędki nocno-poranne o zapachu herbaty, wielce mnie radują. Fajnie jest wpadać do domu i sprawdzać czy konie już zajechały na podwórzec, a posłaniec zza pazuchy czy wieści od Pana wyciągnie. Weekendowe wiadomości to będą. Tak sobie teraz myślę i chociaż kto wie, co do poniedziałkowego świtu się przydarzy, to rozmowę z Panem rozpoczynam w piątkowe dopołudnie, co mnie samą dziwi niepominiem. I pomyślałam, że koniecznie (dla uśmiechu rozwłóconego radośnie) Take Five D. Brubecka powinien Pan wysłuchać, bo przy nim nawet mój Malczewski staje się mniej rogaty, co niechybnie znaczy, że łagodnej radości wiele w tej kompozycji i jakiejś magii, której rozpoznać nie mogę, ale która jest bez wątplenia. Chociaż z drugiej strony, mimo wyrazistego zdecydowania, zdaje się Pan być człowiekiem łagodności sporej (pisać wielkie byłoby przesadą, bo o Panu wiem tyle, ile słowa odkryć potrafią, zatem niewiele)..., co tym bardziej szkodzić pańskiemu wnętrzu nie powinno.



A pamięta Hrabia Tewjego mleczarza ze Skrzypka na dachu, on zwykł mawiać, roztrzaskając istotny dlań w świetle upadającej tradycji problem, że chociaż jest druga strona tej samej sprawy, to przecież tak naprawdę, dla zachowania tejże tradycji właśnie, drugiej strony być nie może. Skrzypek... rozrzewnia

mnie od lat w takiej skali, że kresek brakuje już przy preludium, a gdy krawiec Motel śpiewa o cudzie, jaki mu się przytrafił w postaci narzeczonej, ryczę z radości niczym bóbr (bobra znając nawet nie z zoologu, lecz z ilustracji zaledwie, więc nie wiem czy on byłby kontent, że śmiem się doń równać).

W takie piątki jak dzisiejszy myślę o mojej, tam, na wsi, chacie i czy jaszczurka wdrapie się na kloc akacji, by w słonku swoją zwinność wygrzewać, a bociany czy zbudowały na słupie gniazdo, i za nic robota służbowa mi się nie kładzie jak powinna. Od wiosny począwszy, na jesieni kończąc, w piątki rozpuszczam się jak bicz dziadowski, albo i gorzej jeszcze.

I muszę wspomnieć, Hrabio (no mus nie mus, ale dobrze wiedzieć przed czym/kim strzec się należy), że gdy idzie o Malczewskiego, to moje o nim opowieści czasami mogą Panu przywieźć na biurko w pakamerce myśli niepokojące, że ja prosto durnowata. I tak pewnie jest w tym akurat kawałku mnie jako października, bo kto widział, by o człeku, co już czas spory świętej pamięci, mówić jakby on sobie był na chwilę poszedł na drugi kraniec łąki albo w zaułek skreślił, lecz niechybnie zaraz powróci. Malczewski jest jedyny (z ludzi, o których ludzkość mówi że artyści), o którym ja myślę „Jacek”, a piszę „JM” (Pan Hrabia jest tutaj wyjątkiem, bo ani mnie zna przecie, ani wie o moich dziwacznych z JM związkach). Więc może faktycznie powinnam zacząć szukać medyka i jakiemuś leczeniu poddać się na nogi chociaż, gdy na głowę okaże się za późno. A przy okazji, to onże środkiem minionej nocy wróciwszy zeszłajany przypomniał mi się swoją wieloletnią krakowską muzą osadzoną w syberyjskim klimacie... I zrobiło się tak magicznie, że oto dzięki tym moim do Pana Hrabiego poszeptywaniom on w parapet huknął pięścią na znak przekory i powrotu. Fajnie, bom już się za nim od zimy stęskniła okrutnie, a lubię, gdy na mnie z drwiną popatruje, ale i niejako z przyzwoleniem dla tych o nim zamyśleń i zmyśleń.

A ja może przez weekend do WN powrócę i do pańskich o nim wieści (tak ni stąd ni zowąd przypomniało mi się, a potem zapomnieć mogę, szczególnie że już wcześniej Hrabiemu rzec chciałam, że w wyrażaniu myśli Hrabia taki kolorowy bardzo, że... aż żal, że te słowa tylko do mnie, tylko ja czytuje. To miało

znaczyć, że dumą mnie owiało).

Niedziela, nocna, zatem powracamy do zwyczaju utartego. Poczytałam sobie wczoraj felietony Hrabiego, tak środkiem nocy, kiedy cisza i nawet muzyki już o tej porze żadnej, by dom sny miał, jak lubi. Felieton po felietonie (a czemuż to Pan Hrabia dat nie wstawi przy pisaniu, a? Się poprawić proszę). Nie powiem, który zapadł we mnie bardziej, bo jakież to miałyby mieć znaczenie, skoro czytelnik ma prawo do własnego odbioru, więc i ja pewnie. Niemniej o babci tkającej kokon modlitwy wokół członków rodziny opowiadałam dzisiaj (wczoraj już) zupełnie obcej kobiecie, z którą od paru dni mam codzienny kontakt i taką sympatyczną nitkę porozumienia. Będę sobie tak Pana Hrabiego poczytywać w chwilach, o których się mówi, że wolne.

Wczoraj, na wsi, przez kilka godzin stałam to w trawie, to w ozimieniu (jakieś niewyrosłe), obserwując parę bocianów wykańczających nowe gniazdo. Przed tygodniem krążyły nad wsią, szukając miejsca (na starej stodole jest gniazdo, ale czemu go nie chciały, nie wiem). Wtedy były dwie pary. Jedna z nich zwyciężyła i została (bo bociany biją się o miejsce). Kiedy wczoraj spojrzałam na słup, nad którym krążyły jeszcze tak niedawno..., było już gniazdo. Wystarczył im tydzień! I pomyślałam, że szkoda, że to nie u mnie te bocki, fajnie byłoby tak siedzieć i patrzeć, podpatrywać.

A w drodze powrotnej do domu, zupełnie jak u Tuwima, bez tak kuszącego zapachem, więc go narwałam, naszarpałam, takiego świeżego, mokrego od deszczu, ale tylko białego, bżowego nie zdążyłam..., lunęło jak z cebra. Teraz pachnie cudownie, gdy twarz weń włożyć.

Ech, maj, po nim żaden już...

No i zagadałam Pana Hrabiego do cna. Pora na radzyński odzew klawiszy...

Z ganku słysząc pojedyncze trele (czyje?, bij, zabij, nie wiem), ale takie piękne... Te od strony lasku niech będą dla Pana Hrabiego, wszak miło jest dzień rozpocząć, gdy na parapiecie rozbrzmiewa muzyka, a na biurku kubek...

Milego poniedziałku,

Maja oszołomiona zapachem bzu i wiedzą Hrabów niektórych.

Późny ranek

15 V 2006, godz. 10.44

Te trele ptasine tom niemal usłyszał. A gdzież! Na pewno je słyszę, tylko czy to te same? Ot zagadka.

Bzy pięknie Pani opisała, i bociany, i oziminę, że aż się chce za miasto wyruszyć. Cóż, kiedy proza życia, jak moloch okrutny a bezlitosny macki swoje wyciąga i paraliżuje wszelkie wolnościowe zapędy. To i nie dziwota, że listy Pani Mai, póki co, za wszelakiego natury smakowania wystarczyć muszą.

Do pakamerki mej, co jakiś czas, wycie psa dolatuje aż skóra cierpnie - bo zaraz opowieści nieprzyjemne o tym wyciu źle komuś wieszczącym pod czaszkę przychodzą.

Ale tam... zabobony precz!

Widzę, że Malczewski na poważnie Panią Maję opętał. Ale to chyba nie jest źle. A może jest...? Pewnie zależy jakie owoce z tego wszystkiego dojrzewają. A kalkuluję, że chyba dobre - taka Pani słicznie niedzisiejsza - w jak najlepszym tego słowa znaczeniu. Bo „dzisiejszość” mi się do cna przejadła, że aż boję się jutra i w przeszłości jeno przesiaduję. Na szczęście, jako historykowi, mi to jako tako wśród ludzi uchodzi.

Wietrzyk u nas dziś dość mocny, jesionowymi liśćmi tuż przy mym oknie szeleści aż miło. Nawet nieszczęsna psina, co to jej się pomieszało i do słońca wyje, zamilkła. Mam nadzieję, że na dłużej. A wiatr typowo wiosenny, niestały, jelonkiem na mej wieży kręci, jak gdyby na festiwalu jakim peerelowskim był. Wiadomo - wiosenny wiatr taki i już. Znacząco, że prawdę rzekłem, gdy przedwczoraj mojemu pierworodnemu na odczepnego powiedział, że nie będę robił latawca, bo wiatr wiosenny zły do puszczenia i do jesieni trzeba poczekać. Odparł ze smutkiem, że to tak długo, a ja myślę smętnie, że tak blisko. Aż żal bierze. Za dwa tygodnie do Pierwszej Komunii przystąpi. Piękne te maje.

Z późnego ranka się już i przedpołudnie zrobiło. Takież i słonecznie Panią pozdrawiam. I ukłony zwyczajowo słę. I o pamięci zapewniam. I zgody w związku z Malczewskim życzę.

D.

Kawki na trawniku, uśmiech na parapecie 16 V 2006, godz. 1.27

Witam Pana Hrabiego wtorkowo, Hrabia pamięta, wtorki magiczne są i fajnie jest zasiedając rano nad kubkiem herbaty, albo i inszego równie pachnącego napitku, pomyśleć, co by tu miłego ludzkości uczynić. Ja w takich razach obiecuję sobie, że będę się bardziej starać, by ta radość, która we mnie, znalazła i u innych pomieszkanie, kącik najmniejszy, ot taką chociażby pakamerkę na pięterku, z której i jelonek widoczny, i maj w jesion wplątany.

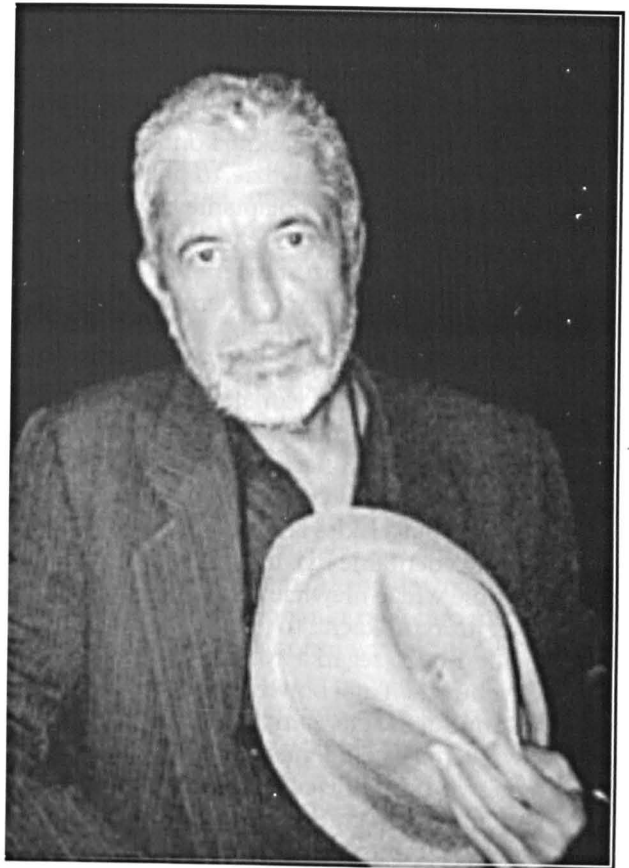
Byłam dzisiaj we Wrocławiu, dzień piękny, zanurzony w słońcu po czubki drzew nawet i u Pana Hrabiego, bom wczorajszego wieczora spojrzała na telewizyjną ścianę wschodnią w odpowiednim czasie, to i wiem (ha, nawet o strajku służb medycznych roztrąbiły się media, w tym i o radzyńskich). I tak sobie jadąc oglądałam okolice. Uwielbiam patrzeć, jak zmienia się znany bez mała na pamięć obraz. Zauważył Pan, że zieleń majowa przypomina wczesnojesienne kolory, a bo to młode liście się czerwienią (buki czerwone pomijam, bo one z natury), niektóre to się żółcą, to żółcą zanim w zieleń przejdą, a i iglaki dwukolorowe, bo młode pędy takie jaśniutkie, prawie pistacjowe. A tak nawiasem bez nawiasu, to czy Pan Hrabia pamięta, kiedy dotykał młodych pędów świerkowych? Ileż w nich delikatności, prawda? Lubię je teraz gładzić, by sobie potem, gdy bez kija prawie nie przystąpić, bo takie kłujące, przypomnieć tę wiosenną miękkość. Nie darmo pyta się dziewczątka ile ma wiosen, a kobiety o lata, z czasem już babci o jesienie, zimy. Wmotani w pory roku zapominamy jednocześnie, żeśmy częstkami natury.

A i rzepak u mnie w rozkwicie. Z drogi wygląda tak bajecznie, że nic tylko stanąć i dziwić się, dziwić tym łatom żółci przyfastrygowanym w połacie zieleni gdzieś aż po horyzont.

Nie pamiętam płótna z takimi żółciami rzepakowymi, a Pan? Rzekap zawsze mnie nastraja sympatycznie przeszłościowo, pora, gdy sesja letnia wisiała u klamki i fałdów należało przysiąść, a tu ogród botaniczny kusił i ławki, i nie tylko.

Śpiewa mi teraz Zembaty na przemian z

Cohenem (Zembaty śpiewa Cohena, Cohen śpiewa siebie). Chyba wołałabym, żeby Zembaty nie śpiewał Cohena, ale skoro tak to sobie obmyślił..., ja lubię tego drugiego. Przede mną jeszcze Chris Rea, ale już nie dzisiaj. I Jan Kanty Pawluśkiewicz (on coś tam maluje sobie i lada chwila wernisaż u nas). A w mieście jeszcze nie byłam (czy u Pana Hrabiego, tam hen, daleko w Radzyniu, także się idzie do miasta po zakupy? U nas czasami to nawet „na miasto na zakupy” się chadza). Okrutnie nie lubię chodzić do tego miasta, więc wciąż przede mną Dead Can Dance. Jak zakupię, natychmiast ogłoszę to Waści, pierwszej naturalnie wysłuchawszy co tam w nutach piszczy.



Leonard Cohen
<http://leonardcohen.pl>

Zembaty śpiewa, a mnie przypomniawszy się Jesienin i to, że nie mam żadnego jego tomiku. Dziwnie się myśli plotą. Trzy po trzy, para, piętnaście?

Jakżeś pięknie Pan o tych latawcach i pierworodnym. Zazdroszczę, że myśli się Panu tak urokliwie w zdania układają, że nic tylko czytać i czytać.

Pozdrawiam Pana Hrabiego z serdecznością tak wielką, jak moja stara brzoza, do której warto się przytulić, a że pochyła, to tym bardziej.

Niech się Panu wtorek uchyli radośnie i na oścież tym myślom, z którymi Panu we wtorki, i nie tylko, po drodze...

A z parapetu proszę pozbierać uśmiechy, które z takim staraniem w rządku poukładałam, by Pan Hrabia czasu nie tracił, tylko dłoń jedną nadstawisz, drugą zgarnął i po kieszeniach poupychał.

Koncert na dwie gitary z piękną Dorotą w tle 17 V 2006, godz. 1.36

Zgroza Panie Hrabio, zgroza, wczorajszy list do Pana usnął wraz ze mną nad klawiaturą i taki zamroczony sennie popłynął ku Panu. Więc teraz za kolana Hrabiego obłapić tylko z przeprosinami, albo i skraj kontusza ucałować, chociaż po prawdzie, to nie wiem czy białogłowom owo obłapienie zwyczajem jakowymś przypisane jest i czy Pana zdegu-stowanym nie pozostawię, albo i gorzej jeszcze, bo osłupionym. Niemniej czuję wyjątkowy dyskomfort, coś o smaku pomroczności jasnej zapewne, zatem... kark pochy-lam (powie Pan: ot jednak Maje durnowate bywają), mogłabym wszak zmilczeć, kwestię wczorajszą pominąć..., no, mogłabym, ale coś mi spod skóry wyłazi i mówi, że niektóre Hrabie mają jakieś zmysły ponadzmysłowe, transcendentalne być może, i widzą, gdy po-zornie widać niewiele).

A jak już o urokach... to jednak u Pana według ciut innego zegarka życie się toczy niż tu na zachodzie. Tutaj bowiem terminy Pierwszej Komunii Świętej zamykają się w dwóch pier-wszych dekadach maja, gdy przed pańskim pierworodnym wciąż przedsmak. U nas już od ubiegłego tygodnia każdego popołudnia można ujrzyć rozkołysane białe sukieneczki, jak w stronę kościoła aleją lipową radośnie ćwierkając, wędrują (niestety, chłopcy jakoś mniej widoczni, to pewnie przez tę powagę garniturków).

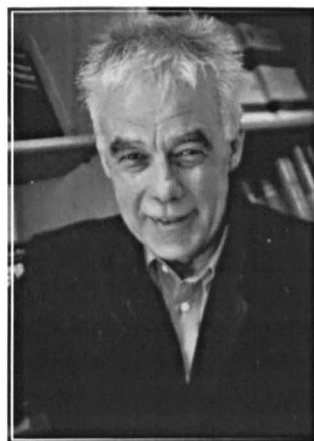
A wie Pan Hrabia, że z mojego służbowego balkonu horyzont różnie się układa? Bo to raz na wyciągnięcie ręki, to nieco, ale tylko nieco, odleglejszy. Właściwie w tej dzielnicy (a najpiękniejsza ona w moim grodzie piasto-wskim) wszystko tak bliżej człowieka, a on,

ten człowiek, bliżej natury, to i nie dziwota, że horyzont także, tyle że pory roku go oddalają lub pozwalają doń prawie sięgnąć. Gdy jesień ogołoci drzewa z liści to do wcze-snej, bezlistnej wiosny mogę popatrywać na czerwone dachy domów mojej ulicy i gdy-bym miała psi węch, jak nic zapach kapu-śniaku czułabym, co się lufcikiem sączy. Gdy zaś, jak teraz, liście klonów i kasztanowców już właściwymi kształtami i rozmiarami się pyszną, to nawet skrawka dachówki nie dojrzę. Za to z góry widzę jak się w dole żółci złotokap, a i tamaryszek wstydliwie zaróżo-wiony już, lecz on na krótko w tych lekko landrynkowych barwach, potem szarzeje; nie bardzo go lubię i to bez względu na uma-szczenie. Zembatego też nie lubię, gdy Cohena śpiewa, chociaż ogólnie to pana Macieja lubię, a już gdy u Poszepszyńskich to bardzo nawet. I chyba o tym próbowałam wczoraj Panu Hrabiemu powiedzieć, ale czy mi się udało, to nie wiem.

Słucham sobie dzisiaj Consensusu Jana Kantego Pawłuśkiewicza, zdziwiona, że on śpiewa, bo nie tak go zapamiętałam, no a że maluje, to już zupełnie oczy mi zaokrągliło. Słucham słów, melodia jak melodia, taka niewymy-slna, do miłych spotkań towarzyskich, bo nie przeszkadza w rozmowach nie za głośnych, a przy tym pozwala i zanucić chętnym do śpiewania. Tekst..., a tutaj myślę sobie, że autor sam bawiąc się świetnie, kpi przy okazji ze słuchacza, gdy tenże słowa zbyt serio bie-rze. Tak płytę odbieram. Chętnie bym sobie z nim na ten temat pogawędziła i może to zrobię, gdy zaproszenie na wernisaż zdobęde. Do czego doszło, Hrabio, zdobyć zaprosze-

nie..., to budu-jące jest, pra-wda? Za to już od pewnego czasu nie muszę „zdobywać” bi-letów na koncerty jazzowe, one na mnie czekają. Że „życie to podróż bez przesia-dek...” - podkra-dłam

Pawłuśkiewiczowi. Pan Hrabia wierz, że ma



Jan Kanty Pawłuśkiewicz
<http://www.matras.pl/krakow/>

tutaj na ziemi swojego Anioła Stróża? Ja wierzę, bo mam takowego. Tak lubię i chcę myśleć i opowiadać historię z pierwszego roku studiów, gdy po raz pierwszy wyraziście czułam, że jest. I nie wiem skąd ten Anioł tutaj, ale go zostawiam.

A czy hrabiowie jadają naleśniki ze szpinakiem i zimnymi sosami czosnkowymi w jogurtowej smaku otocze? Pyszności to są dla podniebienia i wiem, co mówię, bom ogólnie grymasna bardzo i niewiele mi smakuje, więc jem raczej dla energii niezbędnej do poruszania, szczególnie gdy pod prąd czasami. Naleśniki wszelkich smaków i kolorów łączcie się!

A czego Pan nie lubi tak bardzo, że gotów dostać wysypki, gdyby zjeść przymusił? Bo Hrabia to już z urodzenia pewnie bardziej kapryśny niż wszystkie Maje w pęczkach deszczu, albo i luzem nawet, tudzież kałużami liczone i wiatrem w kominie. Ja tam Panu Hrabiemu gotowam umyślnym podać jakowegoś naleśnika, albo i nawet rybki kawalek duszonej z jabłkami w miodzie maczanymi (ech, Maurycy Gottlieb mi się przypomniał... czas by do Krakowa ruszyć, ale kiedy, nie zgadnę), a wszystko by się uśmiech na pańską twarz wytoczył ogromniasty w rozmiarze XXXL, a potem niech on się rozleje po pakamerce, schodami i oknem spłynie czekając, by drogę Panu radośnie wymościć. Bo nic piękniejszego nad człeka, któremu słońce po kieszeniach siedzi.

I tak oto na próg bezpiecznie Pana doprowadziwszy, dygam na dobranoc, co tym samym znaczy witam w dniu, Panie Hrabio miły, czy Pan dostrzegł jakie naręcze zapachów, kolorów i dźwięków majowych ułożyłam na pańskim biurku? To na miły dnia początek, jego środek i zaśnięcie...

Maja stęskniona za Krakowem okrutnie

Przypieszenie i zwalnianie

17 V 2006, godz. 7.34

Ano jestem. Za stołem nie zostałem, gdzieżby. Żeby to jeszcze inny jaki stół, to chętnie bym pozostał, ale prezydialny to nie. Oba listy Panine razem, to znaczy jeden po drugim, dziś odczytałem. Podwójna przyjemność, choć narzeka Pani na senność w pierwszym, ale senność to przyjemny stan. Takie

zawieszenie między dwoma różnymi światami niemal.

Wróciłem umęczony podróżą i konferencją, z premedytacją zatem postanowiłem znacznie życie zwolnić i gdy już zbudziłem się z przedwieczornej drzemki, która znieńcka spadła, wyszedłem na podwórze z butlą piwa i sączyłem je leniwie przyrodę kontemplując.

A to żab odgłosy od rzeki i zalewu (jest tu taki zalew wędkarzom i spacerowiczom służący) łapiąc, a to szmery wiatru w lipowych listkach świeżutkich, że hej, a to cykań nieznanych a ciekawych. Zapachy kwiatowe nawachując niczym jaki rozedrgany wyżeł. Od razu się jakoś lepiej zrobiło i nieba bliżej, a i Anioł Stróż (wierzę, no jak by nie!) mógł wreszcie za plecami przycupnąć, odsapnąć bez obawy, że gdzieś umknę na lewo.

O smakołykach różnych grzecznych mi tu Pani Maja powypisywała, aż sobie o niespożytych śniadaniach przypomniałem. A wybredny to raczej nie jestem, choć są rzeczy, które lubię najbardziej, lubię i mało lubię. Garsteczka jeno tych, których zdecydowanie nie lubię. Tak obserwując swój gust kulinarny muszę stwierdzić, że ja zupiarz jestem. Bez czterech zup w tygodniu zaczynam stawać się marudny, kwaśny, cyniczny i nieswój. Z tych zaś zupełnie standardowe: pomidorowa, ogórkowa, grochowa, szczawiowa, grzybowa, fasolowa... Właściwie to wszystkie. No, nie lubię ja barszczu ukraińskiego - co mnie samego dziwi. Nade wszystko jednak uwielbiam rosół z kury, a zwłaszcza z domowo robionym makaronem. Ale od dawna takim nie kosztowałem, bo nikt podobno nie ma na to czasu, by go w domu wyprodukować. Co straszne jest.

Zapachy kolorowe wiosenne, które mi tu Pani Maja nocą utkała - dają głowę - docierają przez okno pakamerki. Chyba że to inne, ale coś mi się widzi że te same. Upycham je gdzie można, po kieszeniach i szafkach, by na martwe miesiące zimy zostawić na pamiątkę, choć wiem że się nie da. Że tylko w pamięci... Z Panem Bogiem zatem.

Darek (znowu) na progu przypieszenia

Z rana butelkowo

18 V 2006, godz. 7.26

Jak Pani Maja czyta, oparłem się i nie poje-

chałem do Warszawy. Właściwie to wyjażdżów mam dosyć. Wolę chłonać wiosnę, póki jest.

A czwartek z rana butelkowy, jak to się mówi. Mgła otuliła Radzyń szczelnie, że ledwie ciałem ją jadąc do pracy. W nocy padało - chyba bom nie słyszał (Pani Maja by słyszała, jako nocne stworzenie Boże) - bo ziemia mokra i powietrze mokre takie, wilgotne, lepiące się do skóry. A w radiu nadawali ciepło, 24 stopnie. Na razie chłodno jednak. Ale warto chyba nosa wysadzić, bo ptaki takie ożywione, świegola pięknie.

W takiej to atmosferze kubek z herbatą z herbaty ściskam w garści i pijam, twarz ku chłodnemu i wilgotnemu oknu wystawiając. Tak to zapowiedział, że jestem i że Pani Maja pisać może, bo czytam na bieżąco, że-gnam się póki co i pozdrawiam czwartkowo-butelkowo.

D.

Nitek z Consensusem w tle 18 V 2006, godz. 23.54

No gdybym ja przewidziała, że Pan Hrabia tak skutecznie przed podróżą do stolicy będzie się opierał, toż i słońca bym naznosiła na parapet i innych urokliwości wiosennych, by Panu poranek umilić... A tak, pomyślałam, do stolicy bieży, pewnie koleją, wróci za dni kilka zmęczony okrutnie, to i niechże sobie od tego mojego gadania zamorocznego odpocznie. Aż tu taka niespodzianka miła.

Ale czemu czwartek z rana butelkowy, to nie pojęłam, więc proszę, niech mi Pan Hrabia w łaskawości swojej wytłumaczy. U nas się tak nie mówi. I nie bardzo wiem, na tę okoliczność braku pojęcia, co się mówi w zamian tutaj.

Ale do jutra poczekam. No nie, nie tak to miało zabrzmieć. Poczekam na pańskie słowa, gdy Pan Hrabia czas znajdzie i z klawiszami wszedłszy w komitywę, słów nieco wirtualnym pocztynionem w moją stronę wypuści, jak jaki czarodziej, co to z rękawa kolorowe chustki i bukiety wyciąga, a z kapelusza to zwykłe królika i w dodatku za uszy. Hrabia myśli, że takie za uszy wyciąganie nie boli tego biednego zwierzaka?

Tak po prawdzie to odkąd potrafiłam z rozumem korzystać, przestałam cyrk lubić, przez

zwierzęta właśnie, bo ich tam zwykle sporo i zwykle niestety posłuszne być musiały w pokazywaniu sztuczek. Ale radości w nich nie było. Tak to odbierałam omijając cyrki wszelakie szerokim łukiem.

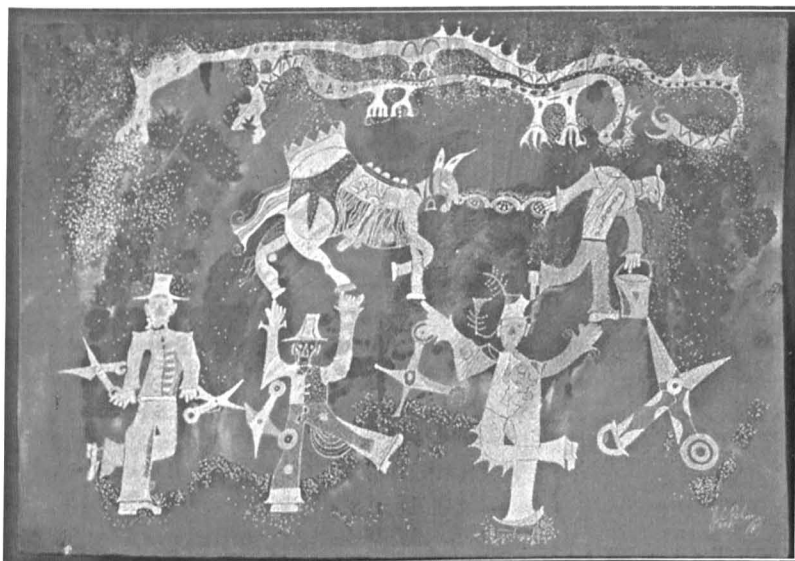
Dzisiaj w podobny sposób omijam kino. I nawet nie bardzo zastanawiam się dlaczego, ale jakoś nie lubię i już. Teatr za to wprost przeciwnie, biegam na każdą premierę, a czasami biegnę doń aż do Krakowa. Jednak Kraków teatralny nie za często mi się przydarza, o nie, bo odległość robi swoje. Niemniej za Kontrabasistą w wykonaniu Stuhra seniora popędziłam ubiegłej jesieni, obejrzawszy wcześniej spektakl w Legnicy. Warto było, bo monodramy mają to do siebie, że każdorazowo coś w nich innego, chociaż i aktor i sztuka ta sama.

Teatr lubię pasjami. I tęskno mi za niedysiejszymi poniedziałkami w TVP1. Teraz i teatrów telewizyjnych coraz mniej, a i programy jakieś spsiałe, za przeproszeniem psów, bo nic przeciwko szczekającym czworonogom nie mam. Moją Mama jak nic poświadczy, że psy kocham, a jeszcze bardziej one mnie, a i dowód mogłabym przywołać jakowyś, ale Pan Hrabia wierzący, to i uwierzy nawet rudej (a bo to mówią u nas na zachodzie, że rude wredne są, ale tak bardzo wszystkiemu co ludzie mówią, wierzyć nie ma potrzeby, prawda?).

A wracając do czworonogów to mam kota (hola, hola, żywego kota mam, miauczącego, o uszczerbkach na umyśle milczę świadomie, by Hrabiego nie odstraszyć za wcześnie, bo czmychnąć gotów gdzie pieprz i wanilia). Kot jest znajdą schroniskową, precudny z urody i ochoty do zabaw wszelakich, poza tym kocha ludzi. Bo z kocią miłością jest różnie (jakby z naszą człowieczą różnie nie bywało). A Pan Hrabia, bez urazy, ma kota? Miauczącego?

Popatruję sobie na Waści wiadomości, by czegoś istotnego nie pominąć, bo jakoś niekoniecznie mi się potem do gaf przyznawać i do chaosu, co to we mnie buszuje jak w zbożu? Tak to chyba było - Buszujący w zbożu.

A ja jutro pojedę sobie na ten wernisaz J. K. Pawluśkiewicza, więc w poniedziałek rankiem Panu zdam relację. I nawet już odnalazłam podobieństwo pomiędzy obrazami Pawluśkiewicza a JM, naprawdę. I proszę się pod wąsem nie śmiać, wcale nie mam kota,



Jan Kanty Pawluśkiewicz, *Podnieśli w górę węże krawcy;*
z cyklu „Fakty i ludzie”

Z rana odurzony (bzem) 19 V 2006, godz. 7.40

Ależ ja miałem noc!

A to za sprawą

wspomnianych przez
Panią bzów, których ktoś
(nie wnika) do domu
naniósł i w mojej sypialni
również naręcze fiole-
towo-białe umieścił.

Rację ma Pani Maja
zupełną, że u nas to samo
szaleństwo bzowe teraz.
No i sama Pani rozumie,
jakie to cudowności. I nic
a nic nie sprawdziły się
Pani Żony mojej kraka-
nia, żebym wyrzucił je na
noc, bo się uduszę tym

zapachem. W rzeczy samej to spałem snem
sprawiedliwego, a że zza szyby dochodziły
odgłosy deszczu, który w liściach czereśni
grał swoje melodyjki monotonne i w rynnie,
niczym na waltorni, pojękiwał to i nie
dziwota, żem dzisiaj zasnął ciutę.

Butelkowa pogoda to się mówi u nas, gdy pada
deszcz. Jako że to ciecie a i w butelce ciecie
zwykle. W domysle zaś, że nic tylko pod
dachem siedzieć, a najlepiej w barze jakim
czy innej restauracji, i pogaduchy z przyja-
ciółmi a znajomymi uprawiać. Ot co.

No, ale może być też jakiś jazzik tradycyjny,
albo inny Urbaniak. I ja to wczoraj sobie
zaaplikowałem z wieczora, konkretnie Johna
Coltrane'a, który tak milutko się z tym majo-
wym deszczykiem komponował. W rękę zaś

wziąłem
Wiekuistego
człowieka G. K.
Chestertona i tak
czwartkowy
zmrok na stronę
tych dobrych dni
w życiu przecią-
gnąłem.

Zatem dżdżu zapach
bzowy jelonkiem,
ku Pani Mai
znowuż bieżącym,
wysyłam.



Michał Urbaniak
www.urbaniak.4web.pl Dima

poza Nitkiem naturalnie (bo temu żywemu
Nitek).

Bzy już przekwitają i konwalie, Pan zauważył?
Nie, u Pana pewnie teraz najcudniejsze i w
urodzie i zapachu. Zapachy... jej, jak ja lubię
zapach domowego rosółu (no z tym maka-
ronem domowym, to już Pan deko przesa-
dził). Rosół to jedyna zupa, o której mogę
śmiało powiedzieć, że uwielbiam, ale tylko
pierwszego dnia, potem już nie jadam. Zup
ogólnie nie znoszę, ale że mój ojciec jest
zupiarzem, to Pana rozumiem. Zmorą moje-
go dzieciństwa była ukochana przez ojca
zupa pomidorowa, do dzisiaj jak ten wspo-
mniany cyrk... Nie mogę zatem pożegnać
Pana pomidorowo, bo z mojej strony byłoby
kwaśno. To może nie zjem do końca nadzie-
wanej czekolady (dopiero dwie kostki sku-
bnięłam) i gdy Pan jutro uchyli drzwi kanto-
rka, to zapach piękny truskawkowo-czeko-
ladowy Pana powita, omota słodkim
piątkiem, który za chwilę zrównoważy się
gorącą herbatą i zrobi się akuratnie, by usiąść
i się uśmiechnąć.

Zatem, Panie Hrabio, nie za słodkiego, niemniej
jednak takiego, by Panu radość sprawić, sma-
ku i zapachu życzę. Powiewam w pańską
stronę podziękowaniami za to, że Pan jest
hen, gdzieś tam, i że wciąż znajduje Pan czas...

Majka

Pawłuśkiewiczowo
20 V 2006, godz. 1.59

Mieć jednego Pawłuśkiewicza chyba chciałabym. Jednak o koncercie dopiero w poniedziałek. A bo to się zaczytałam o Thelomiousie Monku i straciłam rachubę czasu, mości Hrabio, a tu późno, gdy ja rano na wieś do swojej chaty co to stodoła jest. Więc tylko wdzięczne pas dobranocne na dzień dobry.

Butelkowa pogoda. Fajne, pożyczę sobie. U nas mówi się - barowa pogoda. O niebarowej pogodzie na wernisażu J. K. Pawłuśkiewicza i nie tylko opowiem niedzielą nocą.

Tymczasem kiść winogron Panu Hrabiemu podsyłam wyjątkowej słodczy i urody, Hrabia sobie zakaże do nich serka pleśniowego krojonego w trójkąty albo i inne figury geometryczne, a raczej bryły (ale żem z matmy kiep, to i nie wiem, jak matematycznie ser pokroić), a potem jeszcze jakiegoś merlota, no i hulajcie smaki... i myśli radosne.

A J. Coltrane słucham także i także go lubię. A Hrabia słuchał kiedyś Reginy Carter? Jak ona na skrzypcach jazzowo? Jejku, ja tak kocham skrzypce, że słyszę jak każda nutka się srebrzy radośnie.



Regina Carter
www.hopper-management.com

Zatem tę srebrną radość skrzypcową majowej nocy Panu przesyłam na sobotni ranek. Niech Panu będzie najpiękniejszą sobotą pakamerkową.

Maja bezbzowa już

Żabi król
20 V 2006, godz. 7.12

Salve, jak to mawiali starożytni Rzymianie, którzy obecnie to się już chyba tylko z Asterixem ludzkiej masie kojarzą.

Pani Maja w chacie wiejskiej rustykalne klimaty chłonie, a ja w pakamerce, jak gdyby to nie sobótka była, a jaki inny poniedziałek czy wtorek (pamiętam - wtorki magiczne). Za to ciszej jakby dzisiaj cywilizacja się zachowuje, śpi jeszcze pewnie, i żabich gardel lepiej słyszać, które pracują zawzięcie, co i żabiemu gatunkowi posłuży i ludziom milej jakoś - majowo - naturalnie - jak trzeba.

Pani Maja to ten liścik w niedzielę odczyta rozumiem. Pozdrawiam zatem na progu soboty, mam nadzieję, że ozimina przez ten tydzień ku niebu podskoczyła i oko uradowała, przez co natchnienia do liścików pisania Pani przydała, co i ja własnym okiem w poniedziałek odczuję. Amen.

Darek

Blues o smaku oranżady
23 V 2006, godz. 1.18

Salve... No i przypomniał mi się poznański dom Kazimierzy Iłakowiczówny, jej ostatnie mieszkanie. Przed drzwiami domu w granicę wryto właśnie „Salve”. Dotknęłam napisu opuszkami palców, był taki gładki, setki, tysięcy stóp, ale wciąż widoczny. Uchyliłam drzwi prowadzące do klatki schodowej, a potem cicho wdrapałam się po schodach, postalam spłoszona pod drzwiami jej mieszkania i jeszcze ciszej zeszałam, mimo że już Jej tam lata całe nie było. Na ulicy zgrzytały tramwaje (obok zajezdnia tramwajowa, musiało to jej przeszkadzać, gdy pracowała), a lato krztusiło się od upału i kurzu. Dzisiaj pewnie już bym tam nie weszła, większość bram wyposażono w domofony, ukryto nazwiska, numerując ludzi... A na moje podwórko wciąż można wejść zwyczajnie,

naciskając furtkę (no tak, ależ mi się rzekło, dobre sobie, do mnie, wielkiej pani, można; ot jak to rude potrafią się zapędzić). Ale do Iwaszkiewicza także można na podwórze, bo ze Stawiska trzy żołędzie przywiozłam, które sobie w mojej torebce pomieszkują, pomarszczone przez czas wielce. I do Siemiona można, ale nie weszłam, bo mi jakoś odwagi brakło, że psami może poszczuje, albo i co gorsze, na zbity pysk wyrzuci (czy u Pana Hrabiego mówi się: wyrzucić na zbity pysk? Zwrot nieelegancki, prawda, ale w rzeczy samej oddaje to, co intruzowi się należy). Dlatego do Siemiona na podwórze porośle sosnami nie weszłam.

Pojechałam za to w piątek na wernisaż Jana Kantego Pawлуskiewicza. Wystawiał swoje obrazy z cyklu Hieroglify (cykle ma różne i dosyć ich sporo, jak na krótki staż w tej sztuce). Pan Hrabia myśli, że maluczki może oceniać czyjeś prace? Bo ten maluczki, to niby ja, a obrazy...? Te najmniej mi się podobały, fakt, temat narzucił dyscyplinę, ale... Podobne nieco do Chagalla, którego bardzo lubię, bo taki czarodziej z niego, tutaj także niby magia, ale poświęty magicznej mi brakło. Niemniej obrazy kolorowe, więc nastrajają radośnie, a to już ważne. Postanowiłam namalować sobie coś latem takiego pawлуskiewiczowego, ale nie techniką żelową, bom za mało cierpliwa.

A Legnica się od piątku do niedzieli rozspiewała chóralnie, bo to słynne, 37 już, Legnica Cantat i sporo koncertów okolicantatowych (w samochodzie zepsuł się alternator, to i na wieś nie pojechałam i jak się ma ozimina, nie wiem, ani para boćków w nowym gnieździe, ani moje krzaki pomidorów w liczbie siedmiu, specjalnie dla mojego Pana Męża sadzone. Pan Hrabia mi to, jako pstrej białogłowie, na plus zaliczy, bom wciąż w awersji do pomidorów, alem się przemogła).

W sobotę byłam w katedrze na koncercie francuskiego zespołu wokalnego, ale nawet opowiedzieć Hrabiemu nie potrafię. Bo jak opowiedzieć muzykę wokalną epoki gotyku? Jak opowiedzieć, do czego zdolny jest ludzki głos, do jakich kreacji jego brzmienie i potencjał? Pięć kobiecych głosów sprawiło, że uległam złudzeniu, iż to chór mniszek, mimo wieczoru radośnie i świetliście chwali narodziny dnia. A potem był jeszcze koncert nocny na obój i gitarę klasyczną. Pan uwie-

rzy? Nigdy dotąd nie słyszałam oboju solo. Bardzo dźwięczny i czysty głos, w orkiestrze jakoś nigdy go nie słyszę. W niedzielę pobiegłam posłuchać bluesa w śpiewie i na organkach, lecz mało go było jak dla mnie, a już o organkach nie wspomnę.

Maj się kończy, Hrabio, to widać po drzewach, liściaste już bardzo i ostatecznie, a i przekwita co może, z wyjątkiem mojej czeremchy, która właśnie teraz w pierwsze kwiaty przybrana.

Niedługo zakwitną za to piwonie, jej, ależ to będą zapachy... Pan Hrabia zna takie kwiaty? U mojej Mamy zawsze były w ogrodzie. Mają takie ciężkie, kolorowe głowy pochylone ku dołowi niekiedy, piękne. Na końcu mojego ogrodu jest jedna, bladorożowa, taki cukiereczek landrynkowy.

A pamięta Hrabia dropsy w ruloniku? Miętowe i owocowe, a wklejone w siebie, że czasami i trzy na raz musiały trafić do ust. I do tego oranżada, tamta oranżada, w tamtych butelkach szklanych białych i zielonych. Muszę kiedyś opisać historię wielkanocnej skrzynki z oranżadą.

Bardzo, bardzo pięknie pas dygnawszy (no dobrze, lekko wsparłam się o stół sosnowy, kuchenny, bo lata nie te, by tancerkę Degasa udawać), uśmiecham się promiennie z podziękowaniem. Zabiorę Pana ze sobą do Szwecji, bo na tydzień tam sobie pomykam, od czwartku poczynając i trochę Pana opowiem mojej przyjaciółce piszącej poezję, a zwyczajnie to sobie Pana poczytam, zaczynając już w samolocie.

I znowu nie zdążyłam Panu o tych żabach opowiedzieć, co to na plecach kawalerów żabich noszą, no ale czas... pański naturalnie, cenię, więc i dobranocne dzień dobry, Hrabio miły, posyłam, ku rozwojowi wyobraźni, pachnące piwoniami landrynkowymi, bo żadne inne tak nie pachną. Zapach się wsączy w szczeliny podłogi i będzie Panu Hrabiemu tak..., no tak jakby kropla światła, spadając z Renoira brody, rozlała się po kantorku, wcześniej otuliwszy Pana.

Maja w nastroju do bajek o piwonii i skrzynce oranżady.

PS. Rany, zagadałam Hrabiego Dime jak amen w pacierzu.

Zwyczajowo magicznie

23 V 2006, godz. 10.42

Pani Maja w weekend nadzwyczaj kulturalnie aktywna była. Zatem nie na marne te dni bez wiejskiej chaty. Dobrze.

Znam określenie „na zбитy pysk”, owszem, przydatne. Dropsy w rulonikach, mietowe, a potem i owocowe i późnojaruzelskie, mleczne, na samo wspomnienie których ślina się w gardle zbiera - też pamiętam, a jakże. Piwonie i u mnie w ogródku rosną, czerwone, w pąkach jeszcze niepekających, trzy (chyba) krzaki. Pasjami lubię jak kwitną, bo i oko cieszą i woń okrutnie miła i - mnie również - z dzieciństwem się kojarzą. Co dziwne, zawsze na myśl o piwonkach przychodzi mi na myśl mrówki, które pewnie moje dziecięce oczy kiedyś na ich kwiatach widziały.

Familia moja cała zaś teraz Pierwszą Komunią Świętą Eryka, naszego najstarszego syna, żyje. A bo to przygotowania codziennie w naszym kościele parafialnym, a to przygotowania w domu, choć nie daliśmy się ponieść trendowi organizowania miniwesela i skupiamy się na religijnym wymiarze uroczystości. Dużo to cierpliwości wymaga, bo czasy niesprzyjające duchowości. Sami księża wycofują się na gwałt z ostatnich przyczółków życia duchowego w codzienności. Sekularyzacja i popkultura. Toż już nawet katechizmu u nas dziatwy nie uczono, co mnie ostatecznie zirytowało, bo nie wyobrażam sobie nawet, co w głowach tych dzieciaków ostałoby się, gdyby gry komputerowe, pokemony, disneya i inne śmieci wymieść.

Zatem i nauka katechizmu (najlepiej jakiego sprzed lat) na nasze barki spadnie. A to nieodzowne, bo dziś straconego czasu nigdy już nie odrobnią. Tak oto tryumfy święci przekonanie, że łatwość życia to dobro najważniejsze, a wszelki wysiłek i trud należy usuwać z drogi rozpieszczonych pociech. Konia z rzędem temu, który wskaże człeka szanującego coś, co otrzymał łatwo i bez żadnego wysiłku. No i dałem się ponieść frustracji. „Nie zajmuj się innymi. Nie wszyscy muszą być zbawieni” - powiedziałby znajomy ksiądz Karol. Słusznie, wracajmy do rzeczy przyjemniejszych.

Pani Maja szwecjalizmu zakosztuje, ponoć

przeróżający system, ale nie byłem, z opisów znam jeno. Co do kulturalistów to czuję już przez skórę sezon ogórkowy wielkimi krokami się zbliżający, choć wiosna jeszcze niby w pełni. Jeszcze wiszą w Galerii Oranżeria nostalgiami emanujące fotografie Litwina Antanasa Sutkusa, a inne rzeczy godne uwagi to chyba dopiero w końcu wakacji. Pani Maja słyszała o naszych Ogólnopolskich Spotkaniach z Piosenką Autorską „Oranżeria”? Ponoć słynne, choć ja tylko z tubylczego punktu widzenia znam. W każdym razie atmosfera trzech niesamowitych dni niezapomniana.



Antanas Sutkus
<http://fototapeta.art.pl>

Czy była Pani na stronie Radzyńskiego Klubu Fotograficznego "Klatka"? Jeśli nie, polecam z całego serca, choć nie należę. Ale znajomi moi partycypują, aktywnie działają, a i rzeczy niepojęte co z aparatem fotograficznym można zrobić:

<http://www.rkf-klatka.art.pl/>. Pani lubi fotografię?

Kawa Inka parzy podniebienie, gorąca. Taka odmiana od herbaty. Lubię. Popijam i spoglądam przez okno. Teraz, kiedy drzewa się w zieleni przystroiliły, to już ledwie stawy przed pałacem ode mnie z okna widać. Takie tylko skrawki sinobłękitu. Dołączam ten dziwny kolor do listu.

D.

Tudaj..., ech tutaj
27 V 2006, godz. 12.35

Tutaj, miły Hrabio, wiosny dopiero początek, bo forsycje zaledwie... (to takie te pierwsze żółte kwiatki na krzewach, co to wtedy listowia jeszcze nie mają), bez w powijkach, że o kasztanach nie wspomnę ni o tumanie akcyjnym. I jak tu by maturę bez kasztanów...? No dobra, wodę pije się z kranu i worki na

śmieci zielone (na odpadki żywności), i na ulicach jakoś czyściej, tylko uśmiechy jakieś plastikowe na ulicach, że niby wszystko jak najbardziej ok.

Za to miasteczko Oxelösund tuż nad morzem, skaliste i takie jak lubię, bo lasy brzozowo-sosnowe na skałach wyrosłe, domy drewniane także na skałach i ogródki przydomowe na skałach (czyż dziwić się, że ludzie tutaj twardzi i chłodni, skoro wśród skał zrodzeni?).

Pozdrawiam, Panie Hrabio, to tylko przerywnik taki, bo przyjaciele poza domem swoim, ja zaś na gospodarstwie...

Majka z życzeniami pogody i radości dla rodziny Pana Hrabiego, ze szczególnie radosnymi dla Eryka na te nadzwyczajnie niezwykłą niedzielę.



PRZEMYSŁAW KRUPSKI

Mogę wtrącić...?

Może nie powinienem, może ten tekst wytną mi koledzy w korekcie... Ale co tam. Skorzystam z okazji, by podzielić się z Państwem tym, co poczułem po lekturze Epistologium - działu, po którego nazwie nie spodziewałem się aż tak wiele.

Ten numer "Koziegorynku" robimy w pośpiechu. Co nie znaczy, że niedbale :)

Uwikłany w gonitwę z czasem i wir walki ze zbyt powolnym komputerem nie miałem zbyt wielu chwil na uważne czytanie tekstów, które przyszło mi składać. Aż do pojawienia się "na tapecie" działu, który właśnie (niespodziewanie) się skończył, choć mógłby trwać jeszcze. Przynajmniej do jesieni, nieprawdaż?

Myśli i uczuć po tej podróży zbyt wiele. Więc krótko o tych ważnych naprawdę.

Podziw. Dla pani Mai i Darka, którzy zdecydowali się swą korespondencję opublikować. Bo chociaż powyższą lekturę można potraktować lekuchno - wyłącznie jako ciekawy przewodnik po kuchni i barku, muzyce i malarstwie, i Bóg wie czym jeszcze, to kryje się za tym coś więcej. Towarzyszyło mi dziwne uczucie - pomieszanie rozbawienia konwencją, szacunku dla kunsztu episto-

Śródnoc i poniedziałek

29 V 2006, godz. 10.53

Hrabio, Hrabio...

Pan Hrabia się tutaj, w tym szwedzkim chłodzie, podoba okrutnie i nie mniej tylko. I naturalnie nie o fizys idzie (Hrabia się teraz uśmiechnie, bo miło jest wiedzieć i myśleć niekiedy o sobie, żem do ludzi nawet podobny), idzie o pańską książkę... Inspiracją, by tu o niecodziennej porze wpaść, jest Pana Hrabiego felieton Bezsenność inteligenta i myśl, że szczęściem ja nocami nie śpię, a za dnia TV gdzieś poza mną.

Krzykiem mew zawieszonym nad tarasem próbuję przedostać się do Pana Hrabiego... Udało się?

Milego dnia, Hrabio. A Eryk, jak Eryk, jak w ogóle jego wczorajsza niedziela?

Majka z tarasu zalanego słońcem.

NA KONIEC

larnej woltyżerki autorów i... skrepowania, znanego chyba tylko przypadkowym podglądaczom.

Nie znam Pani Mai, choć pewną więź już czuję i gusta jej podzielać. Ale Dima... Nie sądziłem, że zadziwi mnie aż tak... Tu biję się w piersi - zgrzeszyłem (delikatnie) stereotypowym podejściem do kumpla, uznając obecny stan znajomości za jej etap końcowy. Ot - nauczka na przyszłość. Gdy spotkamy się jutro - spojrzę na niego inaczej niż zwykle i nie zmylą mnie już jego militarne spodnie... I żal. Żal, że ja tak pisać nie mam z kim.

Rozmawiać przy piwie - owszem. Rozmawiać przy winie, wódce, bimbrze, przy serze pleśniowym, zupie lub przy pustym stole - tak. Lecz nie pisać. A kiedyś chyba miałem. Lecz żyjąc dniem dzisiejszym, ze wskazaniem na jutrzejszy - zaniedbałem korespondencję z przyjaciółmi, najpierw klasyczną, potem elektroniczną nawet... Czy na pewno można wrócić do tego samego misterium czekania, czytania, odpowiadania i na nowo - czekania, czytania...?

I jeszcze jedna myśl nie daje mi spokoju - czy w tych czasach plastikowych - prócz tej dwójki - ktoś pisze tak jeszcze?





ROBERT KONCA

MIASTO

Schwytano mnie na rogatkach. Teraz jestem w Mieście. Leżę przywiązany pasami do łóżka w Ośrodku Uzdatniania Mózgów i przekazuję tę opowieść telepatycznie komuś z Centrum. Prosiłem o kartkę i długopis, ale mi odmówiono. Nie chciano mi również rozwiązać rąk. Nie poddałem się. Dzięki ogromnemu wysiłkowi i wielu godzinom spazmatycznego skupienia, zdołałem odnaleźć ten jeden umysł, gotowy odbierać i być może zapisywać moje myśli. Wiem o nim tylko to, że mieszka w Centrum, ale intuicja podpowiada mi, że mogę mu zaufać. Nie mam zresztą innego wyjścia, a czasu zostało niewiele.

Nikt nie zna dokładnie historii Miasta; jest zbyt długa. Niektórzy twierdzą, że istnieje od chwili, gdy ruszył kołowrót zdarzeń, inni, że powstało z drugiego oddechu Tego, Którego Imienia Się Nie Wymawia. Zalewane przez potopy, zasypywane przez pustynię, jednak trwa, wciąż rozbudo-

wywane; rośnie jak złośliwy nowotwór. Kiedy byłem dzieckiem, Miasto podobało mi się nawet. Z radością bawiłem się w piasku usypując fantastyczne budowle, jakbym chciał Miastu powiedzieć: patrz, pragnę, żebyś było jeszcze potężniejsze, gdy dorosnę, zostanę architektem. Ale nie zostałem architektem. Zanim zdołałem zostać kimkolwiek, Miasto przestało mi się podobać. Wcześniej wierzyłem, że jest opoką, schronieniem przed tym, co nieznane a więc pewnie złe. W szkole uczono nas, że poza Miastem rozciąga się kraina złośliwych demonów, zawsze pogrążona w mroku, w którym rozbrzmiewają głosy doprowadzające człowieka do obłędu i śmierci w okrutnych mękach. Opowiadano o tych śmiałkach, którzy w czasie pierwszego powstania postanowili opuścić Miasto. Znaleziono ich potem na Przedmieściach. Podobno w głowie mieli duże otwory w kształcie rombu, przez które wyjęto im



Tomasz Młynarczyk

mózgi. Mój nauczyciel twierdził, że zrobili to sobie sami pod wpływem na-głego strachu i szaleństwa. Nie miałem wtedy powodu, aby mu nie wierzyć. Moje dobre samopoczucie skończyło się, gdy miałem 14 lat. W tym czasie intere-sowałem się już literaturą. Czytałem dużo. Każda książka była inspiracją do sięgnięcia po następną; tematy, motywy i mity rozbiegały się w zastraszającym tempie we wszystkich kierunkach. Było więc nieuniknione, że wreszcie przyjdzie czas na książki, które krytykują pewne idee Miasta, stawiają wiele znaków zapy-tania tam, gdzie Miasto nie ma żadnych wątpliwości albo wręcz – oczywiście przez pryzmat zawitych aluzji i metafor – nazywają Miasto obozem koncentra-cyjnym i wzywają do ucieczki. Niestety nie udało mi się przeczytać tych naj-bardziej heretyckich dzieł. Nie można ich było nigdzie kupić. Od dawna żadne wydawnictwo nie ośmieliło się ich wy-dać, choć przecież oficjalnie Miasto jest ostoją demokracji i liberalizmu. Książki te są co prawda w posiadaniu biblioteki, figurują w katalogach, ale gdy wielo-krotnie chciałem wypożyczyć którąś z nich, miła i uśmiechnięta bibliotekarka mówiła mi: niestety, ktoś wypożyczył, przyjdź w przyszłym tygodniu.

W tym właśnie czasie odbyłem pierwszą wyprawę na Przedmieścia. Było ciepłe popołudnie. Siedziałem długo zanim wydo-stałem się z Centrum. Wszedłem na most nad starą linią kolejową, która kiedyś prowadziła coś dokądś. Po zejściu z mostu poczułem, że jestem na Przedmieściach. Nigdy wcześniej tam nie byłem, więc nie wiem skąd przyszło mi do głowy, że to już Przedmieścia. Centrum jest bardzo rozległe, zaś jego przechodzenie w Przedmieścia jest, można by rzec, delikatne, eteryczne. Trzeba być wytrawnym obserwatorem zjawisk zachodzących na zewnątrz i w samym sobie, aby zorientować się, gdzie kończy się Centrum a zaczynają Przedmie-scia. Wtedy jednak poczułem intuicyjną pewność, że wreszcie tam dotarłem. W tra-kanie następnych wędrówek zauważyłem, że za każdym razem Centrum kończy się nieco wcześniej. Wibracje Przedmieść były odczuwalne przeze mnie w miejscach, które kiedyś uważałem za Centrum, choć



📷 Tomasz Młynarczyk

różnice nie przekraczały kilku metrów. Po kilku tygodniach cały most nad torami należał już do Przedmieść.

Podczas pierwszej wyprawy zauważyłem, że Przedmieścia dziwnie na mnie wpływają. Idąc pośród tych starych majestatycznych domostw, czułem jakieś tchnienie niewidzialnej otchłani, jakiś powiew tajemnicy, który swym chłodem zdawał się docierać do nieznanych zakątków mojej jaźni. Zrozumiałem, że choć Przedmieścia należą do Miasta, to jednak nieoficjalnie stanowią inny świat, żyjący swoim dyskretnym życiem. Niektóre domy wydawały się opuszczone, ale już wtedy domyślałem się, że to tylko taki kamuflaż, żeby zmylić urzędników i szpiegów Miasta. Minąłem kilka wychudzonych postaci, pogrążonych w tak głębokiej zadumie i skupieniu uwagi, że nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Bardzo mi się to spodobało. Im bardziej oddalałem się od Miasta, tym dalej pragnąłem odejść. Jednocześnie jednak pojawił się strach przed jego opuszczeniem, a

potem tęsknota za tym, co tam zostało, za domem, przyjaciółmi, przyzwyczajeniami. Aż wreszcie ogarnęło mnie znużenie, tak, że w końcu musiałem zawrócić i powłócząc nogami udałem się w stronę Centrum.

Gdy raz przekroczy się jakąś granicę, chce się robić to ciągle. Przez następne lata prawie każde popołudnia spędzałem na Przedmieściach. Pod byle pozorem wymykałem się wcześniej z pracy i szedłem za każdym razem dalej. Strefa przedmieść objęła cały most i część ulicy, ale nagle przestała się rozszerzać, jakby napotkała niewidzialny opór. Moje życie coraz bardziej związane było z Przedmieściami. Poznawałem ich mieszkańców, obyczaje, obrzędy. Z niektórymi ludźmi zaczęło mnie nawet łączyć coś na kształt przyjaźni. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że nigdy nie uznają mnie za swego. Chociaż przestawałem być człowiekiem Miasta, to nie stawałem się człowiekiem Przedmieść. Siedząc w cichej knajpce z żalem przyjmowałem ich nieumiejętnie skrywaną niechęć i nieufność, jakiś strach czający się w meandrach luźnej rozmowy. A jednak te dyskusje, wymiany myśli, były dla mnie nieocenionym darem. Dzięki tym wyprawom stawałem się spokojniejszy, bardziej uważny, skupiony. I powoli oswajałem się z myślą, że Przedmieście to tylko przystanek na długiej drodze.

Miasto nie było już schronieniem. Pewnego dnia wracając do Centrum stwierdziłem, że jestem obserwowany. Nie, żadnego nachalnego śledzenia, żadnych ponuraków w płaszczach z postawionymi kołnierzami, tylko fachowa, subtelna obserwacja, umykające błyski światła w ciemności korytarza, szepty niewidzialnych ust, czarne nieoznakowane helikoptery przelatujące niby przypadkiem nad moim domem, a czasem pół twarzy - skośne oko zza węgła. Przeszukiwali też moje mieszkanie. Gdy pewnego razu wracałem z Przedmieść zauważyłem, że srebrny świecznik został przesunięty prawie o trzy milimetry na północ, a w rogu pokoju brak dwunastej linii pajęczyny. Nie zostawili innych śladów i niczego nie zabrali. Podczas następnych wizyt byli ostrożniejsi. Nie stwierdziłem braków w pajęczynie, ani odchyłń przedmiotów. Raz znalazłem

jednak krótki szary włos. Cóż - wszyscy popełniamy błędy. Na początku inwigilacja trochę mnie niepokoiła, potem tylko przeszkadzała aż wreszcie przyzwyczailem się. Zrozumiałem jednak, że zarówno Miasto jak i Przedmieścia, domagają się ode mnie podjęcia wiążącej decyzji. Oczekiwano ode mnie jasnego wyboru. Jeszcze wtedy wydawało mi się, że Miasto, pomimo dyskretnego nadzoru, nadal pozostawiało mi swobodę ruchów. Wiedziałem, że muszę odejść, choć droga przez Przedmieścia jest najeżona trudnościami i nie wiadomo, dokąd prowadzi. Od kilku dni we śnie i na jawie, nie odstępowała mnie wizja trzech ryb w kształcie cyfry „6”, połyskujących w zielonym morzu, i pływających leniwie w różnych kierunkach. Teraz, po wszystkim, zastanawiam się czy ten obraz rzutowany był na moją świadomość przez Miasto czy przez Przedmieścia, czy był symbolem zniewolenia, czy też wolności. Nigdy jednak już się tego nie dowiem. Mali lekarze o płaskich twarzach i nieruchomych, świdrujących oczach, właśnie pochylają się nade mną. Czuje, jak narkotyk wnika do moich żył. Wkrótce rozpocznie się operacja, która usunie z mojego umysłu melancholijny czar Przedmieść, ten intrygujący nastrój dawnej tajemnicy, uznawanej przez Miasto za chorobę psychiczną. Cień nieświadomości ogarnie krainę Przedmieść do czasu, aż znów ktoś ją odnajdzie i przywoła. Zostanie tylko Miasto, żywy, zdyscyplinowany organizm; hałaśliwy rój, w którym każdy osobnik zna dokładnie swój adres i cel. Hipnotyzują mnie te grafitowe oczy

Koniec przekazu.





MAGDALENA TUROW

MY - ISTOTY LUDZKIE

Jak metalowe wióry
w klamrze
biegunów magnetycznych
Miotamy się

my – świat
wolność – Granice
jednostka – Prawo
sumienie – Życie
W drodze do ideału
padamy wiecznie nieudolni
Kłamiemy wciąż
że to celowo
A rzeczywiście umieramy
słabi
grzeszni
niedoskonali
Lecz przedtem
żyjemy długo
w niedoskonałym świecie
i dlatego
JESTEŚMY WSPANIALI!

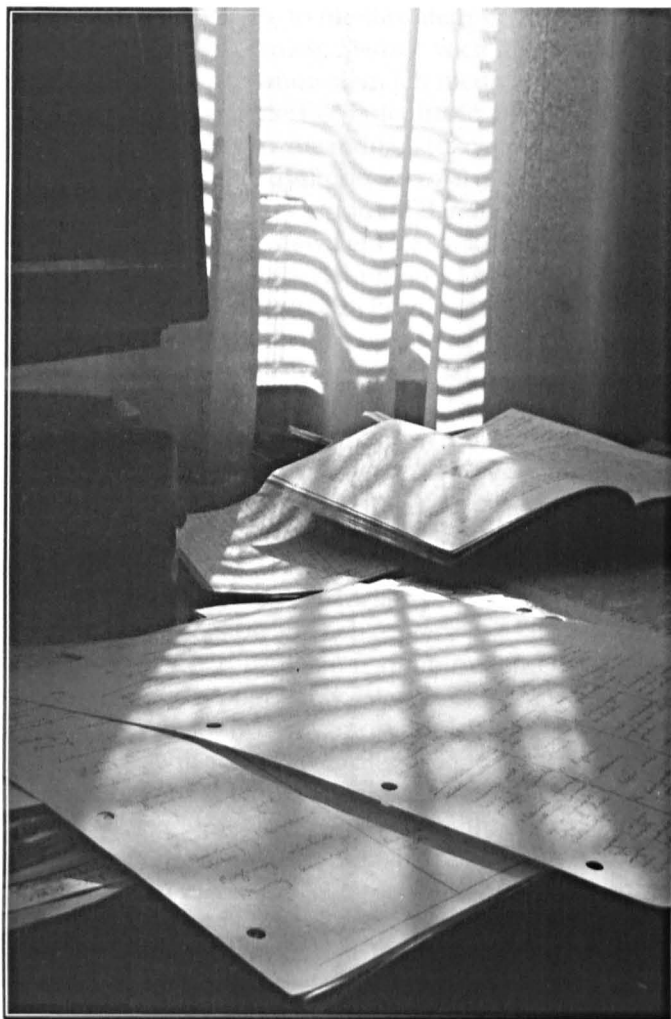
z układu gwiazd
wyczytał ktoś apokalipsę
chcąc uciec od miłości
tej wenecko szekspirowskiej
wybiegł w błękit
nie wróci więcej
zbratał się chodnikiem
pod swoim oknem
a Julia i tak zmarła
z ROZPACZY



ROBERT KONCA

Trudno określić moje dane personalne. Gdyby chciano to zrobić, padłoby wiele nazwisk. Widziano mnie na bezkresnej równinie, chciwie pchającego w zarośnięte sierścią usta surowe, ociekające krwią mięso. Widziano mnie w górskiej grocie, z dzikim spojrzeniem w blasku ognia, kopulującego i jęczącego. Widziano mnie, jak wraz z innymi ciągnę po piasku pustyni wielotonowe głązy. Widziano mnie na ołtarzu – z poderżniętym gardłem; na polu bitwy – z mieczem w jednej ręce i głową wroga w drugiej. Widziano mnie, jak stawiam stopę na Księżycu.

Teraz już spokój. To wszystko nie ma



Robert Majczyzna

WIDMO BROCKENU

najmniejszego znaczenia, jakby się nie zdarzyło. To już nieważne. Bo oto teraz pojawiłem się inaczej. Nie jak aktor, który musi udawać, że żyje, umiera, kocha. Nie jak kukła poddająca się każdemu ruchowi operatora, uwikłana w fikcyjne dramaty. Tym razem pojawiłem się inaczej, bez niczyjej zgody, bez niczyjej wiedzy, bez żadnej ingerencji. Choć może to tylko złudzenie. Może pojawiłem się, jak zwykle, z tym naturalnym przeświadczeniem, że pojawiając się inaczej. Moje imię nie ma znaczenia. Sam go nie znam. Teraz liczy się tylko czas, przestrzeń o wiele mniej. Przestrzeń, którą pokonuję, jest w gruncie rzeczy bardzo ograniczona. Nie mam nic przeciwko temu. Kiedyś podróżowałem, przemierzałem wielkie odległości i nie było mi wcale lepiej. Teraz prowadzę życie osiadłe. Tak, to najlepsze określenie: „prowadzę życie”. Nie żyję, tylko prowadzę, jak prowadzi się powłóczącego nogami pijaka do odległego domu. Mój dom to stara wieża z czerwonej cegły pośród zamglonych gór.

To jest coś w rodzaju dziennika, pisanego bardziej w myślach niż na papierze. Zmuszam umysł, aby notował i utrzymywał najważniejsze spostrzeżenia, bo teraz nie mam już nic oprócz nich. Tak kreslę kontury swojego świata. Nikt tego za mnie nie zrobi. Przeciwnie: zauważam nawet tendencję do zanikania rzeczywistości, do umierania myśli. Nie sądzę, aby ktoś za tym stał. Jest to raczej samobójstwo. Dlatego muszę zbierać wszystkie fakty, najsłabsze impulsy, aby nie pozwolić na zawalenie się tego świata. Jest mi coraz trudniej to robić. Ilość zaistniałych faktów zmniejsza się z każdym dniem, a mi też zaczyna już brakować pomysłów. Coraz wolniej „prowadzę swoje życie”, coraz mniej rzeczy widzą moje oczy, coraz ciszej mówi do mnie świat. Boję się, że znowu ogarnie mnie ten stan dziwnego uśpienia, jak bywało już nie raz... (trwałem, nie wiedząc o tym, gdyż żaden sygnał z zewnątrz nie docierał do moich zmysłów...

trwałem jak kamień, pod któ-rego skorupą mózg zdobywał się na jeszcze jeden wysilek – mozolnie, cegła po cegle, wiersz po wierszu, budował kolejną wieżę, aby znowu dać mi szansę).

Krajobraz tutaj był kiedyś urozmaicony: wodospady, głębokie wąwozy, bujna roślinność. W jaskiniach przy zbawiennym ogniu powstawały cudowne mitologie. Kojącą obecność Bogini czuło się wszędzie – w wodzie, w powietrzu i w lesie. Już teraz nie pamiętam, kiedy nastąpiła zła przemiana. Zapewne był to proces stopniowy, przez wieki i tysiąclecia dyskretnie niszczył nasze umysły. W końcu pozostało tylko uczucie zdziwienia, strachu i niemożność utożsamienia się z kimkolwiek i czymkolwiek. Wcześniej doskonale porozumiewaliśmy się bez słów, a potem najpiękniejsze, najbardziej pojemne języki świata nie pozwalały nam poznać siebie nawzajem. Wydawało nam się, że budujemy wspólną cywilizację, rozwijamy swoją inteligencję, ale to nasze chore umysły tworzyły taką iluzję. Cywilizacja, a zwłaszcza pieniądze sprawiły, że nasza praca stała się niewolnicza. A później była już tylko pogoń za pieniędzmi i tak zwaną „dobrą pracą”, jakby ze strachu przed wolnością. Narastanie agresji, zanikanie miłości.

Nie pamiętam, kiedy zbudowałem pierwszą wieżę, ani ile ich było do tej pory. Żyłem wielokrotnie w ponurych wieżach, jak ta teraz, nie robiąc właściwie nic oprócz utrzymywania się przy życiu i pielęgnowania pewnych idei, które – jak myślę – zatrwały mój umysł w znacznie mniejszym stopniu niż „racjonalne” wartości cywilizacyjne. Nie wiem, czy ta cywilizacja nadal trwa. Nic mnie to nie obchodzi. Być może pod moimi nogami pędzą teraz jak szalone wagoniki podziemnej kolejki, wioząc tych biedaków do ich biur i przedsięwzięć. To już nie moja sprawa. Gdy o nich myślę, budzi się we mnie jedynie współczucie, nic więcej. Mogliby mnie zamknąć jako niebezpiecznego szaleńca i poddać torturom, a ja pewnie bym tego nawet nie zauważył.

Takie są zalety wieży. Coraz bardziej natomiast dokucza mi samotność. Być może, jak

wiele innych zjawisk, jest tylko iluzją zaprojektowaną przez mój umysł. Nie jest wykluczone, że ktoś tu ze mną mieszka, przez cały czas jest bardzo blisko, a ja nie potrafię go zobaczyć i pokochać. W każdym razie czuję się samotny, a to zniechęca mnie do walki z zanikającym światem. Nie podnoszę z ziemi cegieł, które coraz częściej odpadają z mojej wieży, nie wkładam ich z powrotem na miejsce...

Więc to musiało się w końcu wydarzyć: pojawiła się, pośród chaosu myśli, które nie dotyczyły niczego konkretnego. Pojawiła się tylko na moment, bez barwy, bez kształtu, bez wymiaru. Pojawiła się tylko oddechem, który niósł ze sobą jakiś ciepły zapach, a może nawet więcej niż zapach... Może prawie smak jej ust i dobrej szminki.

Kolejny dzień – jeżeli moje poczucie czasu jest prawidłowe i nie nastąpiły w nim jakieś odkształcenia czy przesunięcia. Jeżeli bowiem przestrzeń i materia ulegają zniszczeniu, tworząc się w nich wyrwy i czarne dziury, musi mieć to wpływ również na czas. Także czas może się rozpadać, niektóre godziny nie kończą się, a inne w ogóle nie zaczynają.

Zaraz po przebudzeniu idę narąbać drzewa na opał, bo z każdym dniem robi się coraz zimniej. Słońce zdaje się wysyłać swoją energię z coraz większym trudem. Właściwie siekiera nie jest mi potrzebna, gdyż wiele drzew rozpada się, a suche gałęzie leżą na ziemi przez kilka dni, zanim znikną zupełnie. Ciepło, które dają, jest coraz bardziej rozrzedzone i coraz szybciej rozprasza się w zimnym kosmosie. Zebrane gałęzie wiążę sznurem i dźwigam do wieży. Wnoszę je na górę, do mojego ulubionego pokoju, gdzie najchętniej spędzam wieczory. Jest tam stary, wielki piec kaflowy, w którym rozpalam ogień przed zachodem słońca i przy którym siedzę rozmyślając, czytając lub zapominając powoli o wszystkim. Miałem tu kiedyś obszerną bibliotekę. Dzisiaj została z niej może dziesiąta część, ale i tak jest jeszcze wiele do przeczytania. Rzucam drewno za piec martwiąc się, że moje zasoby węgla są już minimalne. Za kilka dni zostanie tylko drewno, aż wreszcie i ono się skończy. Jak będzie zimno,

będę musiał przenieść się na parter, tam tak nie wieje. Nie lubię parteru, to prawie grób. Ale powoli staje się to dla mnie obojętne. Wrzucam do pieca trochę węgla, drewna i kawałek papieru. Podpalam, udaje mi się dopiero za trzecim razem. Czwarty raz chyba bym już nie podpalał. Jak to szybko postępuje: jeszcze parę dni temu, dzisiaj rano nawet, ogień był dla mnie bardzo ważny. Jego rozpalanie zawsze sprawiało mi radość, a teraz rezygnowałbym po trzech przyłożeniach zapalniczki. Ale jednak się pali. Siadam na krześle zmęczony, chociaż dzisiejszy dzień nie wymagał ode mnie większego wysiłku. Patrę w okno, zachodzi słońce. Jaki krótki ten dzień... Widzę czubki drzew chwiejące się pod naporem wiatru. Nie chce mi się czytać. Jest ze mną coraz gorzej. Aby poprawić sobie humor, mówię do siebie: Napisz wiersz... Zapalam lampę naftową i – śmiejąc się cicho – piszę:

napisz wiersz
napiszę
o głosie którego nie słysząc
o głosie za którym szedłem
po kamieniach przez popiół
zawsze nocą

wśród gór na skałach
śliskich od ektoplazmy
szukałem śladów
twojej obecności

nie prowadziło mnie światło
więc zamknąłem oczy
aby ujrzeć że jesteś wszędzie
tylko nie w mojej zewnętrznej iluzji

Wystarczy. Próbuje myśleć o rzeczach praktycznych, o węglu, o drewnie, o piecu, o najlepszych sposobach rozpalania ognia, ale nawet ta prosta, codzienna czynność przypomina mi o tym, że wszystko zanika. Świat popelnia samobójstwo i mnie też ciągnie za sobą. A może jest odwrotnie? Za oknem jest już ciemno. Od czasu do czasu słyszę gdzieś w dole głucho uderzenia: to cegły odpadają od ścian i rozbijają się na kamieniach u stóp mojej wieży. Lampa naftowa świeci coraz słabiej. Nawet wiatr ustał zupełnie. Sądzę, że to stanie się już niedługo, dziś w nocy albo jutro. Samo-

bójstwo. Zostaną tylko szczątki mózgu w kamieniu, samotny kwant energii; wystarczy, aby przez lata zbudować kolejną wieżę. I tak bez przerwy. To stanie się już niedługo, najdalej jutro. Już z tym nie walczyć – destrukcja nastąpi bez mojego wyraźnego sprzeciwu.

Dzisiaj obudziłem się z bólem głowy. Żle spałem. Budziłem się co chwila, tak jakby wielość myśli i skojarzeń nie pozwalała nerwom i ciału odpoczywać dłużej niż kilka minut. Większość tych nocnych myśli nie dotyczyła niczego konkretnego. Być może ich zadaniem było wypróbować moje siły przed ostatecznym atakiem. Kiedy zaciskałem mocno powieki, aby zmusić się do spania, w mojej wyobraźni pojawiała się kolorowa mozaika, jakby wykonany z geometrycznych elementów szyfr, którego przesłania nie umiałem jednak zrozumieć. Mimo zmęczenia schodzę na dół do piwnicy po żywność. Powraca mi apetyt. Na moment rodzi się we mnie nadzieja, że może to jeszcze nie koniec, może jeszcze nie tym razem. Nadzieja znika, gdy wchodzę do piwnicy i widzę, ile żywności ubyło w niewiadomy sposób, zaś w jednym z kątów zieje bezdenna szczelina, jakby rozstąpiła się ziemia. W ścianach również zauważam poważne braki. Wracam na górę i jem. Jedząc dostrzegam w dali za oknem jakieś niewyraźne kształty. Już do końca posiłku nie odrywam wzroku od tego zjawiska. Potem idę na taras. Mam tam zainstalowaną dobrą lunetę, chyba jest jeszcze cała. Jestem ciekawy, czy to tylko halucynacja naszkicowana przez moje wyczerpane neurony, czy też prawdziwy obiekt. Myślę, że soczewki lunety nie są zależne od mojego mózgu i rozwieją moje wątpliwości. Luneta zdaje się potwierdzać istnienie obiektu. Po uregulowaniu ostrości widzę wyraźne kształty wieży. Jest to wieża z czerwonej cegły, tak jak moja, i chyba podobnej wielkości. Patrę długo, chwilami kształty rozmywają się (nie wiem, czy to wina mojego wzroku, łez, czy też może wina podlegającej powolnemu rozkładowi lunety, albo zjawisk atmosferycznych), aby ponownie odzyskać niepokojącą wyrazistość. Gdy na chwilę prostuję się znad lunety, odkrywam, że teraz dobrze widzieć



Kamil Bukowski

wieżę nawet gołym okiem. Oczywiście nie widać żadnych szczegółów, ale można się zorientować, że to wieża. Ponownie pochylałam się nad lunetą. Uważnie obserwuję każdy widoczny z mojej strony zakątek wieży, powoli przesuwam lunetę, aby nie przeoczyć obecności tej, o której zacząłem już myśleć i marzyć; tej, której pragnę, nie znając jej jeszcze, nie wiedząc nawet, czy istnieje. Po godzinie wnikliwych obserwacji jestem natomiast pewien, że „nowa” wieża jest dokładnie taka sama jak moja. Są być może minimalne różnice w wielkości, których z tej odległości nie mogę dobrze ocenić. Zdumiony dostrzegam, że w pokoju na górze tamtej wieży uchylone jest największe okno, to samo, co i u mnie; wygląda też na to, że uchylone jest w tym samym stopniu. Na tarasie zauważam mały, okrągły przedmiot, od którego odbijają się promienie słońca. Nie zdziwiłbym się, gdyby to była luneta. Daję odpocząć zmęczonym oczom, a potem znowu patrzę. Odnoszę wrażenie, że im dłużej patrzę, tym wyraźniej widać wieżę, pojawiają się nowe szczegóły. Tak, teraz dostrzegam czarny

okap, taki sam jak u mnie, chroniący lunetę przed deszczem lub atakiem tych dziwnych ptaków, które ostatnio pojawiły się w tej okolicy. Jeżeli ktoś obserwuje mnie przez lunetę, to musi, tak jak ja teraz, stać schylony za tym okapem, dlatego nie mogę go zobaczyć. Przerywam obserwację dopiero późnym popołudniem, gdy chłód przypomina mi o potrzebie rozpalenia ognia w piecu. Kiedy już zapłonął wreszcie ogień, jest prawie noc. Zapalam lampę naftową. Znajduję wielką encyklopedię i siedząc na krześle czytam o aberracjach optycznych, a potem o halucynacjach. Od czasu do czasu podnoszę głowę znad lektury i zamyślony spoglądam przez okno na nikły blask pośród nocy: płomień lampy naftowej w pokoju na górze odległej, identycznej wieży. Czym jest to, co widzę? Niestety, wszystko wskazuje na to, że jest to jedynie lustrzane odbicie mojej wieży. Operator dowiedział się w końcu o mnie i umieścił w oddali olbrzymie lustro, aby odbijało moją rozpadającą się rzeczywistość, aby powtarzało to powszechne samobójstwo i podkreślało złośliwie moją

samotność. Moja budząca się miłość jest więc ośmieszona w okrutny sposób. Ale jeszcze się nie poddaje. Nagle przychodzi mi do głowy pewien prosty pomysł.

Natychmiast pochylam się nad moją lampą i gaszę ją. Potem patrzę przez okno. Tam, w głębi nocy, nikły płomień pali się nieustannie. A więc nie ma lustra. Są dwie wieże. Są dwie osoby. Jedna zgasła swoją lampę, druga nie. Druga wieża istnieje i ktoś w niej mieszka. Mam nadzieję, że to nie jestem ja.

Dzisiaj obudziłem się wcześniej, prawie ze słońcem. Schodzę na dół. Okazuje się, że żywność zniknęła. Postanawiam więc nie jeść. To nie będzie trudne, bowiem przez wiele minionych dni jadłem mało, coraz mniej. Zauważyłem też, że głód rozszerza percepcję. Nie ma nic gorszego od tego uczucia nasycenia i błogości po obfitym obiedzie. Umysł wtedy drzemie zadowolony, nie różniąc się niczym od umysłu krowy czy owcy. Mamy poczucie bezpieczeństwa, gdy tymczasem demony kręcą się wokół skroni, a potem wnikają do wewnątrz, aby się pożywić. Kiedy brakuje jedzenia i innych podstawowych środków do życia ciała, wtedy budzi się duch. Kiedy zaczyna brakować światła i miłości, duch zwraca się w stronę ciemności. Przemierza ją w skupieniu, całe lata świetlne złowieszczonego mroku, dalej niż stąd do gwiazd gwiazdozbioru Raka czy Ryb. To podróż niemalże bez końca, w czarnej przestrzeni bez punktu odniesienia, gdzie sterem jest najbardziej tajemnicze tchnienie intuicji. Aż nadchodzi chwila, gdy objawia się pierwsza iskra ze świętego ognia...

Wychodzę na taras. Patrzę na odległą wieżę przez lunetę. Nie widać nikogo. Potem chodzę po tarasie. Muszę uważać na szczeliny i pęknięcia, które stają się coraz głębsze w wyniku postępującej destrukcji. Co chwila słyszę odgłosy spadających cegieł i walących się drzew. Kiedy się skupię, słyszę szelest rozstępującej się ziemi i syk powietrza, które ucieka do innego świata przez mikroskopijne szczeliny graniczne. Zastanawiam się, dlaczego wieża i cała reszta nie runęły jeszcze. Siła czyjej woli utrzymuje to wszystko ciągle na powierzchni? Znowu patrzę przez lunetę. Widzę postać siedzącą na tarasie. Chyba czyta książkę. W każdym razie siedzi i trzyma w

rękach jakiś przedmiot, który zasłania jej twarz. Chciałbym do niej jakoś dotrzeć, porozumieć się z nią. Siadam na krześle analizując bodźce odbierane przez mój zmysł dotyku. Na stopach czuję dotyk podłogi, na twarzy dotyk powietrza, równie twardy i obojętny jak podłoga. Plecy obejmuje mi drewno oparcia krzesła. Czuję je tak, jak czuje się na plecach uderzenia dziobu drapieżnego ptaka. I to wszystko. Mój zmysł dotyku wkrótce zaniknie, jeżeli ona nie przytuli się do mnie, nie dotknie miętko mojej twarzy.

Czyta gdzieś do południa. Potem odkłada książkę i spaceruje po swoim tarasie. Sposób chodzenia oraz delikatny profil utwierdzają mnie w przekonaniu, że jest kobietą. Czasami zatrzymuje się i patrzy gdzieś w dal, raz czy dwa także w moim kierunku. Nic jednak nie wskazuje na to, aby dostrzegała moją wieżę. Tak samo patrzy wiele razy w bok, w pustą, białą odległość. A może po prostu nie przywiązuje większej wagi do mojej wieży, może moje istnienie jest jej zupełnie obojętne. Jak zaaranżować nasze spotkanie w tym ascetycznym i przepadającym świetle? To jest miłość bez obecności osoby kochanej, bez znajomości jej. Ona jest bardzo daleko, w innym świecie, którego odbicie przypadkowo dryfuje równoległe do mojego. Znam jedynie kształt jej postaci, a mimo to mój umysł i moje ciało szukają do niej dróg. Schodzę na dół i usiłuję iść w kierunku jej wieży, z ziemi zresztą niewidocznej, ale po około stu krokach głębokie rozpadliny stają się nie do przebycia. Zawracam w pośpiechu obawiając się, że ciągle zapadająca się ziemia odetnie mi powrót do mojej wieży. Będę musiał znaleźć inny sposób spotkania się z nią. Znowu wychodzę na taras. Patrzę na nią przez lunetę. Stoi oparta o balustradę swego tarasu i spogląda w moim kierunku, obojętnie, a może nawet z pewną melancholią, jakby patrzyła na białego żaglowiec na morskim horyzoncie. To dziwne – widzę dokładnie układ wzorów na jej sukience, a nie mogę dostrzec rysów jej twarzy. Chciałbym być przy niej, tulić się do niej i bronić ją przed nieznanymi wrogami. Napływają chmury i widoczność trochę się

pogarsza. Podnosząc wzrok znad szkieł zdumiony zauważam ją na niebie. Zauważam ją na niebie : pośród mgieł i chmur wolno kołysze się jej olbrzymi cień otoczony delikatną poświatą. Oto blask godny wielkości jej serca ! Zdaje się, że z dali dobiega moich uszu muzyka skrzypiec. Teraz jej cień obraca się. Widzę subtelny zarys piersi, zarys warg, które usiłują coś szeptać, aż wreszcie rękę, gdzieś ponad chmurą cień dłoni, która wydaje się przywoływać albo żegnać...

Już czas opuścić to ciało, zostawić tę wieżę zamieniającą się w ruinę wraz z moim umysłem. Ich możliwości zostały wyczerpane. Jest ciemno. Z trudem zwlekam się z podłogi tarasu. Moja głowa, choć wypełniona bolesnym szumem, wydaje się bardzo lekka. Wewnątrz ruszają taśmy pamięci. Pamiętam szum lasów wokół góry Brocken. To tam pierwszy raz ujrzałem na niebie cień swojej nieodłącznej przyjaciółki. Mimo, że Widmo Brockenu swoją moc i splendor czerpie z osoby obserwatora, a obserwatorem byłem ja, to jednak na niebie widziałem Jej postać. Prawdopodobnie cały czas była tuż obok mnie, a może nawet we mnie. Może była mną, a to, co myślało, że jest mną, było tylko tym kapryśnym widmem pośród chmur i błyskawic. Poznałem Ją wiele wcieleń temu. Przypominam sobie rozmowy, nieśmiałe dotknięcia, sny o jej pocałunkach i spełnienie się snów, długie spacer, jakiś most z metalu, jej i moje łyzy... wyzbywanie się zazdrości. Kimkolwiek była, jest i będzie – moje uczucie jest niezależnie od przemijania czasu i destrukcji przestrzeni. Gdy przypominam sobie tamte odległe dni, kiedy zdawało mi się, że ta miłość jest najważniejszym aspektem mojego istnienia, że dla niej mógłbym zrobić wszystko, uśmiecham się w duchu. Nie mogłem zrobić nic. Bombardowany przez fałszywe wrażenia, pełen gnijących znaczeń, nie miałem pojęcia, czym jest miłość. Były tylko chwile olśnienia, zwykle, gdy Ona była blisko, gdy mówiła do mnie. Chwile, gdy w jakimś cudownym transie nie zauważałem nikogo oprócz Niej, gdy materia i czas były posłuszne Jej woli, a ja

nie byłem potrzebny samemu sobie. Gdy Ją dotykałem, miałem wrażenie, że oboje uczestniczymy w jakimś ezoterycznym rytuale. Jej oczy były jak świetliste tunele prowadzące do innych wszechświatów. W końcu uległem złudzeniu, że Ją straciłem. Teraz wiem, że jest przy mnie blisko i nigdy mnie nie opuściła. Moje imiona są bez znaczenia. Widziano mnie w wielu miejscach, w wielu wieżach budowanych przeze mnie z pojęć i halucynacji, które izolowały mnie od prawdziwego życia: od miłości. Tylko to uczucie zostaje, przenika serca i umysły wszystkich istot, podnosi je z najgłębszych i najpodlejszych upadków, budzi je do życia z tego dusznego letargu, w którym ja jestem pogrążony już od tak dawna. Czyniłem wiele zła, jeszcze więcej głupstw, a tak niewiele dobrych rzeczy. I tym razem mi się nie uda, ale jestem już blisko. Jak w narkotycznym śnie przechodzę taras chcąc wejść do pokoju, jednak klamka drzwi nie reaguje na mój dotyk. Rozglądam się wokół. Jest noc, ale nie jest zupełnie ciemno. W tym, co widzę, zachodzą ciągle zmiany. Właściwie nie jest ciemno, ale szaro. Materia zdaje się znikać na chwilę, by znowu się pojawić, jednak za każdym razem mniej wyraziście. Już od dawna podejrzewałem, że ta rzeczywistość nie istnieje w takiej formie, w jakiej ja ją postrzegam; że może jest tylko umownym układem halucynacji albo odbiciem prawdziwego świata zniekształconym przez moje zmysły. Ta śmierć też jest umowna, nie dzieje się naprawdę. To tylko senna wędrówka od jednej substancji do drugiej. Kładę się na krawędzi tarasu i patrzę w rozpuszczające się niebo. W następnej wieży, mam nadzieję, że będzie bardzo krucha i przezroczysta, opowiem komuś tę historię. Jeszcze ostatnia myśl – wspomnienie wspólnej obecności – rozprasza się w kosmosie umysłu. Zmysły powoli gasną; lęk i ból gubią się w pustce.

Do zobaczenia, Kochanie.







BEATA BEREZA

W niebieskiej koszuli. I w czapce z daszkiem. Z torbą jabłek. Wałęsał się. Od pół godziny. Wcale mu tych jabłek nie ubywało, tylko mu ciążyły. Soczyste. Ligole.

Po kolejnej pół godzinie był już na stacji, gdzie odprawiano pociągi Donikąd. Zawsze marzył, żeby się na taki załapać. Żeby zniknąć, będąc. Bo przecież gdzieś by był. Ale nieuchwytny, nie pod komórką, nie pod domofonem, nie pod pocztą. Taki po prostu, bez przeszłości. Wolny jak nogi w trampkach bez skarpetek. Jego gołe golenie odstręczały bladeścią. Ostry świst gwizdka zawiadowcy wyrwał go z letargicznego zamyślenia. Rozejrzał się. Ale po peronach tańczył tylko wiatr, przewracając zardzewiałą puszkę po turystycznej. – Może kiedyś - jakiś turysta niechybnie - wyrzucił ją przez okno pociągu jadącego Donikąd – pomyślał z rozrzwinięciem.

Pluł pestkami. Bo zawsze zjadał jabłko z ogryzkiem włącznie. Ale pestki wypluwał. Bał się, że mu zakiełkują w żołądku. Już o dwa. Lżej, jeszcze osiem. Żeby tak spotkać kogoś, kto by miał ochotę na jabłko, szybciej by się z tym uporał. A tak, ani pociągu, ani turysty z aparatem, ani nawet bagażu podręcznego, czy chociaż gwizdka świstu. Tamten musiał mu się przesłyszeć. Przecież

W DRODZE DONIKĄD

tu nikogo nie ma. Nawet namiastki. A czy kupił bilet?

Przyłożył ucho do torów, aby się przekonać, czy jest sens wydawać resztę forsy przeznaczonej na jabłka. CZY COŚ TĘDY W OGÓLE PRZEJEŻDŻA? Na zmianę to podskakiwał z radości, gdy szelest wiatru w liściach pobliskiej topoli wydawał mu się odgłosem nadjeżdżającego pociągu, to znowu opadały mu na ramiona uszy, gdy uświadamiał sobie pomyłkę. Zdezorientowany usiadł na szynie. Lewej. Nie, prawej. Dobrze, później to ustalimy. Teraz jest do rozwiązania palący problem egzystencjalny.

Jak mu pomóc? Powiedzieć w końcu maszyniście, aby przestał stroić sobie żarty z nieszczęśnika, obudził z drzemki palacza, uruchomił maszynę i wy dostał ją zza zakrętu, za którym czyha, czatuje na duszę zgubioną, zagubioną, udręczoną? Posłać anielicę w przebraniu dziewczyny lub dziewczynę w przebraniu anielicy, która jabłkami nie gardzi, a nawet uwielbia ligole? Proszę bilety do kontroli.

- Zaraz, a dokąd ten pociąg jedzie? – Co, pasażer na gapę? Takich my tu znamy. Udają, że się wczoraj obudzili, że nic nie wiedzą, nie

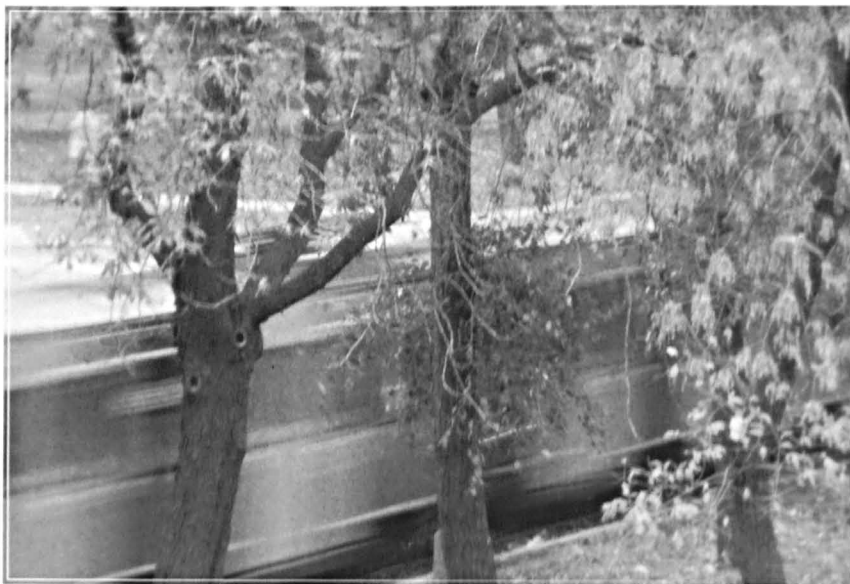
słyszeli. To po coś przychodził na peron? Odkryć tajemnicę? Kamień filozoficzny? Każdy by to chciał. Przerost marzeń nad treścią. To jaką formę mandatu wybierasz?

- Ale ja chciałem kupić bilet.

Chciałem jechać Donikąd.

- Donikąd? A gdzie to jest?

- Myślałem, że pan mi powie.





KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

NAŚMIERCINY

Po posiłku, kiedy wszystko jest już na talerzach, matka bierze je do kuchni, by po pewnym czasie wstawić do lodówki - obiad porozdzielany na różne części składowe. Dalsze losy posiłku wyglądają tak: Mija parę dni i matka wyciąga to wszystko z lodówki, pakuje do toreb i idą z ojcem odnieść je do supermarketu. Gdy wracają w portfelu jest dużo nowych pieniędzy. Jedyną wadą obiadów jest to, że zazwyczaj potem przez pewien czas człowiek jest głodny...

Dzieciństwo to koszmar. Człowiek się kurczy, traci rozum. Coraz więcej czasu poświęca na beztroskie, idiotyczne zabawy w rodzaju dekonstruowania budowli z klocków lub zamku w piaskownicy. Z czasem dramatycznie maleje zasób używanych słów. Później zaczynasz wydawać jakieś dziwaczne dźwięki i już nawet wysrać się sam nie

potrafisz. To objawy niemowlęstwa, wtedy to nikniesz w oczach i nawet nie masz już zbyt wiele świadomości. Ma to jednak, paradoksalnie swoje plusy - w tym fakt, że nie zdajesz sobie sprawy ze zbliżających się wielkimi krokami odrodzin. A to przecież kres twojej drogi na tym łożu padole. Kres polega na tym, że gdy jesteś już tak głupi jak miska z budyniem malinowym to trafiasz z rodzicielką do szpitala i tam jej organizm cię wchłania. Potem носи w brzuchu przez 9 miesięcy, aż kompletnie przestaniesz istnieć, ale wtedy jest tobie to już obojętne - nie istniejesz.

Wracając do mego życia. Mam teraz 78 lat. Za trzy lata nastąpią naśmierciny Anny - ukochanej żony. W tej chwili moje wspomnienia o niej już troszkę wyblakły i pożółkły w odmętach czasu, ale wiem, że rozbłyszczą



pełnią barw i wyrazistości z momentem jej naśmiercin.

Zanim dojdzie do aktu naśmiercin i zstąpi dusza, ciało musi dojrzeć w cielsku matki ziemi. Z prochu tworzy się szkielet, który potem obudowuje się trzewiami i mięśniami, a te z kolei obrastają naskórkiem. Kilka dni przed naśmiercinami ciało jest zimne i blade. Wydobywamy je wtedy z ziemi w miejscu zwanym cmentarzem. Wraz z upływem czasu w ciało wnika dusza i zaczyna się nowe życie.

Gdy naśmierciła się żona, czułem jakby mi ktoś w głowie przestawił jakiś przełącznik, uruchamiając inny sposób postrzegania rzeczywistości. Koniec samotności. Teraz ona była częścią mego życia. Poczułem głęboką przyjaźń i więź; jakby była częścią mnie samego. Momentalnie uświadomiłem sobie te wszystkie nasze dole i niedole, przez które jakoś przebrniemy. Za 54 lata czeka nas płomienny, pełen namiętności romans, który będzie poprzedzał... jej zniknięcie z mojego życia. To straszne, że kiedyś muszę ją stracić. Pewnego dnia zniknie z mej świadomości fakt, że w ogóle istniała. To jest tak przygnębiające, że aż ciężko wyrazić słowami; niestety każdemu to przeznaczone.

Niedługo naśmiercą się moi rodzice, zaledwie

kilka lat po naśmiercinach żony. Ich dusze zstąpią do ciał w momencie potężnego karambolu. To oni będą towarzyszyli mi kiedyś w mych ostatnich chwilach.

Zabawne jak to ludzkość głupieje. Coś jest, a później tego nie ma. Ludzie korzystają z wynalazków a potem te znikają - zapomnieli o nich naukowcy. I tak cofamy się w rozwoju w niewytłumaczalny sposób - i jest to naturalne. Nasza cywilizacja marnieje w oczach. Nie wiem, co było przed moimi naśmiercinami. Niestety tak już jest, że z każdą chwilą umyka nam to, co działało się przed chwilą. Tracimy to bezpowrotnie. Domyślam się, że na pewno jako ludzkość byliśmy bardziej rozwinięci. Z nauk, które zaznam w młodości w różnych szkołach dowiem się, że cywilizacja powoli chyli się ku upadkowi. Czekają nas dwie okrutne wojny światowe. Znikną komputery, telewizory i auta. Skończymy jako dzikie małpoludy z maczugami, ale... ale to już nie jest mój problem. Mam przed sobą 78 lat nudnego przewidywalnego życia i kilka chwil radości. To na nie będę czekał z utęsknieniem nim nadejdzie kres mych dni...



IZABELA FILIPEK

Kolejny raz Weronika
zdejmie pot z twarzy
Chrystusa
Znów drzeć będą kolana
niewiast którym cierpienie
zegn timer plecy
Jeszcze raz bolesny upadek
i rana i korona
ciągle od nowa
cierpki smak zmartwychwstania



ARTUR JUDKOWIAK

MINIATURY

KOZIRYNEK I/2007

PROFESOR

Przeziąknięte wilgocią ubranie zdawało się kleić do ciała. Jan z wysiłkiem podnosił nogę za nogą wkraczając na kolejne piętra. Po raz trzeci przełożył torbę do drugiej ręki, jakby chciał oszukać samego siebie wma- wiając sobie, że nic nie niesie. Pomiędzy trzecim a czwartym piętrem zachwiał się i niebezpiecznie zawisnął na poręczy. Ta przejęła jego ciężar amortyzując upadek. Podjął starania, by stanąć na równe nogi.

Kolejne minuty, kolejne stopnie. Wreszcie doszedł do upragnionych drzwi, tak starych jak on sam. Ogromne, lite, zimne drewno wydawało się czekać na sędziwego profesora. Mosiężny klucz z chrzęstem przekręcił zamek. Drzwi otworzyły się wypełniwszy holl skrzypieniem. Starzec przekroczył próg powitany zapachem stęchlizny.

W korytarzu wyłożonym ciemnobrązowym chodnikiem stała mahoniowa komoda. Jan położył na niej rękawiczki i filcowy kapelusz. Zarzucił płaszcz na trójnogim wieszaku. Swoim zwyczajem skierował kroki do kuchni.

Napełnił wodą okopcony czajniczek. Syk zapalnego gazu jednocześnie przerwał ciszę wtórując skrzeczeniu zielonej papużki. Profesor zalał porcelanowy kubek z trzema łyżeczkami świeżo zmielonej kawy. W kredensie nie uświadczylbyś nawet odrobiny cukru, Jan pił jak zwykle czarną, mocną, gorzką kawę. Aromat wypełnił gabinet, do którego wszedł włokąc za sobą zmęczony cień.

Ciało starca wkomponowało się w przestronny skórzany fotel. Przed nim, na biurku, leżał stos książek. Posunął stertę i wyjął z teczeki duży brulion. Zegar ze złotym waha- dłem wybijał właśnie szesnastą. Z bocznej kieszeni wydobyl fajkę oprawioną w kość słoniową. Nabił ją portugalskim tytoniem i po chwili raczył się nieopisaną wonią o lekkiej nutce kamfory.

Za oknem krople deszczu coraz szybciej wy- grywały melodię w zetknięciu z blasza-

nym parapetem.

Spośród książek wyszukał gruby tom i prze- rzuciwszy kilka kartek wczytał się w jego treść. Jednocześnie, jakby odruchowo, za- częł notować coś w brulionie.

Dopiero osiem uderzeń zegara oderwało go od pracy. Zdjął okulary w drucianej oprawie, rozciągając wygodnie stare kości na oparciu fotela i głęboko westchnął.

Wstawszy, podszedł do okna. Na zewnątrz ściana deszczu ograniczała widok. Ciemność ulicy przerywało słabe światło latarni. Pan Jan zasunął ciężką granatową zasłonę. W rogu czekał już na niego przed- wojenny tapczan. Złożył ubranie na krześle i wziął jedną z niedokończonych powieści. Ściągnawszy narzutę wsunął swe chude ciało pod pierzynę.

Kończył właśnie trzynasty rozdział, gdy zgasła lampa nad łóżkiem. Odruchowo pociągnął sznureczek. Nic, jeszcze raz i znów nic. Sam już nie pamiętał, ile lat temu zmieniał w niej żarówkę. Aż dziwne, że wydarzyło się to właśnie teraz. Kątem oka dostrzegł, dzięki uprzejmości ulicznej latarni, że wska- zówki zegara zbliżają się do godziny dziesiątej.

Było już zbyt późno by naprawiać lampkę.

Położył książkę i okulary na nocnym sto- liku. Przynajmniej tak mu się wydawało. Zdaje się, że nawet nie usłyszał już odgłosu stłuczonego szkiełka, gdy okulary spotkały się z podłogą.

Od ponad czterdziestu pięciu lat niezmienny piątkowy wieczór dobiegał końca. I tak na- prawdę nie było by w nim nic niezwy- kłego, gdyby nie fakt, że był to ostatni wieczór profesora Jana Markockiego.





WŁADYSŁAW RYS

SEN

Sen powiadasz, znaczy położyć się po kąpieli na osiem godzin, rano wstać, najpierw tam, gdzie królowie, potem się ogolić, odświeżyć pod prysznicem, wysuszyć w bawełniany ręcznik, po czym jak matuzalem zasiąść do stołu, bo Polak niewyspany jest do niczego, głodny bywa zły, a za tym domownicy nie przepadają, trudno im się dziwić, bo i Polak nie jest z siebie zadowolony, tylko się do tego nie przyznaje, lepiej się wyspać i przekąsić, można nawet coś konkretniejszego, jajecznicę na boczku z trzech jaj, powiedzmy, popić półkwatkiem kawy z mlekiem, nie piwem, broń boże, zwłaszcza gdy się nim raczyłeś wieczorem, może nawet dokumentując przyjaźń czymś konkretniejszym, właściwie to na kolację wystarcza lekki posiłek bezalkoholowy, wtedy sen jest lżejszy i pożyteczniejszy, a bywa, że barwny i przyjemny, nie męczysz się jak po pieczonym bażancie, nielegalnie ustrzelonym, choćbyś sobie wmawiał, że go zupełnie przypadkowo od nieznanego na bazarze za bezcen kupiłeś, podobnie jak butelkę śliwownicy, po której rośnie krzepa, ale sny bywają koszmarnie, snią się intrygi nie do rozwiązania, przypadki zagrożenia dla całości powłoki cielesnej i kompletu kończyn, zbrodnie nawet, ścigane z urzędu, kryminał z niewyżytymi współwziętniami i klawiszami sadystami, z zakazem spacerów, widzeń i jasnowidzeń, choć sny nie tylko

od rodzaju pożywienia, ale też od sposobu prowadzenia się zależą, od sukcesów i niepowodzeń, od tych drugich nawet bardziej, taka przykładowo bessa na giełdzie, czy przejęcie konwoju tirów przez konkurencyjny kartel kryminogenny może twoje sny zasadniczo skomplikować, skrócić, sny w snach uczynić makabrycznymi przerwami na reklamę, spowodować odmówienie przez partnerkę wspólnoty łoża, a w snach z sędziną Wesołowską to nawet wyrok niewinny przyśnić się może i przypadki molestowania twojej kobiety przez mafioso, jego szoferów i ochroniarzy, zresztą niepowodzenia niematerialne także mogą mieć niekorzystny wpływ na jakość snu, wystarczy że Wena na dłużej przysiadzie się do znajomych i nieznajomych z portalu literackiego "twój sukces", nie zamieścisz swego utworu przez tydzień czy dwa, a już jesteś sennym nieudacznikiem, gubisz walizki i segregatory, notatki z warsztatów, a nawet części swej garderoby, nie możesz znaleźć buta do pary, w skarpetach szukasz kluczy, pięt, ba, swojego akademika, drogi się mylą, wydłużają, rosną pod górkę, rozkład jazdy pociągów zupełnie ci nie pasuje, zapada mrok, ulice pustoszeją, szlaki turystyczne wieją pustką i strachem, że jedynym wybawieniem z opresji bywa wybudzenie, choćbyś dopiero przed kwadransem usnął, masz wtedy szansę zasnąć ponownie, w czym zmęczenie lub zrzućenie kołdry niekiedy pomaga, choć różnie bywa, za krótka kołdra może być przyczyną snu nad przeręblą, z bosymi nogami na mokrym łodzie, mormyszką wyrwającą ci rękę w stronę topieli, skąd już tylko kilka kroków do snów w dojrzewalni, tej zadaszanej nisko werandzie, gdzie leżysz na pryczy niczym ser w chłodni, albo surowa cegła, tężejąca w chłodzie, tak i ty, z narzuconą na gołe ciało paletką pościelową, leżysz pogodzony, dosychasz, kruszejesz, a o zmiłowanie już nikogo prosić nie zamierzasz...



Krzysztof Kuzko





ARTUR ROGALSKI

KATEDRA

Z najwyższego wzgórza w środku lasu widać ostre
krawędzie katedry
zaplątane w ślimaki schodów

drewno skrzypi w zmroku letniego wieczoru
a świerkowy zagajnik wyrasta na blaszanym balkonie
obok donicy z żółknącym fikusem
jeszcze można zobaczyć
dotknąć
schwycić
wirujący liść
zanim zamknie się brama
a drzewa zarosną odległe wieże

LIST DO POETY

o północy widać
dzioby drakkarów
na czerwonych horyzontach
śpiącej Europy
chwila zatrzymała się gdy cięte masztami
chmury
przybierają kształty
anioła ognia

łaska niewiedzy spłynęła na ciebie
a przemijanie dalej galopuje
przez granice epok
i szkarłat ciągle napina szpony
aby rozedrzeć niebo

ja też nie chcę wierzyć
że choć wici wzywają do śmierci
to wciąż pasterze przepędzają stada
przez ciasne wąwozy
a trubadur wyśpiewuje pochwały
Heleny Fourment



AGNIESZKA PAŁKA

PIECHOTĄ PO POLIGONIE

Wyszło nas pięciu albo sześciu. Silni młodzi mężczyźni z czternastoletnią duszą na ramieniu. Przygniecieni ciężarem plecaków, menażek, chlebaków i pistoletów na ostre kapiszony.

Miałem na sobie takie szerokie wojskowe spodnie w kolorze brudnej oliwki. Dlatego brudnej, bo prawa nogawka miała ciemne plamy, których mamie nie udało się doprać. Spodnie były duże. Nogawki musiałem podwijać, ale i tak co chwila się potykałem. Ale to nieważne. Byłem bardzo dumny z tych spodni. To były spodnie po starszym bracie. Od miesiąca już mu niepotrzebne. I stąd te plamy. I dlatego byłem z nich dumny. Ciężko być dumnym z nowych spodni, które uszyła ciocia. Ale z takich, które ubrudził starszy brat i które są za duże, można. Był z nami taki Jasiek. On też miał spodnie, z których można być dumnym. Ja przynajmniej byłbym, mimo że to były takie bardziej dziewczynskie spodnie. Miał je po siostrze. Mówił, że ma na imię Marysia. Ale jego spodnie nie były brudne, bo jego siostra została sanitariuszką i teraz nosi spódnice. Podobno wszystkie sanitariuszki noszą spódnice. Chciałbym kiedyś trafić do szpitala do takiej sanitariuszki. One są podobno bardzo miłe. I bardzo ładne. I jak przychodzi do nich taki młody mężczyzna jak ja, to do zastrzyku dają mu cukierka. Ja się igły nie boję, to mógłbym mieć dużo takich cukierków od ładnych i miłych sanitariuszek. Szliśmy do lasu. Na wojnę. Nie wiem, czemu ta wojna jest w lesie. Ale pamiętam, że jak byłem jeszcze mały, to często bawiliśmy się w wojnę z bratem i jego kumplami. Bo teraz już mały nie jestem, chociaż moja mama uważa inaczej. Ale Bolek powiedział, że mamy tak zawsze. I też zazwyczaj bawiliśmy się w krzakach. Albo w lesie. Ale w lesie rzadziej, bo do lasu było daleko. Tylko, że ja zawsze byłem najmłodszy i musiałem ich wszystkich słuchać. I pierwszego mnie zabijali. Ale teraz już nie jestem najmłodszy. I teraz ja będę mógł zabijać, bo mam broń i jestem prawie dorosły. I to już nie będzie w

krzakach, ale w prawdziwym lesie. Takim z dołami i dzikami, i dużymi paprociami. Weszliśmy do tego lasu rano. Było jeszcze ciemno i w lesie było zimno i mokro. Ale my się nie boimy ciemności, bo ciemności boją się tylko smarkacze. Szliśmy wtedy przez ten las długo. I bardzo cicho. Kazali nam iść bardzo cicho, tak żeby nas nikt nie widział i nie słyszał. Szliśmy więc po mchu. Bo to był taki piękny las z ogromnym dywanem z mchu. I wrzósów. Moja mama bardzo lubi wrzosi, ale nie mogłem ich dla niej zabrać. Szkoda. Kiedyś, jak skończy się wojna i nie trzeba już będzie chodzić po cichutku, przyjdę do tego lasu i zbiorę dla niej wielki bukiet wrzósów. Po paru godzinach takiego wędrowania po lesie zrobiliśmy się głodni. Najstarszy z nas – Bolek, zarządził przerwę na obiad. Bolek był bardziej dorosły od nas wszystkich. Miał szesnaście lat. I dlatego został sierżantem. Każdy miał w plecaku coś do jedzenia, włożonego tam przez mamę lub siostrę. Ja miałem suchary i ciepłe mleko w termosie. A po drodze znaleźliśmy jeszcze maliny. Nie wiem, która była godzina, bo nie mieliśmy zegarka. Mój ojciec kiedyś miał zegarek. Taki ładny, ze skórzanym paskiem. Po dzia-dku. Ale przyszli żołnierze i zabrali zegarek. I jeszcze mówili coś w obcym języku, ale ja nie znam tego języka i nie wiem co mówili. W każdym razie teraz jest wojna i nikt u nas na wsi nie ma zegarka.

Mój tata mówił, że ludzie zawsze bawili się w wojnę. Tacy jak my biegali i się strzelali, a bogatsi i bardziej znani mówili im do kogo mają strzelać. A ci najbogatsi i najbardziej znani bawili się w strategów. Mieli duże mapy i żołnierzy, i czołgi, i okręty. Rozstawiali je na tej mapie i wygrywali wojny. Ja też chciałem zostać takim strategiem albo chociaż średnio znanym dowódcą. Dlatego kupowałem sobie co tydzień w sklepie w mieście ołowiane żołnierzyki. Po paru miesiącach miałem już całkiem dużą armię i ustawiałem ją w kuchni na podłodze. Czasem też strzelałem do niej z kolegami z takiej małej procy i żołnierze przewracali



Mirosław Koczkodaj

się i ginęli. Teraz jestem takim zwykłym szeregowym żołnierzem, ale jak będę dobrze walczył, to na pewno zostanę strategiem. Mój tata mówi, że nie można tak sobie zostać strategiem, ale ja i tak zostanę. Po obiedzie ruszyliśmy dalej. Przed wyjściem powiedzieli nam, że wieczorem dotrzemy do bazy. Do wieczora było jeszcze daleko, więc do bazy też. Ciekawe, czy w tej bazie są sanitariuszki?

Ale nie całą drogę mieliśmy taką spokojną i zieloną jak mech i paprocie. W pewnej chwili usłyszeliśmy szelest. Ten najmłodszy – Jasiek od spodni po siostrze sanitariuszce – krzyknął, że to dzik. To było ostatnie, co krzyknął. I przewrócił się jak ołowiany żołnierz zestrzelony z procy. Szkoda mi tego Jaska, bo to był fajny chłopak. Bardzo wesoły. I lubił opowiadać historie, których wszyscy chętnie słuchaliśmy podczas tego wspólnego obiadu z malinami. My schowaliśmy się w dole za leszczynami.

Słyszałem strzały i co chwila jakieś okrzyki w obcym języku. Chyba tym samym mówili ludzie, którzy zabrali mojemu tacie zegarek. My też mieliśmy broń, więc strzelaliśmy. Trochę na oślep, bo zza gałęzi niewiele było widać, ale chyba kogoś trafiliśmy, bo tamci się wycofali. Nas też trafili. Na pewno oberwał Heniek. W nogę. Przewinęliśmy tą nogę chustką i pomogliśmy mu iść. Bardzo go bolało, chociaż nic nie mówił. Nawet próbował się uśmiechać. Ale to był taki wykrzywiony uśmiech. Przez łzy. Na miejscu zabiorą go pewnie do szpitala i tam sanitariuszki zrobią tak, że nie będzie go bolało. Wkrótce dotarliśmy do bazy. Wyszedł do nas taki duży i groźnie wyglądający żołnierz, któremu złożyłem raport: „Wyszło nas pięciu albo sześciu, dotarło trzech i pół.”





TOMASZ JAKUBIAK

NIEBIESKIE DNI, BURSZTYNOWE NOCE

Słyszysz? Czy mnie słyszysz? Mówię właśnie do Ciebie. Słowa, które dźwięczą w tej wieczornej ciszy są właśnie dla Ciebie. Powiem: szum nieprzemierzonego morza, szum przesypującego się przez palce piasku, oddech drzew wyrastających poza wydhami, w których chciałby zamieszkać nadmorski wiatr. Usłyszysz mruczenie fal, czas przesypujący się w klepsydrze, zawodzenie wiatru nie mogącego odnaleźć dla siebie miejsca.

II

Cóż więcej mogę Ci dać niż te słowa, w które nikt nie chce uwierzyć? Cóż więcej niż te wersy zapisane w chwilach ciszy i upojenia ciemną jak kruk nocą? A jeśli powiem Ci, że lubię zapach deszczu i dotyk jego kropel na twarzy i że lubię, gdy wiatr głaszcze moje policzki, to byłabyś gotowa uwierzyć?

W naszym Bursztynowym Domu będzie czekała na Ciebie moja nieobecność. Wypalone drwa w kominku. Zimna woda w czajniku i pusty kubek do kawy. Niepotrzebna nikomu gazeta z ogłoszeniami o pracy. Wypisany długopis, który obracałem w palcach. Przeciwsłoneczne okulary chroniące mój wzrok. I koszula, którą przytuliś do twarzy, by chłonać mój zapach.

Usiądziesz przy stole i spojrzysz w okno, za którym będzie zapadać zmierzch i milknąć zgiełk nigdy nie śpiącego miasta. Przypomnisz sobie moje słowa, które oplatały Twoje myśli. Które były Ci najdroższymi ze wszystkich słów, które budziły Cię każdego poranka i kołys przed zaśnięciem. Przypomnisz sobie moje spojrzenie; to samo, w którym się przeglądałaś i w którym byłaś głębiej niż ktokolwiek, kiedykolwiek i gdziekolwiek.



I dlatego staniesz przed lustrem. Podniesiesz oczy i spojrzysz we własne odbicie. I gdzieś tam, na dnie źrenicy, odbije się Twoja postać. Ujrzysz człowieka, który zamieszkał w najdalszych zakamarkach mojej duszy. I wtedy ktoś cicho zapuka do drzwi. Podejdiesz i otworzysz je.

Tym kimś będę ja.

IV

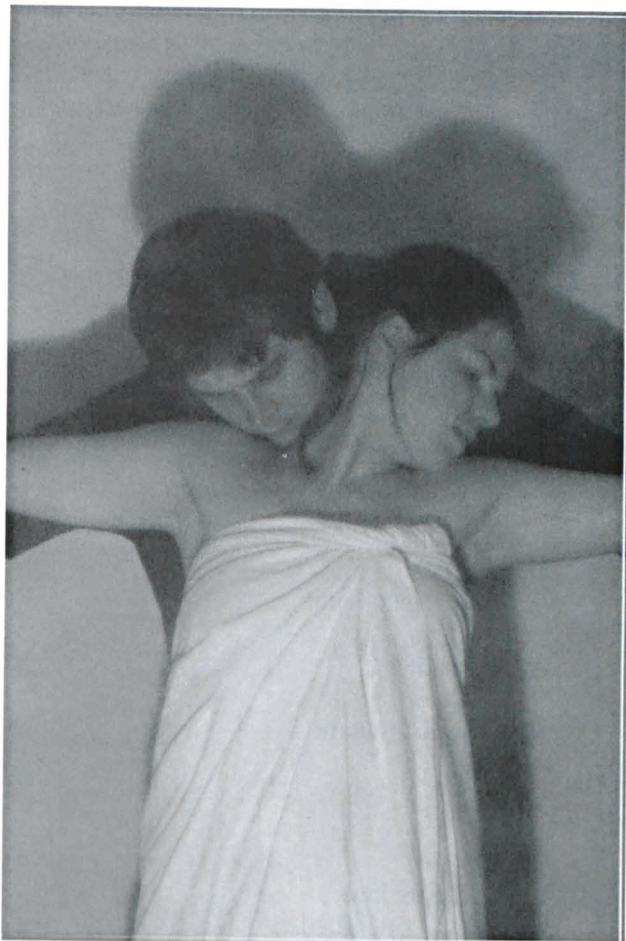
Byli tam oboje. Oboje przed wyznaczoną godziną spotkania. On 20 minut wcześniej. Rozglądał się w tłumie, próbując rozpoznać jej twarz. Potem postanowił pospacerować uliczkami Starego Miasta, aby uspokoić swoje myśli przed niewiadomą. Kiedy odszedł, przyszła Ona. Było to o 15 minut wcześniej od wyznaczonej godziny spotkania. Rozglądała się w tłumie, próbując rozpoznać jego twarz. Potem postanowiła pospacerować uliczkami Starego Miasta. Myśleli o sobie, o tym, że za pewien czas, chociaż wskazówki zegara zdawały się przysnąć, poznają się, usiądą naprzeciw siebie i zamienią kilka słów, które, być może, zmienią ich życie.

Wiesz, to jest taka chwila, w której mogłabym Ci oddać wszystko. I niczego nie prosić w zamian. Niczego nie oczekiwać. Chciałabym być po prostu Twoja. Być Twoją kobietą. Niczyją inną. Tylko Twoją. Być może za godzinę lub trzy będę Cię po prostu nienawidzić. Ale to będzie za tę cholerną godzinę lub jej dwie bliźniacze siostry. Teraz chcę po prostu patrzeć w Twoje oczy. Poczuć Twoje dłonie na mojej twarzy. Jak głaszczą moje policzki. Jak Twoje palce wtapiają się w moje włosy.

To jest taka chwila, w której mogłabym się w Tobie zatracić. W której cała przeszłość jest nic nieznaczącym ziarnkiem piasku, co dostało się do oka i wypłynęło łzą, którą osuszysz ustami.

Jeszcze miesiąc temu nie sądziłam, że istnieje ktoś taki. Że powiem Ci to, o czym myślę. I że nie będę się martwiła o własne słowa. Bo chcę Ci je powiedzieć jak nikomu innemu. I patrzeć Ci przy tym prosto w oczy. Przejrzeć się nich i dostrzec, jaką jestem naprawdę.

Wiesz, to jest taka chwila, w której mogłabym Ci oddać wszystko i niczego nie prosić w zamian. Niczego nie oczekiwać, a może jednak oczekiwać, że zabierzesz mnie na Twoją bezludną wyspę, na której nie będzie nikogo prócz nas. I będzie to miejsce, w którym nikt nie pozna ani Ciebie ani mnie. Być może za godzinę lub trzy będę Cię po prostu nienawidzić. Ale to będzie za tę cholerną godzinę lub jej dwie bliźniacze siostry. Teraz chcę po prostu patrzeć w Twoje oczy. Objąć dłońmi Twoją twarz. Głaskać Twoje policzki, wtopić moje palce w Twoje włosy. To jest taka chwila, w której mogłabym się w Tobie zatracić. W której cała przeszłość wydaje się pyłem na skrzydłach ćmy. Jeszcze miesiąc temu nie sądziłem, że istnieje ktoś taki. Przecież ja Ciebie wymyśliłem. Powstałaś z moich słów, z moich snów i z marzeń, które zabijałem w sobie przez wiele lat. I zanim przyszedłaś zapomniałem o Tobie. A teraz odświeżyłaś wszystkie wspomnie-



nia. I wiesz, nadeszła najszcześniejsza chwila mojego życia. Cokolwiek stanie się za jakiś czas, cokolwiek będzie z Tobą i z kimkolwiek będziesz Ty. Wiem jednak, że pozostaniesz na zawsze; jeśli nie w tym świecie, to w którymś z do niego podobnych. Powiem Ci, o czym myślę. I nie będę się martwić o własne słowa, Bo chcę Ci je powiedzieć jak nikomu innemu. I patrzeć Ci przy tym prosto w oczy. Przejrzyć się w nich i dostrzec, jaki jestem naprawdę.

Kupiła mu bukiet konwalii nie wiedząc, że On zrobił to samo dla Niej. Dlaczego spośród wszystkich kwiatów wybrali akurat te? Czy sprawiły to stojące na chodniku przypadkowe kwiaciarki? Czy przyczyną była biel kwiatów komponująca się z rozchylonymi świeżą zielenią liśćmi? Przecież równie dobrze mogłyby być to bez, którym pachnie jej skóra. Albo róże. Albo tulipany. Albo może maki zaczerwieniające podmie-

skie łąki. Wybrali jednak konwalie. Teraz cały świat pachnie konwalia.

IX

Na moich dłoniach wzrasta soczysta zieleń.
Moje dłonie są łąką, w której się zanurzysz.
Miękkim dywanem, do którego przytulisz
twarz i spokojnie zaśniesz.

Dotknę Cię dojrzałymi źdźbłami traw, rozbudzę zapachem rumianków, błękitnych chabrow, w których przegląda się niebo, moją krwią nabrzmiałych maków, wyściełanych słońcem jaskrów, kąkoli tętniących purpurą i księżycową bielą muśniętych stokrotek.

A potem wchłonę Cię w moją zieleń. I nasza krew będzie zielona. W zielonych krwio-biegach tętniących życiem.



MAGDA RĄCZKO PIETRASZAK

Noc,
grobla,
dwa stawy,
pełnia,
dwa księżyce.
Spadają gwiazdy.
Sierpień.

Cisza
przeleciał ptak,
Cisza
spadł liść,
Cisza
powiał wiatr.

Pole
z gruzami,
dzielone miedzą.
Wielki kamień

pilnuje porządku
pór roku.
Zielone zboże,
wyzłociło się,
usiadło snopami,
pachniało rżyskiem.
Wszystkie ugry
i sieny palone.
W jesiennych mgłach
czeka na pierwszy
śnieg.

Każde słowo
raz powiedziane
zawsze będzie żyło.
Ludzie nie odchodzą
tylko my
już ich nie mamy.
Życie i śmierć
Kropla wody
na rozgrzaną blachę kuchni.



JOANNA DE ALBA

ŻYWOT NADOBNEJ LUIZY (FRAGMENTA)

Przygoda pierwsza

Nadobna Luiza chwyciła w swą dłoń mosiężny młotek, którym wbiła gwóźdź w ścianę. Zastanowiła się chwilę nad swoim postępowaniem, po czym wzięła następny młotek. Namietnie kontynuowała zaczęłą pracę. Śpiewała przy tym swą ulubioną pieśń „Hej tam, mistrzu panie”¹ – brzmiał jej wdzięczny głos. Była pewna, że nikt, ani nic, nie przeszkodzi jej w oddawaniu się pasji i nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa. W trakcie wbijania piątego gwóźdź usłyszała zbliżające się kroki. Wielu historyków toczy spór o to, co myślała wtedy nadobna Luiza. Zdania są podzielone. Jeden z najwybitniejszych badaczy w tej dziedzinie, prof. Bożydar Bączek-Grzybalski, tak oto pisze w swojej książce: „Luiza musiała być świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa. Była kobietą o wybitym darze preczuczowania takich rzeczy. Już we wczesnym dzieciństwie występowały u niej zdolności paranormalne. Potrafiła na-

wet przyrządzić kolację, co – jak wiadomo – jest rzeczą niebywale trudną. Musiała więc od samego początku czuć, co może się stać. Jakże dobitnie świadczy o tym jej pasja do zbierania młotków i innych tępych narzędzi”².

Innym razem szła Luiza łąką i zobaczyła pasącego lamy młodego mężczyznę. Zdziwiła się bardzo na ten widok, gdyż nie widziała tu wcześniej tego chłopca. „A co to za Jełop?”³ – pomyślała Luiza.

Istotnie, nie wyglądał na bystrego. Postanowiła tak go tam nie zostawiać. Szybko wymyśliła nowy podstęp. Wróciła do domu i przebrała się za algijskiego handlarza lamami. Następnie ponownie udała się na łąkę. Jednak nie zastała tam już pastucha. Bardzo się tym zasmuciła, lecz postanowiła poszukać nowych przygód.

Udała się za rzeczkę, do małej chatki, w odwiedziny do swego długoletniego przyjaciela Kleofasa K. Wierny przyjaciel przyjął ją bardzo gościnnie. Własnoręcznie przygotował ciasto z jagodami, które poprze-



dniego dnia zbierał w pobliskim lesie – strasznym i ciemnym, że aż strach¹. Oprócz tego podał herbatę malinową, którą, jak przystało na dobrego gospodarza, sam ususzył z malin własnej uprawy. Luiza była zachwycona ciastem, lecz nie śmiała zapytać o przepis na ten cudowny wypiek. Postanowiła zdobyć go w inny sposób. Kiedy Kleofas udał się na chwilę w ustronne miejsce, wyjęła z szuflady jego tajny notes i odszukała w nim przepis na ciasto. Beznamietnie wyrwała kartkę i schowała sobie pod bluzkę. Po skonsumowaniu pysznej herbaty pożegnała się czule z przyjacielem i udała w drogę powrotną, myśląc o sekretnym przepisie Kleofasa K. Postanowiła wykorzystać recepturę jak najszybciej. Jednak do zrobienia ciasta potrzebowała jagód z bardzo ciemnego i strasznego lasu. Nie ulękła się jednak, tylko energicznym krokiem poskakała w stronę lasu. Zachęcana śpiewem małych leśnych ptaszków, drących się bezmyślnie, schylała się po pyszne owoce. Kiedy zbierała potrzebną ilość, poczuła, że jest spocona. Zapra gnęła się orzeźwić. Przypomniała sobie, że w lesie jest małe jezioro położone w ustronnym miejscu. W sam raz na kąpiel. Pobiegnęła tam czym prędzej i już po chwili

pływała w czystych wodach jeziora. W pewnym momencie usłyszała jakiś dźwięk dochodzący zza krzaków. Przestraszyła się ogromnie, gdyż pomyślała, że to jakiś dziki i groźny zwierz czyha na nią. Był to jednak ów pastuszek, którego rano widziała na łące. Chłopiec nie był świadomy tego, że w jeziorze jest kąpiąca się niewiasta.

Luiza pomyślała, że mały zboczeniec przyszedł ją podglądać podczas kąpieli. Wyszła z wody i chwyciła leżący na ziemi, gruby kij. Podkra dła się do chłopca od tyłu i uderzyła go w głowę. Nieszczęsny padł trupem na ziemię. Luiza zastanowiła się chwilę, gdzie może ukryć zwłoki. Na szczęście zawsze nosiła w swojej torebce małą, podręczną łopatkę. Zaczęła kopać dół. Po godzinie było już po robocie.

Wróciła zmęczona do domu i wzięła się za robienie ciasta jagodowego według sekretnego przepisu Kleofasa.

¹ W. J. Bucal, Pieśni ludowe i inne bajery, Żelizna 1999.

² B. Bączek-Grzybał, Piekna Luiza. Prawda i legenda, Kostomłoty 2007.

³ Pamiętniki Luizy, opr. dr A. Gieroj, Alba 666 p.n. Ch.

⁴ Istotnie, było to bardzo straszne miejsce [przyp. Red.].

Przygoda druga

Spośród wielu przygód nadobnej Luizy warto przypomnieć jeszcze jedną. Pewnego pięknego letniego dnia Luiza była umówiona w miejscowej karczmie na randkę z księciem Wallinny Erazmem Wallinnianym. Była tym bardzo podekscytowana. Znaleźli się jednak tacy, którzy byli zazdrośni o szczęście Luizy. Wśród nich księżna Hwalichwostów, wdowa po wspaniałym księciu Onufrym II. Chciała przejąć ogromny majątek księcia Erazma. Był na to tylko jeden sposób. Musiałaby go poślubić. Księżna Hwalichwostów była nadal piękną kobietą i miała duże szanse u młodego i niedoświadczonego życiowo księcia Erazma. Na jej drodze stała tylko jedna przeszkoda - nadobna Luiza. Udała się więc do sławnej w okolicy wiedzmy, by ta sporządziła jej truciznę dla Luizy. Wyposażona w magiczne zieliska przebrała się za barmankę w karczmie, w której byli umówieni Luiza i

książę Erazm. Wsypała zioło to koktajlu jagodowego, który był przysmakiem Luizy. Niestety, zamiast Luizy, napój wypił Erazm i natychmiast zeszytniał. Księżna była załamana. Cały majątek księcia przeszedł na Skarb Państwa. Osamotniona Luiza też nie dostała spadku. Zastanawiała się tylko, co było przyczyną zgonu młodego księcia. Przeczukiwała, że w całej tej sprawie maczała palce, a może nawet i całą rękę, księżna. Nie tracąc czasu na szukanie dowodów postanowiła się zemścić. Porwała kotka księżnej i zażądała ogromnego okupu. Zrozpaczona księżna wypłaciła jej całą sumę, którą Luiza przeznaczyła na hodowlę herbaty malinowej w ogrodzie Kleofasa. Kleofas był za to bardzo, ale to bardzo, wdzięczny. Jego hodowla stała się największą tego typu hodowlą na świecie.

Luiza też miała powód do dumy, gdyż bardzo lubiła tę herbatę, a teraz dostawała regularnie świeże dostawy owego smakołyku.





MARIUSZ BOBER

STROFY DLA CIEBIE

Często zastanawiam się czy jesteś czy czekasz gdzieś na mnie
 Myślę o Twoim imieniu uśmiechu włosach i oczach
 Często w moich myślach
 Chodzimy na spacer
 Raz jest to molo i morze
 A raz ścieżka przez złociste zboże
 Często zastanawiam się
 Jak jeszcze daleko jesteś
 Jak długo wytrzymają te róże które stale dla Ciebie kupuję
 Czasami chodzimy w deszczu pod rękę
 Gdzie tylko naszą radość
 Parasol dzieli
 Później jeździmy po nieba tęczy
 Wrzeszcząc z zachwytu
 Jak małe dzieci
 Kiedy wieczór nastaje
 Idziemy alejką w parku
 Gdzie są jesienne ławeczki
 A liście w stawie
 Udają senne stateczki
 Przez ramiona drzew
 Księżyc swoje dłonie przedziera
 By nadać blasku
 Twoim włosom
 Później siadamy na ławkach
 Czekając na siebie
 Ja jestem tutaj
 Ty pewnie gdzieś tam
 Może na razie
 Niech tak zostanie
 Ja tutaj
 Ty tam
 Może kiedyś
 Spotkamy siebie
 Na tej samej alejce
 Wyrwani z letargu marzeń
 Wyjdziemy z domu
 W tej samej chwili
 I może to wtedy będzie
 Ty zobaczysz mnie a ja Ciebie





ADAM ŚWIAĆ

U NAS ZA STODOŁĄ KRÓTKIE HISTORIE

UPAŁ

„Te Zielone już niedługo zmiotą całą konkurencję” – pomyślał Konopka, patrząc przez okno na pojazd salesmana odlatujący sprzed sklepu. Otarł czoło chusteczką i zabrał się do ustawiania na półkach butelek z „Marsjanką”. Po lewej stronie niegazowana, gazowana po prawej.

KOVALSKY

Kovalsky nie lubił pytań o wczasy. Koledzy z biura po powrocie z tradycyjnych międzygalaktycznych wojaży, pytali „Gdzie spędziłeś urlop?” tylko po to, by go upokorzyć. Kovalsky jednak, z właściwą sobie flegmą i godnością, odpowiadał nieodmiennie: „Byliśmy z żoną na Marsie”. Kpiny puszczał mimo uszu. Nie, nie zamieniłby się z nimi. Nie zazdrościł im ani egzotycznych podróży, ani erotycznych podbojów na odległych planetach, którymi tak często się przechwalali. Na Marsie miał coś, czego nie było nigdzie indziej: święty spokój i ciepłe Morze Sodowe, w którym co roku podlegał swój gościec.

ROPUCHA

Pamiętam jak dziś: to był wtorek, piłem właśnie herbatę, kiedy do biura skocznie weszła ropucha. Najpierw rozejrzała się uważnie po pokoju, zgrzytliwie wyskrzeszała „dzień dobry”, a potem skierowała się prosto w moją stronę. Wtuliłem głowę w ramiona, próbując ukryć się za stertą papierów. Jako niewykwalifikowany praktykant nie miałem doświadczenia w załatwianiu petentów, a ta sytuacja w ogóle wydawała mi się nietypowa, bo w życiu nie słyszałem, żeby ropuchy odwiedzały urzędy państwowe. Uśmiechnąłem się jednak i spytałem grzecznie: „Czym mogę służyć?”. I tak wszystko się zaczęło.

Pierwsze dni nie były łatwe. Spadło na mnie

odium społeczeństwa, dotknęły nietolerancja i brak zrozumienia. Jednak nie trwało to długo. Okazało się, że w baśniach dla dzieci tkwiło ziarno prawdy. Już pierwszy porządny pocałunek załatwił sprawę.

Dziś jesteśmy szczęśliwym małżeństwem.

Mamy sporo już usamodzielnionych dzieci i trochę kijanek. Latem polujemy na robaki, zimą przesypiamy w ziemi. Normalne, spokojne życie. Dokładnie takie, o jakim marzyłem.



MARIAN

Marian przyszedł do roboty ze świńskim ryjem. Przez pierwszą godzinę nawet żeśmy tego nie zauważyli, ale kiedy siedliśmy na papierosa majster zapytał, gdzie ty Marian wczoraj był żeś taki zmarnowany? Fakt, Marian ładny nie był nigdy, ale teraz to przesadził.

Tak się ześwinić...

Dopiero po paru dniach, kiedy już żeśmy się właściwie przyzwyczaili do jego mordy, Marian opowiedział nam co się stało. Był na imieninach u swojego szwagra Janka. U Janka jak to u Janka. Towarzystwo fajne,

tyle że szemrane. Była tam też Czarna Wioletka. Coś tam jej widocznie Marian podpadł, bo go przeklęła na odchodnym. I rano Marian patrzy w lustro, a to nie on. I tak już zostało. Później ktoś mi powiedział, że widział w jakiejś chlewni knura z gębą Mariana, ale to chyba bujda.



ZIELIŃSKI

Kiedy stary Zieliński umarł, nikt nie przypuszczał, że zostawił po sobie testament. Pośród sterty rupieci, które zalegały jego małe mieszkanie, znaleziono jednak szarą teczkę, a w niej kopertę z ostatnią wolą zmarłego. Wszystko co miał, a nie miał za wiele, Zieliński przeznaczył na dobroczynność. Był bowiem dobrym człowiekiem. Niewielu mogło tego doświadczyć, bo prowadził życie samotnika, ale ja znałem go dobrze. Łączyła nas wspólna pasja: piłka nożna.

W testamencie było jeszcze jedno zdanie dotyczące pochówku. Szokujące, frenetyczne i skrajnie ekscentryczne, choć Zieliński bynajmniej ekscentrykiem nie był. Otóż, ni mniej ni więcej, stary prosił, żeby pochować go pod polem karnym naszej ukochanej drużyny. Ja tam go rozumiałem. Sam może też chciałbym tam

spocząć, ale nie pozwoliłaby na to moja rodzinka. Niestety, życzenie z testamentu łatwe do spełnienia nie było. Ani klub, ani tym bardziej władze gminy, nie wyrażały na to zgody. Z powodów sanitarnych, jak mówiono. Zastanawiałem się, jak obejść przepisy, żeby mój stary kumpel mógł bywać na meczach także po drugiej stronie życia.

Pomysł był prosty i szybki jak strzał z woleja. Po skremowaniu zwłok pod osłoną nocy zmieszałem starego Zielińskiego z wapnem do znaczenia linii.

Drużynie zaczęło iść jak nigdy. Wygrywaliśmy mecz za meczem, często w nieprawdopodobnie szczęśliwych okolicznościach. Strzały rywali zatrzymywały się na słupkach lub poprzeczce, piłka stawała w błocie na linii bramkowej, przeciwnicy dubletami nie wykorzystywali rzutów karnych. Awansowaliśmy nawet do II ligi i wtedy skończył się zapas wapna. Wszystko powoli wróciło do normy. Choć i dziś mam czasem wrażenie, że stary jest z nami.

Bóg ponoć nie miesza się do spraw piłki nożnej. Kto Go tam zresztą wie? Ale wypadek z Zielińskim przekonał mnie, że po śmierci zabieramy ze sobą naszą największą miłość. Jakakolwiek by ona nie była.

SNY

Przez długi czas kładłem się spać wcześniej.

Kładłem się spać wcześniej przez długi. Czas, który przespiałem był przecież wolny od jakichkolwiek wydatków. Oszczędzałem więc na jedzeniu, na energii i rozmowach telefonicznych, których śpiąc nie prowadziłem. Śniłem także dosyć oszczędnie. Nigdy nie pozwalałem sobie na przykład na sny erotyczne, w których mógłbym się uwikłać w jakąś damsko – męską kabałę, a to – jak wiadomo – sporo kosztuje. Kontrolowałem też sny o egzotycznych podróżach, wybudzając się zawsze wtedy, kiedy zanosło mnie gdzieś dalej niż na Węgry czy do Bułgarii, i dosłownie wszystkie sny związane z zakupami. Po pewnym czasie doszedłem do dużej wprawy w cenzurowaniu własnych sennych marzeń.

Sny sąsiadów zrazu tylko słyszałem. Taka

senna fonia bez wizji. Starsza pani spod piątki zasypiała równie wcześnie jak ja. Jej sny były ciche, niepewne i coś w nich stale szeptało. Za to sny pana Tadka z drugiego piętra były dokładnie takie jak i on sam – rozchichotane i rozgadane. Potem zacząłem je widzieć, a za czas jakiś mogłem dowolnie wpływać na ich treść. I tak zostałem hakerem snów. Wszechpotężnym i bezkarnym. Bo niby dlaczego inni mają mieć lepiej ode mnie.

ROZWIĄZANIE

Znana powszechnie historyjka o kaczkach, które w zimowy poranek przysiadły na wodzie, przymarzły do lodu i zmuszone były zabrać jezioro ze sobą, to niewiele w porównaniu z wydarzeniem, które miało miejsce wiosną tego roku we wsi Dzioby Stare w powiecie międzyrzeskim, gdzie miejscowy wójt rozwiązał stado krzyżówek. Pan Stanisław Twaróg od lat słynął w całej okolicy jako wytrawny amator rozrywek umysłowych, ale jego wyczyn nie przejdzie do historii szaradziarstwa lecz wpisze się złotymi zgłoskami do annałów polskiej samorządności lokalnej. Cała gmina była od wczesnych lat siedemdziesiątych nękana przez monstrualne stado kaczek, które zanieczyszczały teren i zakłócały spokój mieszkańców tej urokliwej miejscowości. Kiedy w wyniku jesiennych wyborów ukonstytuowała się nowa Rada Gminy, na jednym z pierwszych jej roboczych posiedzeń wójt Twaróg postawił wniosek o przeprowadzenie gminnego referendum w sprawie lokalizacji szkoły, przy okazji którego postawiono także pytanie: czy jesteś za rozwiązaniem stada kaczek krzyżówek? 73,4 % uprawnionych (przy niemal 82% frekwencji) opowiedziało się za rozwiązaniem, co dało wójtowi i Radzie Gminy podstawę do podjęcia formalnych działań służących załatwieniu tej sprawy. Starania te zostały uwieńczone sukcesem w pierwszej dekadzie maja b.r., kiedy to wójt specjalnym zarządzeniem rozwiązał krzyżówki.

KLURGI

„Szanowni zebrani! Mijająca pięciolatka przyniosła dalszy wzrost liczby klurgów na terenie naszego powiatu. Mimo przejściowych kłopotów materiałowych i lokalowych osiągnęliśmy poziom klurgizacji o 2,7% przekraczający średnią krajową. To nasze wspólne wielkie osiągnięcie! Ale nie wolno nam też zapominać, że reakcja, poprzez swoich trzymanych na krótkiej smyczy podlegaczy, nie ustaje w wysiłkach, by te nasze sukcesy umniejszyć, a nawet ośmieszyć. Z tego miejsca chcę głośno i wyraźnie powiedzieć: są granice, których przekroczyć nie wolno! Dlatego też ci, którzy mówią, że stoliki w czytelnich powinny służyć do czytania a nie do wykreślenia klurgów, muszą się liczyć z tym, że im władza ich kłamliwe usta zaknebluje. Zaś ci, którzy rozpuszczają pogłoski, jakoby coraz mniej świętych dziewic było świętymi dziewicami, muszą się spodziewać, że im władza zorganizuje takie miejsca odosobnienia, gdzie już żadnych słuchaczy nie znajdą.

Drodzy delegaci! My, jako szermierze dobrej sprawy, musimy mocniej zewrzeć szeregi w obliczu wyzwania jakie niesie przyszłość!”



DIABEŁ

Już nie pamiętam kiedy pierwszy raz go spotkałem. Podejrzewam, że było to na jakiejś prywatce przy adapterze marki „Bambino”. Do złudzenia przypominał wyrośniętą sowę z małym wąsikiem i wystającymi kośćmi policzkowymi. Tyle, że był cały czarny. Mój bies, mój osobisty diabeł. Na początku myślałem, że jest tworem młodzieńczej imaginacji wzmocnionej nienajdroższym winem – zwłaszcza, że nikt poza mną nigdy go nie widział. Ale nie. Siadywał skromnie gdzieś z boku, mruczał coś – ni to do siebie, ni do mnie – a potem zniknął zostawiając po sobie tylko leciutki zapach zepsucia.

I w taki efemeryczny sposób towarzyszył mi przez lata. Przyzwyczailem się do niego, ba, nawet jakoś tam polubiłem, choć przecież skłamałbym twierdząc, że nie wiedziałem jaką instytucję reprezentuje. Nigdy nie próbował jednak podsuwać mi żadnych cyrografów czy czegoś w tym stylu.

Widywałem go w samochodzie, w domu i w biurze. Po prostu czasem się pojawiał, by potem zniknąć w równie tajemniczych okolicznościach.

To, skąd się brał, z właściwym sobie refleksem odkryłem dopiero po latach. Skojarzyłem, że rodził się w czasie gdy słuchałem przebojowej rumby z tekstem o nim samym. Teraz już wiem, że pojawiał się, by poprosić o odrobinę współczucia.



ASMABEL

W takim kontenerze nic się właściwie nie dzieje. W środku ciemno, tylko po kątach nieruchome światelka wiszą jak robaczki świętojańskie. Żółto pulsują, każde wielkości łebka od szpilki. Nic ciekawego. Te jasne punkciki blado oświetlają wnętrze skrzyni. Oświetlają Asmabela. Asmabel jak to Asmabel. Leży, uśmiecha się kwaśno, ziewa. Nuda koszmarna. Składa i rozkłada się jak scyzoryk – dla zabicia czasu. Nie ma wczoraj, nie ma dziś, nie ma jutro.

To jest jedyna prawda o tym kontenerze. Innej prawdy nie ma.

DZIWNĄ MATERIA

Najpierw zauważyłem, że sportowcy, których podziwiam, stali się dużo młodszy ode mnie. Potem z przerażeniem odkryłem siwe włosy na skroniach. Zadyszka na schodach była logiczną kontynuacją wcześniejszych wypadków. Zrozumiałem, że się starzeję. Starzeję się!

Czym jest starość? To niemalże eschatologiczne pytanie zadawałem sobie coraz częściej. I z każdym dniem wiedziałem o niej więcej i więcej.

Dziwną materię znalazłem zupełnie przypadkowo w szafie. Szukałem właśnie zgubionych okularów (miałem je oczywiście na własnym nosie), kiedy odkryłem tam belę dziwnej materii w kratę. Pan Pietruszka uszył mi z niej marynarkę i dwie pary spodni. Szczególnie marynarka miała niesamowite właściwości: dwurzędowa, modnie skrojona, skromna, ale elegancka. To w niej spodobałem się nieprawdopodobnej pani Marzence i moje życie zupełnie się odmieniło.

Nie, nie przestałem się starzeć. Praw natury nic nie może zmienić.

OGŁOSZENIE MATRYMONIALNE

- Pyta pan dlaczego dałam to ogłoszenie...
Przyczyna jest najoczywistsza z możliwych.
Przecież, na dobrą sprawę, mam tylko jęgo.

- I on pani nie wystarcza?
- Ależ tak! To znaczy...tak, ale...
- Ale?
- Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji. No dobrze, będę szczerą do końca. Nie wystarcza mi do wszystkiego. Owszem, zaspokajał mi bardzo długo naturalną u każdej kobiety potrzebę opiekuńczości, stymulował mój instynkt, wypełniał bez reszty wolny czas. Jednak któregoś dnia pomyślałam, że to nie wszystko, że kobieta powinna mieć też inne pragnienia. Na początku wstydziłam się tej myśli. Wydawało mi się, że to rodzaj zdrady. Dziś uważam, że mam prawo związać swoje życie z jakimś mężczyzną. Pod warunkiem, że on także ma przynajmniej stuletniego steelwheelsa. Pan ten warunek spełnia...
- Już nie pan. Proszę mi mówić po prostu Waldemar. Rozumiem cię, Paulino – o ile mogę tak do ciebie mówić – lepiej niż myślisz. Ja też kocham mojego nad życie. Zmieniłem pracę, żeby móc lepiej się nim opiekować. Brałem bezpłatne urlopy kiedy był zepsuty. Wyrzuciłem z domu telewizjer, bo podejrzewałem, że jest zazdrosny. Teraz jednak myślę podobnie jak ty. I myślę jeszcze – ba, jestem pewien – że się zaprzyjaźnią.
- To jest drugi z moich warunków. Wiesz co? Poznajmy ich ze sobą już teraz, natychmiast! Na wszelki wypadek wzięłam przewodzik...

SYLWESTER

To był wyjątkowo trudny rok. Spojrzenie na niego z perspektywy sylwestrowej nocy – spędzonej jak zwykle w trwożliwej samotności – nie mogło być inne. Był wyczerpany do granic możliwości. A co stanie się po północy...? Bał się. Jak zawsze. Może nawet bardziej niż zawsze.

W mijającym roku słyszał ludzkie marzenia. Marzenia całego miasteczka: dzieci, ich rodziców i dziadków. Marzenia możliwe i niemożliwe do spełnienia, perwersyjne i niewinne, wielkie i zupełnie malutkie, piękne i mniej piękne. Miał w związku z tym ogromne kłopoty ze zmruczeniem oka, bo ludzie – nie wiedzieć czemu – potrafią marzyć o najróżniejszych porach dnia i nocy.

Wszystko zaczęło się niewinnie. W wieku trzy-nastu lat pierwszy raz usłyszał jak przechodzi ludzkie pojęcie. Ale to jeszcze nic. Potem słyszał galop inflacji, upadki moralne, zejścia śmiertelne i tupot prątków Kocha. Próbował się leczyć, a jakże, ale kiedy powiedział lekarzom, że nie może pracować, bo słyszy wyrzuty sumienia kadry kierowniczej, dano mu do zrozumienia, że nie ma dla niego lekarstwa.

Rodzaj tortur zmieniał się co roku – właśnie w sylwestrową noc. O dwunastym uderzeniu zegara wstrzymał oddech. Milkły już wystrzały petard. W ich miejsce wsącał się charakterystyczny szum jakby husarskich skrzydeł. Już wiedział. Tak może szumieć tylko wiatr historii.

TTR

A wywalał kiedyś pan profesor gnój z obory widłami? Chłopaki z miasta mówią na to „zrywanie parkietu”. Na pewno pan nie wywalałeś, a wymądrzasz się na temat nawozów naturalnych. No pewnie, że nawóz naturalny jest najwartościowszy. Skąd zresztą wziąć sztuczne? Nawet w kółku nie mają. To znaczy mają, ale nie dla każdego. Obowiązuje zasada „sami swoi”. I nie ma mocnych... Że co? Produkcja mocznika wzrosła o trzydzieści siedem procent w ciągu ostatniej pięcioletki? Jasna sprawa. Kiedy partia mówi, że bierze, to bierze, a kiedy mówi, że daje, to mówi.

Teraz matematyka. Ma-cierz ma-te-ma-tycz-na... Po łacinie ma-trix. Matrix. Co za cholera? W świecie matematyki, panie doktorze, to panuje ład, porządek i logika, ale świat rzeczywisty jest zupełnie inny niż się panu wydaje. Dlaczego na przykład kurs dolara, cena dolara i wartość dolara to różne cyfry? Co, panie doktorze?

Mechanizacja rolnictwa. Ależ facet głądzisz. Snopowiązałka. Sno powiązałka... Wiązałka snów... Sny w snopkach... Sny w kopkach... Aaaaa... Sny w stodole... Aaaaa...

Nasz telewidz zasnął. Nie budźmy go. Sze-pnijmy tylko, że jest rok 1976 i trwa kolejny wykład Telewizyjnego Technikum Rolniczego – pierwszej w znanym wszechświecie wirtualnej uczelni, która wyprzedziła erę

Internetu zanim jeszcze ktokolwiek o nim pomyślał...

PIMP

Był raz sobie szczur leśny, który nazywał się Pimp. Pimp nie był specjalnie przystojny, ale w ogóle się tym nie przejmował. Właściwie chyba wcale go to nie obchodziło. Bo Pimp zajmował się zupełnie innymi sprawami. Od wczesnego dzieciństwa, kiedy był jeszcze małym szczurzątkiem, stawiał wszystkim napotkanym zwierzętom pytania w stylu: czym jest las, co to znaczy być leśnym szczurem, czy istnieje prawda obiektywna i takie różne. Zwierzęta, że nie potrafiły na nie odpowiedzieć, zdobywały się jedynie na riposty typu: „A co cię to obchodzi gówniarzu”, albo „A w ryja nie chcesz?”. Toteż Pimp był samotny.

Był jesienny dzień. Pimp obserwował spadające liście i rozmyślał o przemijaniu. Nagle nostalgiczną ciszę przerwał trzask pękającej skorupki orzecha, a na ścieżynce przed Pimpem pojawiła się Miss Matecznika – wiewiórka Brižitka. Brižitka była głupia jak przysłowiowy pęk słomy, ale – trzeba oddać jej sprawiedliwość – miała naprawdę niesamowitą aparycję. Skłamałbym twierdząc, że Pimp wcześniej nie zwracał na nią uwagi. I owszem. Ale tego rodzaju zainteresowania spychał głęboko do podświadomości, bojąc się, że mogą one źle wpłynąć na przebieg procesów myślowych. Brižitka zagadnęła: „Cześć, Pimp. Co porabiasz?”. „Rozmyślam o ambiwalencji dojrzewania, które niesie ze sobą mądrość, ale i zbliża do nieubłaganego końca” – powiedział Pimp. „Eee...” – rzekła na to wiewiórka – „no to cześć”. I hyc hyc zniknęła za drzewami. Kiedy Pimp został sam, przez moment żałował, że na pytanie „Co porabiasz?” nie odpowiedział zwyczajowo „O tak se siedzę” – wtedy z pewnością Brižitka pobyłaby z nim dłużej, ale po chwili metafizyczny niepokój eschatologicznej zadumy wyparł z głowy szczura obraz rudej piękności. Tej nocy śniła mu się orzechowa szafa.

U NAS, ZA STODOŁĄ

U nas, za stodołą jest czakram. W burakach. Zbiegają się tam tajemne siły Wszechświata, dzięki czemu i buraki lepiej rosną. Szkoda tylko, że ląduje tam tyle pojazdów kosmicznych, bo co wygniotą to wygniotą.

We wsi nikt już się temu nie dziwi. Na początku może i tak, ale nie teraz. Obcy przestali być obcymi. A i dla wioski to zaszczyt, że na lądowisko wybrali sobie nasze zastodole. Dogadujemy się z nimi po swojemu. Oni też nas chyba polubili. Wylądują, trochę posiedzą a potem odlatują do swoich spraw. Normalnie.

Ja, jako emerytowany wiejski nauczyciel, z dziada pradziada mieszkam w tej wsi, chcę ocalić dla potomnych pamięć o tych spotkaniach. Piszę prozą i wierszem w brulionie w kratkę. Może kiedyś ktoś to wydrukuje w gazecie albo książce. Ot, na przykład to z początkiem z Norwida:

*Dodam tu, że Chińczykom, skoro ich obaczą,
najdziwniejszą się rzeczą wydają guziki
dwa – z tyłu! – te, pytają Chińczyki: „Co? znaczą...
K czemu? są... K czemu? służą...” – dziwią się
Chińczyki.*

Dodam też, że Hindusy, gdy ich ujrzą z dala, niezmiernie są zdumieni ichnimi czułkami i trzecim oczodołem, który się zapala, kiedy noc czarną suknię obszywa gwiazdami.

Dobawić pragnę również, że Amerykańce dziwują się, że mają szesnaście odnóży, trzy trąby – jedną wzierną, tę drugą z przyssańcem i trzecią, która głównie do blamblania służy.

Jest też, jak się to mówi, „na tym leż padole” nacja, która sympatię wielką do nich żywi. Oni, gdy im z przytchawki strzykną etanolem, robią się bardzo mili i nic ich nie dziwi.





RYSZARD KORNACKI

W naszej miłości

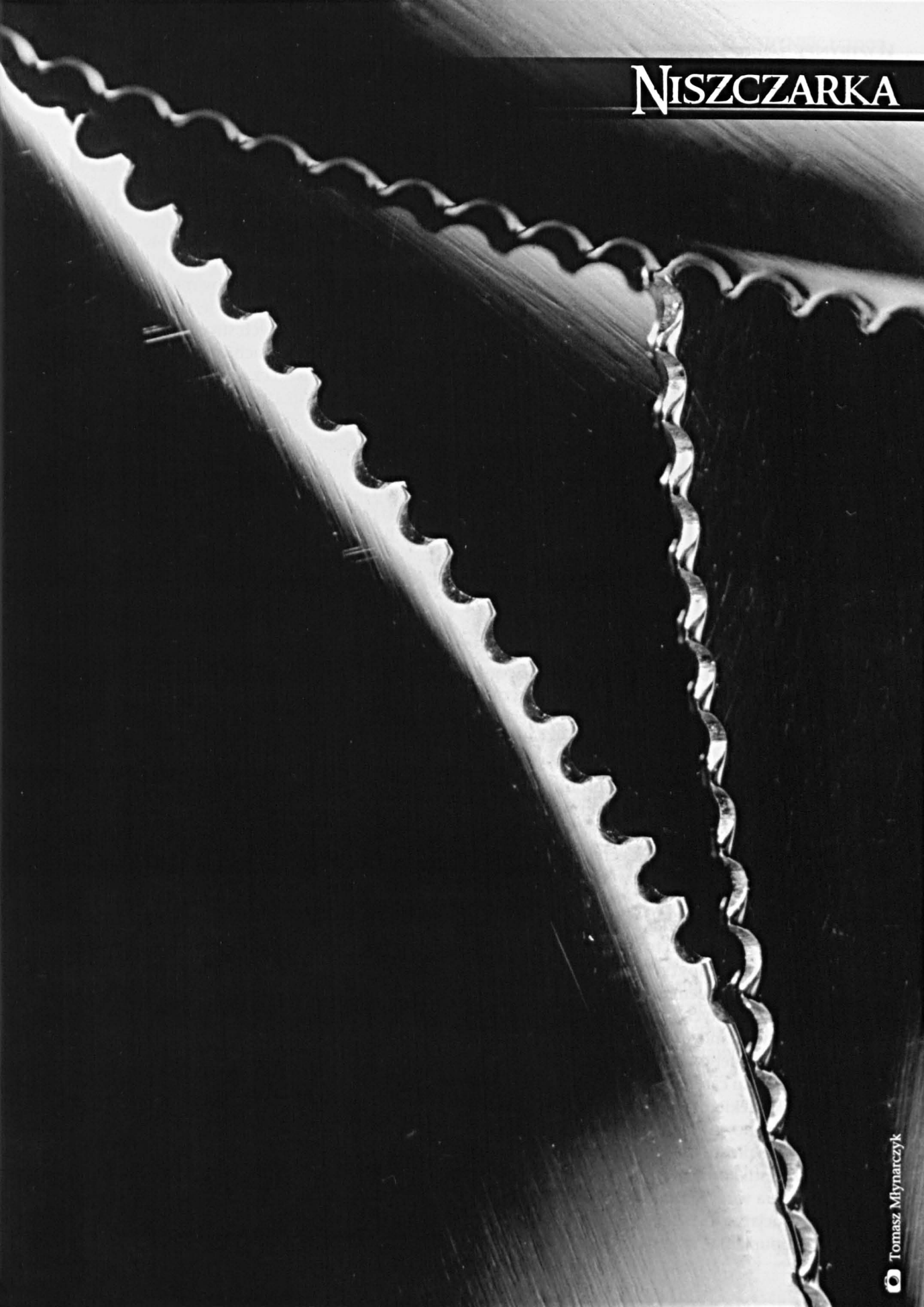
I tak w tej naszej
jaskółczej miłości
niewinnej
jak nie babiego lata
a potem zaślepionej
złotym piaskiem słońca
i dojrzałej
niczym pękata wiśnia
napojona sokiem krwi

I tak w tej naszej
jaskółczej miłości
ktoś pociągnie
za spust
nienawiści
i wszystko rozpocznie się
od nowa
czyli od naszej
jaskółczej miłości.

Autoportret z gołębiem

Po deszczu rodzą się
najlepsze wiersze
Pęcznią mądrością
jak złote ziarna
pszenicy
Kielkują czystą metaforą
tworząc autoportret
poety z gołębiem
na ramieniu
Ciekawe czy malarz
słonecznego dnia
umieści go na palecie?
Czy zdąży
zanim gołąb
umknie w przestworza?
Zanim wymieni się
łzami z deszczem?

NISZCZARKA





MARIUSZ BOBER

...IZMY CZYLI ZA PIOTREM J. DROZDOWSKIM O POSZUKIWANIU UNIWERSALIZMU

Gutenberg to pismo jakich mało, którego oczywiście wnikliwe oko czytelnika nie znajdzie w kiosku! Nie! Są pisma, w których grupy „rozłozszczonych” intelektualistów wypowiadają poglądy słuszne, a „W poszukiwaniu uniwersalizmu” raczej kolega Drozdowski pisze same oczywistości w stylu: bądźmy tolerancyjni wobec innych wyznań ale nie tylko innych wyznań. Raczej wolność dla ludzkich poglądów. Uznać można, że taki esej pisze człowiek, który ma coś pod sufitem, który orientuje się w literaturze, ba w istnieniu rozmaitych religii, dla których ma szacunek i...pozwala im obok siebie istnieć! Pytanie, a raczej święte zapytywanie, staje się kluczowe. Pytający jest człowiekiem niebezpiecznym, znaczy, że pod jego czaszką dymi kilka milionów zwojów, które nie pozwalają mu bezmyślnie przechodzić obok „przewracającego się” świata! Uniwersalizm, globalizm, megaterroryzm, które stają się wszechobecne. Kulturowa globalizacja, w której rodzi się pytanie, czy zdołamy zachować kulturowe odrębności, czy też nieuchronnie zmierzamy ku wspomnianej kulturze globalnej, do globalnego ujednolicenia. Owszem, kultura staje się powszechna, ze swoim dziedzictwem, bogactwem poszczególnych krajów.

Drozdowski wypowiada ciekawe zdanie:

„święto myślenia to święto obcowania z rzetelnym zapytywaniem”. Jestem za, za udostępnieniem dziedzictwa, jak to autor ujmuje, innych kultur, religii, by oto młody człowiek mógł wybrać! Mógł skosztować dobrodziejstwa myśli filozoficzno-religijnej dorobku całego świata. Wtedy, staje się człowiekiem globalnym, być może bardziej tolerancyjnym, na przejawy inności, a może po prostu innego stylu życia. W tej oto kwestii konserwatyzm bywa zabójczy, zawiera w sobie znamiona średniowiecznej krucjaty zmierzającej do ujednolicenia, „upupienia” wszystkiego, co odbiega od

obowiązującego dogmatu. Patrząc jednak na rynek idei, nic nie powstrzymuje myślicieli od tworzenia, choćby mieszanek rozmaitych poglądów. Nie, nie są „krzyżowane” na pierwszych stronach gazet, lecz gdzieś w zakamarkach egzystują, wyciekając od czasu do czasu w sensację, czy napiętnowaniu. Uniwersalizm ma być panaceum na całe zło świata, ma być złotym środkiem, płaszczyzną, na której spotykają się wszyscy ludzie. Odwieczny spór o Prawdę? Odwieczna walka w udowadnianiu racji, stylu „moje jest lepsze od twojego” albo „nasz bóg powierzył nam więcej i lepiej!” I oto mamy ideologiczne krucjaty, które w imię dobra, czynią... podobne. Ustanowić znośny porządek świata.

Dygresja „pokoleniowa” wyniesiona z rozmów z młodymi gniewnymi, z młodymi dziennikarzami, toczącymi bój o wolność. Okazuje się, że jako taka wolność słowa nie istnieje, że za wolność głoszenia poglądów, czy też otwartą krytykę, choćby rządu, „koledzy” idą do więzienia, bądź też organizuje się im naloty służb specjalnych. Jedność i jednomyślność w takiej kopalni ludzkich poglądów? Dogmat dąży do ujednolicenia i jednomyślności, tyle, że jakkolwiek człowiek wyposażony w zdolność myślenia nie podda się jednoznacznie ujednoliceniu. Nie jest maszyną. Lud na przestrzeni wieków dokonał mentalnej edukacji, wykształcił wyrafinowany sposób myślenia, tym samym tworząc dzień po dniu trudną do ogarnięcia „ideologiczną papkę”. Boimy się inności? Godzi to w nasz osobisty fundament? I ponownie za izmem Drozdowskiego, „Nie odcięliśmy jednak wciąż pepowiny od bardzo ponurej tradycji zemsty za cudzą inność”. Dlaczego, tak bardzo inność działa nam na nerwy!? Z jakiegoś to oto powodu, świat usłany jest trudną do ogarnięcia różnorodnością, ewolucją w obrębie ludzkiego myślenia, wystarczy uświadomić sobie istnienie wielości



Joanna Bukowska

ideologii. Istnieją „ujednolicone” społeczności, istnieją też enklawy, posiadające swój własny mały świat. Świat słusznego porządku? Świat w drodze do słusznych racji?

Idylla, świat idealny. Drozdowskiemu harmonię jego znakomitego eseju, nagle burzą wydarzenia z 11 września, stawiając pod znakiem zapytania myśl, iż niejako stanowimy globalną jedność, że jesteśmy dla siebie...braćmi. Niestety! Codziennie giną ludzie, w mniej lub bardziej widocznych wojnach, mimo globalnej edukacji i humanitarnych religii. Czym w końcu staje się wściekła rywalizacja - wyścigiem, w którym wygrywa tylko najlepszy!? Taka praca powiedzą „bracia”. Na jakiejś płaszczyźnie stajemy się łownymi zwierzętami, przyobleczonymi w humanitarne wartości. Demokracja, kapitalizm - gdzie demokracja, mówi się, że jest najlepszym systemem jaki zdołano wymyśleć. W nim wolny rynek, free - style, w którym rośnie napięcie - napięcie rywalizacji, nie tylko

między jednostkami ale całymi narodami. Cała ta sytuacja wymusza intensywność ludzkiego działania i myślenia - wymusza. Kiedy ubiegły system nie skłaniał do eksplozji ludzkiej innowacyjności, tak teraz jej brak, spycha społeczeństwo na manowce. Jakie są rzeczywiste implikacje? Pokoleniowa dyskusja, w której ponownie toczy się walka o wolność słowa, o wolność wyznania, o wolność stylu życia. Cywilizowany uniwersalizm? Dyskusja jak zwykle otwarta, póki historia kołem się toczy, póki na ziemi pozostaje choć jeden człowiek. Jesteśmy i będziemy w drodze, póki co, dyskurs należy zostawić otwartym...





MARIUSZ BOBER

NA KONIEC

Zastanawiałem się, gdzie wcisnąć tę krótką notatkę, bo czytałem pośpiesznie wszystkie teksty i nawet nie zdążyłem się wgłębić w ich treść. Kiedy zaś stawiałem ostatnie kropki w tym piśmie, głębszym spojrzeniem postanowiłem raz jeszcze na wszystkie teksty popatrzeć.

Wgłębiłem się ostatecznie w Roberta Koncy „Czym jest pisanie”, dedykowany Arturowi Rogalskiemu. Poczułem jedność. Jedność z autorem i samym tekstem. Rozumiem? Utożsamiam się? Założę się, że jakiś straszliwy bogacz, albo biznesowy krezus, uzna tych wszystkich piszących i parających się pisaniem za zgraję durniów, bo coś oni z tego mają, prócz satysfakcji i marzeń o willi na Lazurowym Wybrzeżu. A ci piszący, co? Zarabiają gruby szmal? Walczą o kolejne stopnie kariery? O laurki? Dyplomy? Za każdym razem, kiedy trafiam na tekst podobny do tekstu Roberta Koncy, wiem, że to prawdziwy głos autora, że wtedy, można rozplaszczyć się gdziekolwiek, biorąc do rąk książkę lub pismo i czytać, spiżając pokarm słów, jak wytrawne francuskie wino, albo degustując kawior, podawany na srebrnych półmiskach. Pewnie, za wiele lat, tych wielu piszących, często dla idei, często z powodu swojej durnej wrażliwości, będzie się przewracać po zapomnianych zakamarkach świata, może też nigdy nie wspomni o nich żaden almanach, słownik i może nigdy polonistka, nie będzie prezentować ich tekstów młodym umysłom, bo gdzieś przyniatają nas tuzy literatury i polskiej i światowej. Ale założę się, że nikogo nie powali na kolana czytanie kolejnych ustaw, czy też perfekcyjnie napisanych artykułów pod względem technicznym, wyssanych i z emocji i obecności samego autora. Konca akcentuje prawdziwość pisania, pisania takiego, po którym powinno Cię powalić - że w „koncu”, będziesz wiedział, że zagłębiając się w tego typu pisarstwo, lirykę, fakt - dotykasz i otrzymujesz coś, co skutecznie dzisiejszy świat zabija i tłamsi ludzką wrażliwość, której wartość rynkowa równa się mniej niż zero. Dlaczego jednak decydujemy się na pisanie? Czasem odnoszę wrażenie, że to lustro dla wszy-

stkich innych, którzy w słowach autora, odnajdują świat, który ginie, za którym może tęsknią. Autor, czasem musi być dziwakiem, samotnikiem, kloszardem, by jak alchemik wytopić z otaczającego nas zgiełku złoto. Często, złoto słów, niejednokrotnie ratowało niejedne ludzkie oczy i niejedno ludzkie serce. Dlatego to pisanie jest obowiązkiem choć laury marne i zapłata żadna. Kiedyś marzyłem, że będę siedział w jakimś domu z widokiem na morze, i będę pisał - i stanę się wielkim pisarzem, że będę tworzył wielką poezję, wielką literaturę, którą będą pochłaniały miliony. Raz, autor musi być zuchwały, dwa, absolutnie mały by oddać innym wielkość ze swojej durnowatej postawy, w której roi się od wielkich słów, po nicość, uświadamiając sobie swoją miałość we współczesnym świecie. Ale to obowiązkiem autora jest robić z siebie durnia w odwadze wydobywania słów, które elektryzują i nie smakują jak syntetyczne jedzenie z supermarketu. Kiedy od czasu do czasu przemierzam uliczki Radzyna ogarnia mnie pustka - gdzie ludzie na ławkach z książką w ręku? Gdzie płomienna dyskusja, gdzie spojrzenie cichej wielbicielki. Może są jeszcze na tym świecie konesery literatury i zachwycają się odkrywaniem rękopisów autorów, albo tropieniem ich poczyną na twórczej scenie życia. Może w Paryżu byłoby lepiej, może tam, nad Sekwaną, siedząc pośród wszelakiej maści artystów zapomniałbym o prowincji i pustym mieście. Może. Może jak wszystkim utknę w gardłach to syntetyczne jedzenie krzykną: „wody!”, krzykną „pokarmu!”, krzykną „prawdziwych słów!”, a wtedy może nas już nie będzie, bo pokryje nas kurz i zapomnienie, bo pokryje nas komercyjny świat. Może wtedy, Sekwaną, Wisła a może naszą Białką, dopłyną do nas, do was, do kogokolwiek bibuły pisane ołówkiem lub kredką, że nie będzie „konca”, że ciągle jest początek, że ciągle żyjemy, że ciągle kopiemy studnie - my, durnowaci z piórem w kieszeni.

I to KONIEC na KONIEC.

PREZENTACJE





ROBERT KONCA

W DRODZE

Nie masz nic prócz drogi
Której celu nie znasz
Lepsze to niż gdybyś cel znał
A nie mógł odnaleźć drogi

Więc idź
Nakarm zmysły
Zrań serce na drodze
Pochyl się nad mijanym fragmentem
Nad kamieniem pyłem i wodą
Pocałuj różę
Bądź różą
Przybitą gwoździami do krzyża
I przyjmij ten nierozwalny dar –
Pozornie wieczny ból
Pozornie krótkie szczęście

Aż wreszcie ujrzysz że to
Co wydawało się tobą
Ze snu budzi się w śmierć
A z niej znowu wraca śniąc
Tka światy pełne nadziei i gniewu
Ogrody nie spełnionych obietnic
Zawsze w drodze od snu do śmierci
Jak między biegunami magnesu

Przez pajęczynę twoich zmysłów
Z morza światła przedostaje się
Tylko jeden okaleczony promień
Jak epizod psychicznej choroby
Ale i przypomnienie
Że trwa coś prócz widm w twojej głowie
Zaś ukrzyżowana róża –
zmartwychwstanie

SIEDLCE

Nie napiszę nic o katedrze
O ratuszu czy pałacu Ogińskich
Myślę że turystyczne przewodniki
Robią to lepiej ode mnie

Bardziej ciekawią mnie ci ludzie
Kryjący się w bramach śródmieścia
Ludzie o małych tkliwych sercach
I twarzach zabójców... dłużej

Rozmawiać z nimi nie radzę
Bo można na przykład usłyszeć :
„Frajerze, książkę piszesz ?
Zamknij się i daj na gorzałę”

Są też tacy którzy inne słowa
W alchemii umysłu oblekają złotem
Z nimi można znaleźć się w Ogrodzie
I pracować nad listem do Boga

Miasto jak wiele innych
Bezrobocie na wysokim poziomie
Nieco spada liczba urodzeń
Za jakąś dawną winę

Ludzie tu pokutują jak wszędzie
I śmierć znaczy to samo
Co w Mińsku czy w Monte Carlo
Nadzieja zmagą się z lękiem

DRZWI

Na pozór wszystko wydaje się być oczywiste
W każdej chwili możesz iść tam dokąd chcesz

A zatem w postaci niby jednolitej

Podążasz w kierunku drzwi... nagle

Ze zgrozą czujesz że istotna część ciebie

Trzyma się skulona przeciwległej ściany

I duszą cię mury tysiąca pomieszczeń

Z których – choć wyszedłeś – nie wyszedłeś
cały...

Chcesz się skoncentrować lecz ręka przeciw
ręce

Perswazja słowna spotyka cięte odpowiedzi

Nie potrafisz dotrzeć do tych wszystkich
miejsz

W których twa tożsamość gnije pośród śmieci

Nigdzie nie pójdziesz – wiatr rozwiewa strzępy

Umysłu, drzwi zaś po to są by tęsknić

* * *

znalazłem swoje ciało
kształt będący granicą
uprawnień umysłu

znalazłem swój umysł
anarchię i chaos
które zakłócają
kontemplację duszy

znalazłem swoją duszę
jest mglistym przecuciem
które mnie prowadzi
w objęcia szaleństwa

TIAMAT

O świecie spoglądając na ten świat przeklęty
 Tęsknię za czasem gdy nie było Ziemi
 I tylko Ty lśniłaś ponad firmamentem
 Złotym blaskiem magii, miłości i wiedzy

Ty jesteś źródłem moich wątpliwości
 Wizji perwersyjnych, cierpienia i rozkoszy
 Pnę się w górę, upadam, na pozór samotny
 Lecz zawsze i wszędzie w zasięgu Twych oczu

Ty jesteś głosem w moich snach niespokojnych
 Twego szeptu nie można już porównać z niczym
 Są noce kiedy szukam jeszcze głębszej ciemności
 By wdychać Twój śpiew rozpuszczony w ciszy

Chwilami Cię dostrzegam w przestrzeni wewnętrznej
 W czasie sprzed pamięci, winy i zbawienia
 Gdy życie było jednym swobodnym oddechem
 Przeczuciem przyszłych losów węża i człowieka...

WAŁBRZYCH

Wieczór nad placem Grunwaldzkim
 Otwiera się jak mięsożerny kwiat
 I pękają pod nogami lustra
 Nieświeżych kałuż

Chmury i ognisty dym
 Z miejscowych kuźni Mordoru
 Falują jak fryzury popiołu
 Uderzane przez wiatr
 Znad zachodniego oceanu

Odurzeni siarką łowcy
 Polują z bezinteresowną agresją
 Na kamiennej sawannie
 Starego Zdroju
 I nie pomogły tybetańskie relikwie
 Ukryte na górze Chełmiec

Stróże prawa i sprawiedliwości
 Nie mają tu już czego pilnować
 Nasłuchują z bezpiecznej odległości
 Jak z hukiem zamykają się okna
 Oblężonych ludzi

Robert Konca (ur. 1970) – tworzy od prawie 20 lat; wielokrotnie nagradzany w konkursach literackich; autor tomików poetyckich: *Herezje* (Siedlce 1996), *Eter* (Liw 2006); publikował wiersze w „Słowie”, „Sycynie”, „Krzywym Kole Literatury”, „Bazarze Poetyckim”, „Templum Novum”, „Siedleckim Nieregularniku Literackim”; członek siedleckiej grupy literackiej „Ogród” i nieformalnego stowarzyszenia poetów „Klub im. Julio Cortazara”; współpracuje ze Staromiejskim Domem Kultury w Warszawie; mieszka i pracuje w Siedlcach.



MARIUSZ BOBER

SERWIS LITERACKI KNOWACZ.PL

Knowacz.pl to serwis literacki prowadzony przez pasjonata, Piotra Chruslińskiego, z którym współpracujemy redagując niniejszy kwartalnik kulturalny. Gdyby ktoś zastanawiał się skąd nazwa – wyjaśniam: pochodzi od angielskiego słówka know. Serwis jest bardzo dynamiczny. Redaktor naczelny niemal każdego dnia dodaje coś nowego. Jedną z ciekawostek jest to, że za sprawą serwisu, można wydać swoją książkę - choć w wersji elektronicznego e-booka (jest to jednak poważny krok w kierunku wydawnictwa papierowego). Jak mówi redaktor strony, jest to wolna strefa i znakomite miejsce dla piszących i chcących publikować. Nie oznacza to, że w tej wolnej strefie przejdzie wszystko. Znajdziesz na niej recenzje, opowiadania, bajki, felietony, eseje, prozę, wiersze, zapowiedzi wydawnicze, wydawnictwa serwisu, sylwetki, książki, prezentacje pps, wywiady w plikach mp3, grafiki i wiele innych. Piszą też o KOZIMRYNKU.

Możesz również pobierać na własny dysk publikacje. Jednym z atutów strony jest prosta nawigacja, pozbawiona zbędnych „bajerów”. Nie pozostaje nic innego jak szybko wpisać adres www.knowacz.pl i przenieść się do wolnej strefy literackiej, z której możesz czerpać bez ograniczeń.

MB.

<http://www.knowacz.pl/>



ARTUR ROGALSKI

D.O.M.

Dziękuję. Trzeba wyciszyć głos, a myśli ograniczyć. A najlepiej – w ogóle nie mówić i nie myśleć. Szelest myśli podczas koncertu przeszkadza, nie mówiąc już o słowach.

Brzęczące szyny w mroku za plecami i mocne światło księżyca. Preludium. Patrzę w świetlistą kulę otoczoną pyłem blasku. Teraz, gdy stoję na moście pomiędzy dniem i nocą, wszystkie zmysły nabierają niezwykłej ostrości. Słyszę głosy ludzi z pociągu jadącego dobre kilkanaście kilometrów od zardzewiałej huštawki, na której siedzę, słyszę stukot ich myśli. Wdycham wszechświat w głąb płuc. Czuję woń każdej z osobna sosnowej belki, gwiazdy czy żdzbla trawy. I jeszcze przenikający wszystko swojski smrodek gnojówki. Rozpędzone gamy zapachów drażą w mózgu wąskie korytarze, po czym zamykają się w nich. Kto wie, na jak długo – dzień, miesiąc, rok... czy może już do końca?

Uwertura. Szczekanie odległych psów, trzaski schnącego drewna. Pasaże pijackich głosów wraz z kakofonią pędzących nie wiadomo, dokąd maszyn odbijają się od wąskich ścieżek i rozpoczynają wędrówkę do wieczności. Powinienem uważać. Po koncercie sny stają się dziwaczne. Nie należy zanurzać się zbyt głęboko w jeziorach świadomości i podświadomości, gdy dyryguje księżyc – si-

wy maestro. Kiedy mrużę oczy, on i wirujący wokół niego świetlisty kurz przybierają kształty olbrzymiego oka opatrności.

Późno już. Nie ma wiatru, noc będzie ciepła.

Akordy nabierają mocy, niepokoją. W przejeżdżających co chwila pociągach – ludzie. W oknach domów na pobliskich zboczach, oraz w oknach domów, które widzę jedynie jako świetliste punkciki – także ludzie. Oraz ich przedmioty. I myśli. Codzienne sprawy. Problemy. Istny labirynt. Jak ten zbudowany przez Dedala dawno temu w nieistniejącej krainie.

Ja, Minotaur, władca błędnych korytarzy wychodzę na jego dach. Widzę to, co znajduje się ponad każdym labiryntem – białe punkty na czarnym tle. Ślady po cyrku, którym Nienazwany wytycza odległości.

Zza najwyższego szczytu po niewidocznych liniach przestrzeni nadpływa odległe miasto. Przekraczam jego granicę, kluczę płataniną uliczek. I oto ona. Brama obwiedziona nadkruszoną cegłą. Smuga księżycowej poświaty i brzęcząca z wysiłku, ledwie działająca żarówka prowadzą mnie schodami starej kamienicy. Mijam nieruchomą, groźną szafę na półpiętrze, wchodzi na poddasze. Czas odpocząć po tysięcletniej wędrówce. Nie zapalam lampy, jestem bezpieczny. Wiem, że jaśminy i bzy

władają teraz bez reszty śpiącymi podwórkami. Czarny kot – oderwany fragment nieba – zeskakuje na stół. Ostatnie dźwięki nokturnu umykają przed nim niczym wystraszone myszy. Teraz już można położyć ramiona na rzeźbionym stole, rozpocząć rozmowę z trzeszczącym kredensem albo starą popielnicą. Chciałbym zostać tu na zawsze, ale to niemożliwe. Tuż przed powrotem zerwę liść z uwiązanego do balkonu żółknącego figusa i posłę w dół ku łysinie trawnika. Jest kluczem do bramy. Wrócę znowu, gdy noc będzie galopować ponad dachami domów.



Miroslaw Koczko



Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych ogłasza
I edycję konkursu Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek” pt.

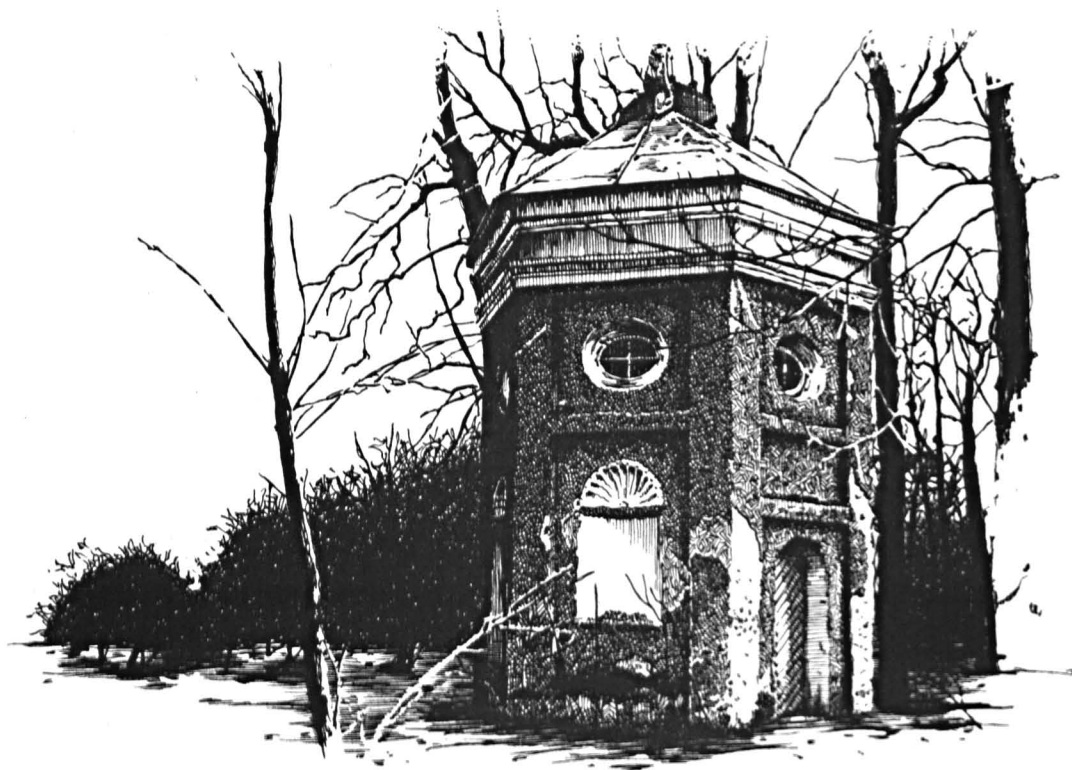
TURNIEJ PLASTYCZNO-LITERACKI „CHICHOT CHIMERY”

Hasło I edycji konkursu: KLUCZ

REGULAMIN

1. Celem konkursu jest:
 - a) ujawnianie talentów i promocja uzdolnionych twórców,
 - b) prezentacja najlepszych prac na łamach Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek”, w zbiorówce pokonkursowej, stronach internetowych Stowarzyszenia oraz w mediach.
 - c) promocja Radzyna Podlaskiego i rozwój twórczości plastycznej i literackiej
2. Konkurs przeznaczony dla wszystkich zainteresowanych, bez względu na miejsce zamieszkania i wiek.
3. Konkurs obejmuje:
 - 1) w kategorii grafiki: 1-3 rysunki/grafiki,
 - 2) w kategorii miniatur prozatorskich: 1-3 prace do 3 stron wydruku komputerowego
4. Grafiki i opowiadania będą oceniane pod względem:
 - a) oryginalności,
 - b) wartości artystycznych,
 - c) wartości językowych i warsztatowych.
5. Prace oceniać będzie jury, którym są członkowie redakcji Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek”:
 - Mariusz Bober
 - Przemysław Krupski
 - Dariusz Magier
 - Adam Świć
6. Na Konkurs należy zgłaszać utwory i grafiki/rysunki dotąd nie publikowane i nie nagradzane w innych konkursach. Wszystkie prace powinny być wyłącznie indywidualne i polskojęzyczne. Każdy uczestnik ma prawo zgłosić tylko jeden raz swoje prace w obu kategoriach.
7. Do konkursu będą przyjmowane prace wydrukowane/wykonane na papierze o formacie A-4, opatrzone własnym godłem i złożone w 3 egzemplarzach wraz z wersją elektroniczną. W osobnej, zaklejonej kopercie należy zamieścić kartę zgłoszeniową z danymi osobowymi (imię i nazwisko, adres zamieszkania).
8. Prace należy składać lub nadsyłać do 31 października 2007 roku na adres:
Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
z dopiskiem: Konkurs
9. Dla autorów najlepszych prac z obu kategorii przewidziane są grand prix w postaci nagród finansowych.
Organizator konkursu zastrzega sobie prawo do potrącenia 10% zryczałtowanego podatku dochodowego od nagrody zgodnie z art.30 Ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.
10. Wszystkie prace wyróżnione przez Jury będą publikowane na łamach wydawnictwa pokonkursowego, kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek”, stronach internetowych Stowarzyszenia i w mediach w celu promocji uzdolnionych twórców.
11. Wyniki Konkursu zostaną podane do wiadomości publicznej.
12. Uroczysta gala finałowa wraz z wręczeniem nagród i wyróżnień odbędzie się w drugiej połowie listopada. O terminie i miejscu wręczenia nagród wszyscy uczestnicy zostaną powiadomieni listownie, telefonicznie bądź za pośrednictwem internetu.
13. Dane osobowe wszystkich uczestników pozyskane dla celów konkursu nie będą udostępniane osobom trzecim. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac, natomiast w stosunku do wyróżnionych i nagrodzonych utworów zastrzegają sobie prawo ich prezentacji i publikacji bez honorarium za prawa autorskie w wydawnictwie pokonkursowym, na łamach Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek”, na stronach internetowych i w mediach tylko w celu promocji uzdolnionych twórców.

Komisarz konkursu
Dariusz Magier



Barokowa kaplica pw. Aniołów Stróżów. Znajduje się po stronie północnej ulicy Sitkowskiego. Powstała w końcu XVIII wieku z fundacji właściciela dóbr radzyńskich Stanisława Antoniego Szczuki.

Dziękujemy
za pomoc w promocji
KOZIEGORYNKU
Mateuszowi Orzechowskiemu
wydawcy tygodnika

WSPÓLNOTA
RADZYŃSKA



* Cena numeru upamiętnia rok 777, w którym opozycja hiszpańskich Omajadów przekonuje Karola Wielkiego, jakoby była na tyle silna, że po ewentualnej interwencji będzie mógł ingerować w sprawy Półwyspu Iberyjskiego. Jednak siła opozycji okazuje się iluzoryczna, interwencja kończy się klęską. Wzmacnia to znacznie pozycję separatystów akwitanijskich, którzy dodatkowo uzyskują poparcie Arabów...

[tuż można zobaczyć muzykę z filmu „Czarne chmury”]